

Julius Kaupas

# Doktor Krztyna w piekle

i inne nie mniej ciekawe bajki  
spisane w tajnych kronikach  
miasta Kowna

Przekład i opracowanie  
Ewa Stryczyńska-Hodyl

9 Poznańska  
Biblioteka  
Bałtytyczna





# Doktor Krztyna w pielke

i inne nie mniej ciekawe bajki  
spisane w tajnych kronikach  
miasta Kowna



Julius Kaupas

# Doktor Krztyna w piekle

i inne nie mniej ciekawe bajki spisane w  
tajnych kronikach miasta Kowna

Przekład i opracowanie  
Ewa Stryczyńska-Hodyl

9 Poznańska  
Biblioteka  
Bałtystyczna



Projekt okładki:  
Wydawnictwo Rys

Tytuł oryginału:  
Daktaras Kripštukas pragare ir kitos nemažiau įdomios pasakos, surašytos slaptose  
Kauno miesto kronikose

Recenzja:  
dr hab. Norbert Ostrowski UJ

Ilustracje: Przemysław Kijas  
Korekta: dr Sandra Wawrzyniak

Copyright by: Ewa Stryczyńska-Hodyl  
Copyright by: Wydawnictwo Rys

Wydanie I  
Poznań 2025

ISBN 978-83-65483-90-4

DOI 10.48226/978-83-65483-90-4

Wydanie



Wydawnictwo Rys  
ul. Kolejowa 41  
62-070 Dąbrówka  
tel. 600 44 55 80

e-mail: [tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com](mailto:tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com)  
[www.wydawnictworys.com](http://www.wydawnictworys.com)

## Spis treści

<i>Przedmowa</i> .....	7
<b>Doktor Krztyna w piekle i inne nie mniej ciekawe bajki, spisane w tajnych kronikach miasta Kowna</b> .....	11
Słowo wstępu.....	13
Bajka o miłości arlekina i o czarodzieju bez imienia.....	21
Doktor Krztyna w piekle .....	31
Jak diabeł Smolichwost zszedł na złą drogę .....	43
Serce czekoladowego żołnierzyka .....	59
Czarodziejski zegar Tykalskiego .....	69
Trzej królowie w Kownie.....	71
Niezwykła moc zegarmistrza.....	82
Student z brązowej apteki.....	91
Bajka o niespokojnym rybaku Sylwestrze .....	107
Korale rudobrodego Żyda .....	121
Uczta czarownic na ulicy Górskiej .....	141
Jak profesor Mruczysław do karczmy w Krakinowie jechał...	163
Ewa Stryczyńska-Hodyl	
<b>Julius Kaupas i jego bajki</b> .....	187
Julius Kaupas – biografia .....	189
Zbiorek bajek Kaupasa .....	194
Wydania zbiorku .....	194
Unikalność bajek Kaupasa.....	197
Kowno – magia miejsc realnych .....	199
Zejście do piekieł i wejście do nieba.....	201
Bohaterowie bajek.....	203
Bibliografia .....	209



## Przedmowa

*Doktor Krztyna w piekle i inne nie mniej ciekawe bajki, spisane w tajnych kronikach miasta Kowna (Daktaras Kripštukas pragare ir kitos nemažiau įdomios pasakos, surašytos slaptose Kauno miesto kronikose)*, to niewielki zbiór, na który składa się jedenaście tekstów. Stworzył je lekarz, pisarz i krytyk literacki – Julius Kaupas (1920-1964), który dzięki temu dziełu zapisał się w historii literatury litewskiej jako prekursor bajki urbanistycznej. Dlaczego są to bajki urbanistyczne? Z bardzo prostego względu – akcja niemal wszystkich tych utworów rozgrywa się w przestrzeni miejskiej, przy czym wspólnym ich mianownikiem jest konkretne terytorium – przedwojenne Kowno. Warto jednak zaznaczyć, że utrwalone przez Kaupasa na kartach książki miejsca są jak najbardziej miejscami realnymi, można je zatem (czasem nie bez wysiłku) rozpoznać i odnaleźć we współczesnym Kownie.

Należy podkreślić, że *Doktor Krztyna w piekle* nie należy do literatury dziecięcej. To, że mamy do czynienia z bajkami, które dziś arbitralnie i niemal mechanicznie większość czytelników może potraktować jako teksty skierowane do dzieci, nie zmienia faktu, że nasycone fantastycznością utwory Kaupasa, reprezentujące ironię romantyczną i wyraźnie pozostające pod wpływem twórczości E.T.A. Hoffmanna (1776-1822), którym Kaupas był zafascynowany, nie powinny być zamykane tylko i wyłącznie w obszarze dziecięcej literatury. Warto jednak zaznaczyć, że to nie wyklucza nikogo, kto chciałby wkroczyć w świat stworzony przez litewskiego pisarza i z odpowiednią dozą dociekliwości trochę się w nim zagubić.

Tłumaczenie opatrzone zostało przypisami. Dotyczą one głównie przestrzeni, w której rozgrywa się akcja, a także miejsc jedynie wspomnianych w tekście. Są to w pierwszej kolejności obiekty bez trudu rozpoznawalne i charakterystyczne dla Kowna. Z drugiej strony w tekstach tych jest cały szereg takich miejsc, które na pierwszy rzut oka zdają się niemożliwe do zlo-

kalizowania, a mimo wszystko można je odnaleźć na współczesnych mapach tego miasta. Wszystkie one zostały wskazane w przypisach, by dociekliwy czytelnik, jeśli tylko zechce, mógł śladami bohaterów pospacerować po ulicach, zaułkach i bezdrożach przedwojennej stolicy Litwy.

Wiadomości związane z biografią autora, oraz kilka ważnych kwestii dotyczących samego zbioru, takich jak jego wydania, znaczenie dla literatury litewskiej, czy też kwestia związków autora z miejscami, jakie w bajkach się pojawiają, a także pewnych podobieństw między bohaterami a samym autorem, zamieszczone zostały na końcu książki.

Do niniejszego zbioru dołączona została również mapa przedwojennego Kowna, która może ułatwić lokalizację wskazanych miejsc i obiektów. Odnaleźć je można również na mapie, na poświęconej przedwojnemu Kownu stronie: <http://tarpukaris.autc.lt/en/map>

\* \* \*

W tym miejscu pozwolę sobie złożyć gorące podziękowania żonie Juliusa Kaupasa – Dalii Galaunytė-Kaupienė-Augūnienė, która pomysł przetłumaczenia zbioru na język polski przyjęła i poparła. Wypada mi przeprosić, że prace nad przekładem trwały dłużej, niż planowałam. W tym czasie, dzięki staraniom żony, którą wspierali syn Algis i córka Jurate, zorganizowano w Kownie wiele wydarzeń poświęconych twórczości i życiu Juliusa Kaupasa i wydano zbiorek *Daktaras Kripštukas pragare. Pasakos iš „Žiburėlio“*<sup>1</sup>, który jest wznowieniem pierwszego wydania z roku 1948. W końcu jednak bajki Kaupasa trafić mogą również do polskiego czytelnika. Lepiej późno niż wcale.

Szczególne podziękowania kieruję do dr Sandry Wawrzyńskiej, która motywowała mnie i wspierała podczas pracy nad ostateczną redakcją tej książki; gdyby nie Jej pomoc, nie byłabym w stanie zamknąć rozpoczętej już dawno pracy. Dziękuję również prof. Norbertowi Ostrowskiemu za cenne uwagi, któ-

<sup>1</sup> Szerzej o tej publikacji w komentarzach dotyczących wydań zbioru.

re pozwoliły uzupełnić i wzbogacić komentarze do niniejszej książki.

Wdzięczna jestem wszystkim, którzy mi pomogli, m.in. Przemysławowi Kijasowi, za sporządzenie ilustracji do tego zbioru, ale także tym, którzy podjęli się czytania pierwszych prób tłumaczenia (zwłaszcza Grażynie Nikonowicz oraz mojej pasierbicy – Barbarze Pisowodzkiej).

Ewa Stryczyńska-Hodyl

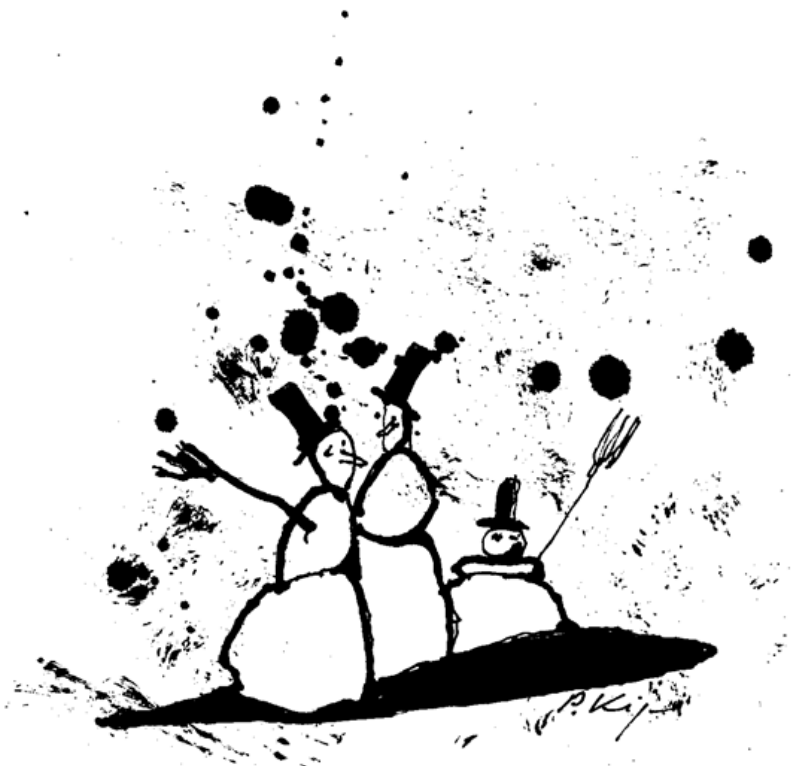


**Doktor Krztyna w piekle i inne nie mniej  
ciekawe bajki, spisane w tajnych kronikach  
miasta Kowna**





# Słowo wstępu





Podobne słowa wstępu, jak wszyscy dobrze wiedzą, są niezmiernie nudne i rzadko kto je czyta. Jednakże, o ja nieszczęśliwy, jak mam bez niego się obejść! Przecież tych niezwykłych bajek sam nie stworzyłem, tylko ukradkiem wziąłem je z tajnych kronik miasta Kowna. Spisał je natomiast, jak zaraz zobaczycie, bardzo dziwny i bardzo nietypowy kronikarz.

Jeśli ktoś był w prześwietnym ratuszu miasta Kowna, to na pewno przypomina sobie takie tajemnicze, dębowe drzwi, schowane na samym szczycie wieży<sup>2</sup>. Prawdą jest, że teraz to pomieszczenie jest puste i nieużywane. Jeśli kiedyś przez przypadek, ktoś otworzyłby skrzypiące jego drzwi, na głowę zaczęłyby mu spadać stare pajęczyny, coś pisnęłoby przeraźliwie w ciemnym cieniu pieca i myszy – wystraszone – przebiegłyby po zakurzonej podłodze komnaty. Ale wcześniej w tym pomieszczeniu kryło się archiwum miejskie. Drzemały w nim spokojnie poźółtkłe sterty starych pism, kronik, wyblakłych fotografii i tajemniczych listów. Człowiek, poszperawszy w tej dużej stercie papierów, znalazłby również pewien zakurzony, trudny już do odczytania rękopis, spisany na luźnych kartkach i włożony w skórzaną oprawę. Na tej okładce dumnie lśnił czerwony herb Kowna – biały żubr, niosący krzyż między rogami – ponieważ była to, nie inaczej, tajna kronika miasta.

Gdyby człowiek zaproponował ratuszowemu stróżowi tytoniu i wdał się z nim w rozmowę, mógłby dowiedzieć się znacznie więcej ważnych rzeczy o tej zagadkowej kronice.

Napisana została, jak się wydaje, przed wielu laty, wtedy, kiedy nawet ratuszowy stróż był jeszcze zupełnie mały. Wówczas, jednej zachwycająco białej zimy, dzieci ulepiły przed drzwiami ratusza wspianą bałwana i założyły mu niebieską

<sup>2</sup> Kowieński ratusz (lit. rotušė), reprezentujący późnobarokowy i wczesnoklasycystyczny styl, jest budowlą, która wraz ze swoją wieżą dominuje w panoramie Starego Miasta. W okresie międzywojennym – ze względu na sylwetkę – zaczęto go nazywać Łabędziem: zob. *Baltoji Gulbė*, „Lietuvos žinios“ 1922, 26 października, s. 3; na temat powstania i późniejszych zmian (rozbudowy i przeprowadzanych remontów), zob. *Kauno architektūra*, A. Jackievičienė (red.), Vilnius: Mokslas, 1991, s. 257-264. Jednocześnie warto zaznaczyć, że w 1927 metą adresą *knyga Kaunas*, s. 4, pod zdjęciem ratusza napisano, że w gmachu tym znajduje się sala zwana *Baltoji gulbė*.

czapkę na głowę, a sam stróż to jeszcze wsadził ogryzioną fajkę swojego dziadka w zęby. Od tego momentu bałwan dumnie stał na straży przed szklanymi ratuszowymi drzwiami<sup>3</sup> i czasami, kiedy nikt nie widział, rozmawiał sobie z przebiegającymi psami. Te przecież znały wszystkie nowiny z miasta, a bałwan wszystkim się interesował, miał bowiem bardzo czułe serce.

W tym miejscu ratuszowy stróż zazwyczaj zaciągał się i zaczynał z zażenowaniem dłużyć w swojej fajce. Wtedy trzeba było zdziwić się, zainteresować i zachęcić stróża tymi lub podobnymi słowami:

– Patrzcie no! A ja zawsze myślałem, że bałwani mają serce z lodu! Naprawdę, mówi pan, czułe serce? Mam nadzieję, że się nie zakochał!

Wówczas stróż czerwienił się i wzdychał, wypuszczając niebieskawy obłok dymu z fajki, jakby chciał nim przesłonić swoją twarz.

– Ano, tak właśnie jest, on właśnie się zakochał. Skrycie pokochał on rosnący nieopodal bez<sup>4</sup> – i zmieszany stróż, nieśmiało otworzywszy okno, ustnikiem fajki pokazywał naprzeciwko ratusza szumiące, wysmukłe drzewko.

– Od tego momentu bałwan każdej nocy gdzieś w tajemniczy sposób znikał. Jeśli szedłeś nocą obok śpiącego ratusza i rozglądałeś się po pustym placu, to ze zdziwieniem widziałeś tylko ciemne cienie zamkniętych domów i drzemiące, a nawet leniwe, bo niedymiące, kominy miasta, ale bałwana nie było ni śladu! Jednak jeśli wtedy przez przypadek spojrzalbyś w górę, zobaczyłbyś – o cudzie! – w pomieszczeniu archiwum lśniąca, tajemnicza światła. Tam przesiadywał bałwan, oświetlony drżącym płomieniem świecy i sumiennie, zmarszczywszy czoło, prowadził tajną kronikę miasta. Każdej nocy powoli wspinał się skrzypiącymi schodami wieży na górę, pozostawiając

<sup>3</sup> Szklane drzwi Ratusza, które dziś znajdują się u podstawy wieży ratuszowej, a które pojawiły się po dokonanych w początku lat 70. remoncie, w okresie międzywojennym nie istniały; najprawdopodobniej w bajce mowa jest o „szklanych drzwiach” przy wejściu w południowej fasadzie Ratusza, zob. zdjęcia: <http://kounosenamietis.autc.lt/lt/paieska/objektas/971/kauno-rotuse>.

<sup>4</sup> Chodzi o lilak pospolity (*Syringa vulgaris*), lit. `alyva' – rodzaj żeński.

na dywanie śnieżne swoje ślady, siadał w miękkim krześle i, wzięwszy gęsie pióro, zapisywał wszystkie szczególne oraz godne zapamiętania przygody, które zdarzyły się owego roku w mieście Kownie.

Tu ratuszowy stróż uroczyście przewracał pierwszą stronicę kroniki i grubym swoim głosem odczytywał pierwsze słowa bałwana:

– Te tajne kroniki są bardzo rzadkie i znaczące, ponieważ w nich zapisane zostały różne bajki, a więc rzeczy, w innych, mniej tajnych kronikach, rzadko kiedy wspomniane. Przejrzawszy całe pomieszczenie archiwum, prawdę mówiąc, nie znalazłem ani jednej kroniki, która zwróciłaby należytą uwagę na bajki, tę jedyną rzecz, dla której warto żyć<sup>5</sup>. Taki chłodny opis życia, wiadomo, nie jest pełen, ponieważ najważniejszą częścią życia jest właśnie bajka. Każde z nas kocha królową z bajki, wszyscy szukamy niemożliwych do odnalezienia baśniowych zamków i umieramy mając w oczach baśniowe krainy.

Kiedy pierwszy raz rozejrzałem się po placu ratuszowym swoimi oczami z węgla, widziałem tylko czarne i wilgotne drzewa, skostniałe konie zaprzęgowe i zimne jak lód słońce. Sądziłem, że taki ponury jest cały świat. Jednak wkrótce usłyszałem, jak psy opowiadają o wiosnie, o rozkwieconych łąkach, o śpiewających ptakach, o drzewach ustrojonych w ciężkie i zawrotnie pachnące kwiaty. Ten wspaniały świat lata był dla mnie jak bajka. Tak, zawsze pozostanie on dla mnie bajką, ponieważ nigdy go nie zobaczę i nigdy w nim nie będę żył. Jestem tylko bałwanem. Mogę tylko tęsknić za owymi nieosiągalnymi dla mnie, baśniowymi krainami.

To przeczytawszy, stróż ostrożnie zamykał kronikę i dalej ciągnął swoją dziwną historię:

– Te tajemnicze kroniki były pisane przez całą zimę, bez względu na to czy miękki śnieg padał na ratuszową wieżę, czy

<sup>5</sup> Takie podejście do rzeczywistości, zdaniem wielu przyjaciół Juliusa Kaupasa, charakteryzowało samego autora tych bajek, zob. J. Kaupas, *Pasaka ir realybė*, „Metmenys” 1963, nr 7, s. 15-30.

czarne wiatry latały między zamarzniętymi i od mrozu poczerwieniałymi kominami miasta.

Jednak powoli zbliżała się wiosna. Słońce coraz cieplejszymi promieniami rozbłyskiwało na zaśnieżonych chodnikach i w szklanych drzwiach ratusza, a drzewko bzu coraz tęskniej czekało na swoją ukochaną wiosnę, pragnąc wystroić się niczym panna młoda w swoje najpiękniejsze kwiaty.

Również zakochany bałwan, ciesząc się szczęściem bzu, czekał wiosny, chociaż czuł, że umrze pierwszego wiosennego dnia. Każdej nocy, coraz ciężiej dysząc, wchodził po schodach do pomieszczenia archiwum, ponieważ zimne jego stawy nie mogły znieść ciepłego wiatru, tak upajającego bez.

A wiosna była coraz bliżej.

Ostatniej zimowej nocy kilka bałwanów przybiegło pod ratusz, ciągnąc na sankach topniejących swoich druhów, którzy sami już nie mogli iść.

– Spieszmy się, albo się roztopisz! – zachęcały swego brata przestraszonym głosem. – Spieszmy dalej na północ, ponieważ wiosna jest już blisko! Już pierwsze przyłaszczki przebiły się na stromym brzegu Niemna! Spieszmy, póki jeszcze nie jest za późno.

Jednak bałwan potrząsnął śniegową swoją głową.

– Zostanę tutaj! – powiedział ze smutkiem. – Muszę ukończyć ostatnią swoją bajkę.

On bowiem w żaden sposób nie mógł rozstać się z bzem – tak pragnął zobaczyć drzewko w pełni rozkwitu!

Toteż powoli wdrapał się do archiwum i zaczął pisać, od czasu do czasu otwierając okno i zakochanym wzrokiem spoglądając na bez. A bez upajał się szczęściem. Drżąc wyciągał do nieba swoje wiotkie gałęzie, jakby chciał objąć ciepły, wiosenny wiatr i coś szeptał. W tym momencie po zimnym obliczu bałwana zaczynały płynąć łzy i znów wracał do swoich kronik.

I tak ciągle pisząc zasnął.

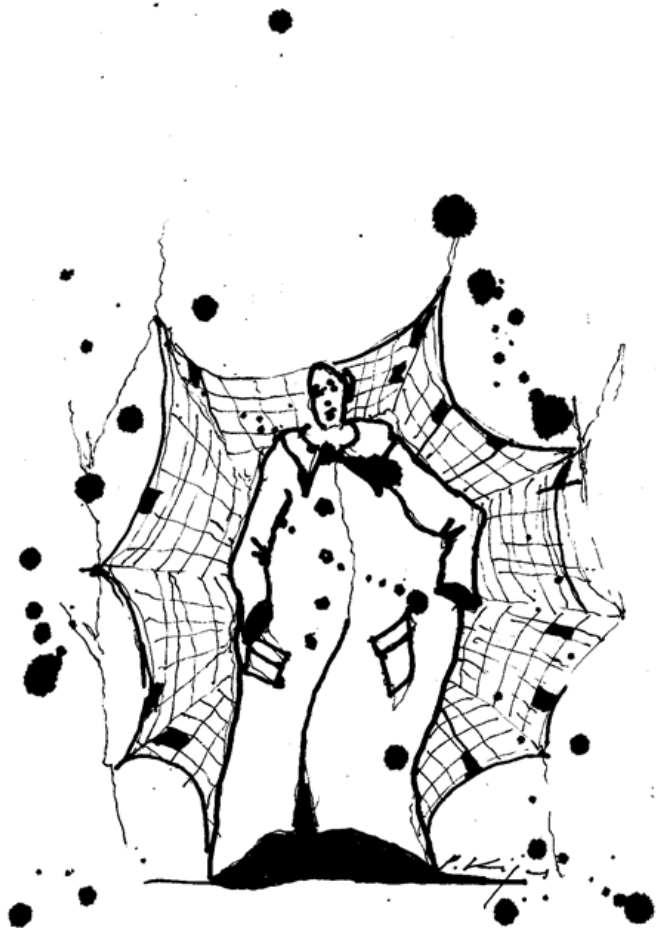
Tego ranka – a był słoneczny, wiosenny dzień, drzewko bzu wypuściło pierwsze kwiaty i dzieci, radośnie krzycząc, biegały po ulicy – tego ranka z ratuszowego dachu spływały już ostat-

nie krople topniejącego śniegu. Cienie powracających ptaków migwały w wąskich uliczkach starego miasta i dzień był pełen radości, kiedy sam burmistrz otworzył drzwi archiwum. W miękkim krześle siedział roztopiony bałwan, który wypuścił z ręki gęsie pióro i zmalął pod niebieską swoją czapką – tylko stara jego fajka jeszcze się tliła. Zdziwiony burmistrz zatrzymał się w drzwiach z sercem przepełnionym smutkiem, a z fajki uniósł się ostatni, lekki obłoczek przypominający niebieskawy cień bałwana i rozplątał się w ciemnym kącie archiwum.

Tego dnia psy, wesoło merdając ogonami, przybiegły do ratuszowych drzwi i na próżno szukały bałwana, chcąc mu opowiedzieć radosną nowinę o wiosnie, która nadeszła: bałwan nigdy więcej nie pokazał się w Kownie. Pozostały nam tylko spisane przez niego bajki, które ja, za zgodą ratuszowego stróża, przepisałem zgodnie z prawdą i, niczego nie zmieniając, przekazuję wam do czytania.



Bajka o miłości arlekina i o czarodzieju  
bez imienia





W ciemnym i cichym pokoju, którego zimne ściany były obite niebieskim aksamitem z wyhaftowanymi złotymi gwiazdami, pewnej nocy siedział dziwny i tajemniczy czarodziej, tak stary, że nawet imienia jego nikt nie znał. Z wysokich jego ramion zwisał czarny, pajęczyn pełen płaszcz, a na głowie błyszczał niezwyklej diamentowy wieniec. Długimi i pełnymi oczekiwania palcami wertował starą, pożółkłą księgę czarów.

Wreszcie znalazł czego szukał i jego ciemne oczy rozbłysły niezrozumiałym blaskiem. Czarodziej zamknął księgę. Uśmiechnął się i powstawszy z tronu, zapalił świece w złotych świecznikach. Potem wziął czarodziejską różdżkę i powiewając czarnymi rękawami płaszcza, zaczął w powietrzu kreślić tajemnicze znaki, cicho szepcząc słowa zaklęć.

Wówczas ciężki, marmurowy zegar<sup>6</sup>, do tej pory bez dźwięku stojący na stole, zaczął chodzić, radośnie dzwoniąc delikatnymi, srebrnymi dzwoneczkami, a uśpione kwiaty uwolniły wspaniałą zapach.

A potem wszystko w pokoju ożyło.

Duża, złotowłosa lalka, bez ruchu śpiąca w swoim krzeselku, otworzyła piękne, niebieskie oczy i zdziwiona rozejrzała się wokół. Nieśmiało skoczyła na miękki dywan i przebiegła po nim w swoich lśniących bucikach.

Na środku pokoju zatrzymała się i zerknęła na barwne kwiaty, utkane na dywanie.

– Jaka piękna ląka! – krzyknęła klasnąwszy w rączki i zaczęła tańczyć, a żółte jej włosy powiewały w powietrzu i kolorowe szkiełka migotały na jej sukieneczce niczym gwiazdy.

Ożył też śmieszny arlekin, uszyty z pstrokatego materiału. Na czterech wypęził ze swojego kąta, wszedł na dywan i popatrzył na tańczącą lalkę szklanymi oczami. Ujrawszy ją, tak się zdumiał, że aż przewrócił się do tyłu na papierowe pudełko z zabawkami.

– Jaka piękna królewna! – krzyknął zachwycony. Jego szmaciane serce od pierwszego wejrzenia zapłonęło taką gorącą

<sup>6</sup> Zegary w bajkach Kaupasa pojawiają się często; wskazują na wyjątkowość chwili, potęgują tajemniczość i podkreślają względność czasu.

miłością, że cały arlekin, który był z aksamitu, o mało co się nie zapalił.

W tym czasie z pudełka z zabawkami, chrobocząc, zaczęły gramolić się małe ołowiane żołnierzyki. Ich jasne zbroje, świecąc jak srebro, zalśniły w pokoju.

– Nasza królewna tańczy! – zawołał długonosy dowódca żołnierzyków i stuknąwszy obcasami, oddał honory.

Za to pstrokaty arlekin, upojony szczęściem, zerwał z wazonu czerwonawą chryzantemę i zbliżył się do tańczącej lalki.

– Oto mój dar za twój wspaniały taniec – powiedział niezgrabnie się skłaniając.

Lalka objęła ogromny kwiat od arlekina obiema rękami i przytuliła go do oblanej rumieńcem twarzy.

W tym czasie na ciemnym stole, który spokojnie drzemał w cieniu palmy, dało się słyszeć dziwne i nieprzyjemne bulgotanie. Wszyscy się zdziwili i zdjęci strachem spojrzeli w górę. Bulgotał tam ciężki, miedziany kałamarz, tak głośno i z taką wściekłością, że aż jego zardzewiała pokrywka poruszała się i podnosiła.

Nagle pokrywka otwarła się z hukiem. Z kałamarza wyskoczyła duża, zła, czarna jak atrament żaba i przegalopowała przez stół. W miejscach, których dotknęły jej ciemne kończyny, zostały mętne, atramentowe ślady. Dосkoczywszy do krańca stołu, spojrzała w dół i złe jej oczy zapaliły się jak dwa rozżarzone węgle.

– Rrrech! – zarechotała – jaka piękna lalka! Będziesz moją żoną, poczekaj, tylko na dół ze stołu zejde! – i pospieszyła po obrusie, szukając którędy tu na dół się opuścić.

– Ratuj mnie, arlekinie, przed tą straszną żabą! – wyszeptła wystraszona lalka i niebieskie jej oczy zrobiły się wilgotne od łez.

– Nie bój się, my cię obronimy! – krzyknął arlekin i machnął ręką.

Wierne ołowiane żołnierzyki posłusznie wyciągnęły szable z pochew, a odważny ich dowódca rozkazał grzmiącym głosem:

– Budujcie zamek z klocków! Szybciej! Będziemy bronić swojej królewny do ostatniej kropli krwi!

Natychmiast wszyscy się ruszyli i rozpoczęła się pospieszna, wytężona praca. Żołnierzyki wzięwszy się po kilkoro, tylko rzucały klocek przy klocku i kładły jeden na drugi, budując twierdzę nie do zdobycia, a gdzie same nie dały rady, tam im pomógł gumowy słoń, który, dlatego że cały wypełniony powietrzem, był bardzo mocny.

Wreszcie skończyli. I w samą porę, ponieważ żaba już pełzła na dół objąwszy nogę stołu i wkrótce dotarła do podłogi.

Lalka z arlekinem wskoczyła do twierdzy. Również żołnierzyki, wszedłszy do zamku, schowały się za klockami, tylko ich ołowiane głowy sterczały na zewnątrz i obserwowały.

Żaba powoli przyczłapała do twierdzy, zostawiając na dywanie atramentowe ślady, od których zalatywało wilgocią i chłodem.

Kiedy zobaczyła zamek z klocków, pogardliwie się roześmiała i zaczęła dać ze wszystkich sił. Podniósł się taki zimny i mocny wiatr, że aż potężny zamek z klocków się zachwiał. W jednym miejscu klocki zaczęły się sypać i w ścianie pojawił się wyłom.

Jasnowłosa lalka aż jęknęła ze strachu i przytuliła się do arlekina, a żaba tylko zarechotała i już przygotowywała się by skoczyć przez otwór do zamku.

Wtedy to zadrżało odważne serce arlekina!

– Szablę! – krzyknął machając pomponem czapki. – Dajcie mi szablę! – i wzięwszy do ręki ołowianą szabelkę, porwany szaloną odwagą rzucił się naprzód. A za nim już przedzierały się przez wyłom w twierdzy wierne żołnierzyki, nie bojąc się nawet oddać życia za królownę.

Żaba tylko roześmiała się i wymachując pokrytą śluzem kończyną, przewróciła kilka żołnierzyków na ziemię – i oto leżały one na kwiecistym dywanie z wyciągniętymi szablami, umazane atramentem i zastygłe. Ale wokół nich nacierały wciąż nowe żołnierzyki, połyskujące swoimi srebrnymi pancerzami. Na ich czele kroczył sam arlekin, migocząc barwną szatą i bez strachu machając szablą. Żaba w złości zarechotała i rzuciła się na niego, ale arlekin świsnął szablą i odciął żabie jedną nogę.

– Hura! – krzyknęły żołnierzyki i jeszcze odważniej rzuciły się naprzód.

Żaba zaczęła powoli się wycofywać. Z początku schowała się za wazonem kwiatów, potem w cieniu nogi stołowej; później w pudełku po zabawkach, ale koniec końców została zagnana do narożnika pokoju.

– Otoczyć! Otoczyć żabę! – nie posiadał się z radości arlekin – Wziąć żywą lub martwą!

Żaba wszak tylko rozglądała się pełnymi złości oczami wokół w poszukiwaniu wyjścia, ale nie znajdowała żadnej szczeliny, by uciec. Nagle zauważyła wilgotną myszą norę w samym kącie. Natychmiast wślizgnęła się do środka i znikła w ciemnościach nory – tylko nieprzyjemnie błyskały stamtąd zielone jej oczy i chrypliwie rozbrzmiewał jej złośliwy śmiech.

– Ona tylko czeka na okazję, by znów wyleźć, ja to wiem! – powiedział jeden żołnierz, który nosił okulary i dlatego był bardzo mądry – Trzeba ją tam zamknąć w tej norze.

Natychmiast przynieśli grubą książkę z bajkami, najgrubszą jaka tylko była w pokoju i zastawili wejście do nory, a na książkę wtoczyli jeszcze piłkę i położyli wazon z kwiatami.

– Wojna skończona! – powiedział dowódca żołnierzów i włożył szablę do pochwy – Trębacz, odtrąb marsz zwycięstwa.

Żołnierzyki natychmiast zaczęły się zbierać i zaraz ustawiły się w dwuszeręgu, a ich dowódca wskoczył na gumowego słonia. Trębacz zadał w swoją trąbkę i rozpoczął się niesamowity przemarsz od samego kąta pokoju – przed królową i arlekinem – do zamku.

Tu, wśród zwalonych klocków, leżeli zimni i zastygli ich towarzysze broni; tylko jasne pancerze lśniły w płomieniach świec bajecznym światłem.

Pochód stanął.

– Chwała wam, bohaterowie! – krzyknął dowódca zdjawszy czapkę – Naprawdę godni jesteście imienia ołowianego żołnierzyka, wy, którzy nie lękaliście się zginąć za swoją królową! Oddać im honory!

Dobosz zaczął bić w werbel i żołnierzyki wzniosły w górę swoje szable. Królowna zbliżyła się do bohaterów i przykryła ich swoją kwiecistą chusteczką do nosa niby lekką flagą i gorzka łza spadła z jej niebieskich oczu.

– A dzielny arlekin będzie naszym królem! – znów krzyknął dowódca i wszystkie żołnierzyki zaczęły krzyczeć hura! Zdjęty ołowiane swoje czapki z głów, rzuciły je w górę, a kilka wleciało tak wysoko, że wbiły się w ciemny sufit pokoju i pozostały tam na wieki, by świecić jak gwiazdy. Od tej pory te żołnierzyki musiały chodzić z gołą głową.

Arlekin przykląkł przed złotowłosą królowną i zapytał czy zgadza się oddać mu swoją rękę.

Lalka się spłoniła i drżąc, pochyliła się nad arlekinem, a długie i zachwycające jej włosy łagodnie spłynęły na aksamitne jego ramiona.

– Wesele będzie... Wesele... – zaczęły szeptać między sobą żołnierzyki, a te bez czapek podrapały się po głowie.

– Wiem! – w końcu przemówił najmądrzejszy z nich – Wiem co zrobić! W przyległym pokoju za ciemnym korytarzem, stoi stół biesiadny z kieliszkami do wina i z ciasteczkami – wdrapiemy się tam i wyprawimy weselną ucztę. Tam też mieszka stary ksiądz, wyrzeźbiony z czarnego drewna – może dać ślub arlekinowi i królownie.

Wszyscy przytaknęli temu pomysłowi.

W tym momencie arlekin wziął lalkę za rękę i dumnie krocząc na swoich nogach z materiału, przeszedł po dywanie ku drzwiom. Za nim kroczyły wierne żołnierzyki, tak odważne, jakich ten gwieździsty pokój jeszcze nigdy nie widział.

– Zbudujemy pałac z ciasteczek i z kart w czerwonym cieniu kieliszków wina i nasze szczęście nigdy, ale to nigdy w nim nie zgaśnie – powiedział arlekin i szklane jego oczy rozpały się tymi odważnymi marzeniami.

Pochód przekroczył próg pokoju i wszedł do ciemnego, wionącego zimnem korytarza. Tu żaden promień światła nie świecił, ani tykania zegara nie było tu słychać.

Ale stąd widać było wspaniałą stół biesiadny w przyległym pokoju. Tam stały sterty czekoladowych ciastek i kieliszki

czerwonego wina, stamtąd widoczny był również dobrotliwy ksiądz, który uśmiechał się i wlawszy na krawędź talerzyka z cukierkami, machał do nich swoją czarną, drewnianą ręką.

Ale w tej zimnej i pełnej cieni ciszy królowna nagle poczuła, że jej stawy zaczynają sztywnieć i że ciemność zaczyna gasić dobre jej serce. I rozpląkała się bezgranicznie wystraszona:

– Ja umieram, arlekinie... i przestaję już czuć cokolwiek w swoim sercu... Boże, jak strasznie!

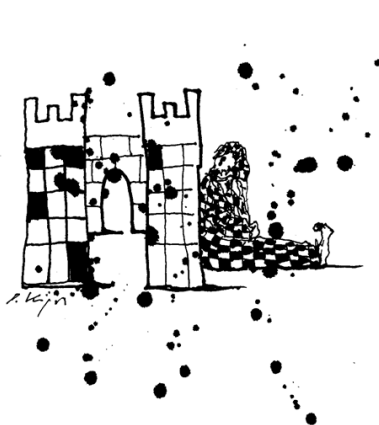
Zdjęty strachem arlekin skoczył, by ją ratować. I wszystkie żołnierzyki przybiegły bliżej; wyciągnęły ostre swoje szable, przygotowane do tego, by bronić królownę przed jakimkolwiek wrogiem do ostatniego swojego tchu. Ale żaden wróg się nie pojawił.

Nikt nie mógł królownie już pomóc: powoli sztywniała i zmieniała się w zachwycająco piękną pozbawioną życia lalkę.

Arlekin myślał, że serce pęknie mu z bólu. Padł na kolana i przytulił zimną rękę lalki do swojej twarzy.

– Królowna umarła – powiedział zalawszy się łzami – i nasza bitwa skończyła się bezsensownie...

W tym momencie chłód nocy objął również towarzyszące królownie postacie i blask zbroi żołnierzyków zgasł w bezgranicznej ciemności. Srebrne dzwonki zegara zupełnie ucichły i w miejsce radosnego ich dźwięku smutna cisza zapanowała w gwieździstym pokoju.



I arlekin zastygł przycisnąwszy twarz do ręki lalki i ołowiane żołnierzyki umarły i gorzkie łzy w ich oczach przemieniły się w drobinki lodu.

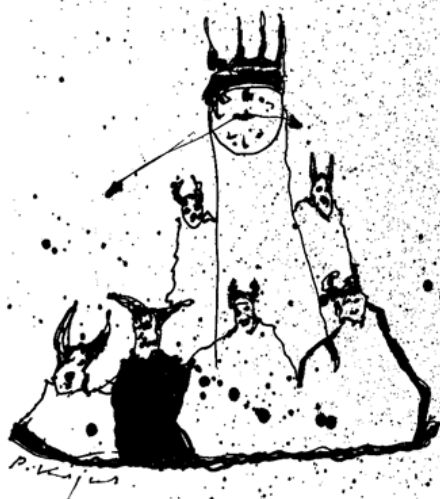
Wówczas tajemniczy czarodziej podniósł swoje czarne oczy znad księgi czarów i przeszedł cicho przez pokój – przez kwiecistą chustkę królowny i przez ruiny zamku z klocków – a czarny jego płaszcz ciągnął się po dywanie jak woal z pajęczyn.

Zgasił świece w złotych świecznikach i pokój znów zatopił się w ślepej ciemności. Jeszcze tylko ołowiane czapki żołnierzyków błyszczały na suficie, oświetlając zagadkowo twarz czarodzieja, pomarszczoną i bezgranicznie starą.

I tylko nieśmiertelna tęsknota arlekina ciągle żyła w tym gwieździstym pokoju...



# Doktor Krztyna w piekle





Pewnego ciepłego letniego wieczoru, doktor Krztyna siedział w swoim pokoju i otworzywszy okno czytał książkę z bajkami. Było już późno. Na opustoszały chodnik tylko od czasu do czasu spadał szeleszczący liść z zatopionego we śnie kasztana<sup>7</sup>, a potem znów zapadała cisza na ulicy. Doktor Krztyna czytał bajki do samej północy, póki zegar na ratuszowej wieży<sup>8</sup> nie zaczął bić dwunastej.

Ale ledwo tylko ostatnie uderzenie dzwonu zdążyło rozpłynąć się w powietrzu, na dworze rozległ się dziwny szelest skrzydeł – zdało się, że frunie tam duży i nigdy nie widziany ptak. Szelest skrzydeł się przybliżał i szumiał coraz głośniejsze, dopiero przy domu Krztyny nagle wzięt i ucichł. Na ulicy rozblęskło przerażające czerwone światło, które nieprzyjemnie oświetliło domy, ale po chwili zgasło.

Zainteresowany i trochę przestraszony Krztyna podszedł do okna. Niczego na ulicy nie było widać, tylko zapach siarki unosił się w powietrzu.

– W istocie dziwne! – wymamrotał do siebie i znowu wrócił do stołu, by skończyć bajkę o diabłach. Nie zdążył jednak nawet usiąść na krześle, kiedy ktoś zaczął mocno dobijać się do jego drzwi.

– Któż tak późno mógłby się dobijać? – doktor niespokojnie zmarszczył czoło. – Środek nocy!

Otworzył drzwi.

W progu ukazał się dziwny człowiek o ciemnej twarzy, ubrany w czarną, niespotykaną szatę, z dużym czerwonym kwiatem w klapie. Z wolna wkroczył do pokoju i przemówił głuchym głosem:

– Czy tu mieszka sławny doktor Krztyna?

– Tak, tutaj... – odrzekł zmieszany doktor. – To ja jestem... choć może nie tak sławny jak pan to był powiedział.

<sup>7</sup> W Kownie drzewami kasztanowca obsadzonych zostało wiele ulic Nowego Miasta.

<sup>8</sup> Zegar na ratuszowej wieży, wybijający godziny, zamontowano w 2. poł. XVIII w., o czym świadczą dokumenty magistrackie podające koszty związane z remontem, zob. T. Korzon, *Wewnętrzne dzieje polski za Stanisława Augusta*. Kraków, 1896, t. 2, s. 326; zob. też <http://kaunosenamiestis.autc.lt/lt/paieska/objektas/1715/kauno-rotus-ses-laikrodis>.

– Niech pan nie będzie taki skromny! – uśmiechnął się zagadkowy gość. – My nie lubimy skromności. Pańska sława dotarła już nawet do nas... nawet do nas! – i wznosił ubraną w rękawiczkę rękę.

Tu gość nieoczekiwanie ucichł, spojrzął na Krztynę swoimi czarnymi oczami i dalej ciągnął:

– Przybyłem w imieniu swojego władcy. Obecnie jest on bardzo ciężko chory i prosi Pana, byś przybył go obejrzeć. Władca nie chce zdradzać swojego imienia, dlatego sam Pana do niego zaprowadzę.

Krztyna niespokojnie spojrzął na gościa, który wahał czerwony kwiat, potem rzucił okiem na półkę z medykamentami i powiedział:

– No dobrze... pójdę. Nikomu jeszcze nie odmówiłem pomocy! – i wzięwszy torbę lekarską, wyszedł z gościem przez drzwi.

Kroczyli zalaną mrokiem ulicą wśród cicho szumiących kasztanów nie mówiąc ni słowa. Kiedy minęli lodziarnię i aptekę, ruszyli wąskimi, krętymi uliczkami w kierunku Niemna<sup>9</sup>.

Nieznajomy zatrzymał się przed jednym ponurym domem na ulicy Grodzieńskiej<sup>10</sup> i zaczął szukać po kieszeniach. To był wysoki dom z czerwonych cegieł z mosiężnymi kratami w oknach, widać, zupełnie niezamieszany. Gość włożył srebrny klucz w czarne drewniane drzwi, a one, skrzypiąc, się otworzyły.

Obaj weszli do środka.

Chłód wilgoci unosił się w tej ciemnej komnacie, którą rozświetlało tylko kilka świec w srebrnych lichtarzach. Z sufitu

<sup>9</sup> Łącząc tę informację z pojawiającym się w bajce *Uczta czarownic na ulicy Górskiej* „niemałym domem”, w którym doktor mieszkał, można w przybliżeniu wyznaczyć trasę doktora Krztyny z ul. Górskiej na ul. Grodzieńską. Przebiegać ona musiała obok Muzeum Wojska (lit. Karo muziejus), przez ul. Maironisa, dalej obok lodziarni w Ogrodzie Miejskim (lit. Miesto sodas) przy Teatrze (dzisiejszy Kowieński Teatr Lalek, lit. Lėlių teatras) i apteki na al. Wolności (lit. Laisvės), później (prawdopodobnie) przez podwórzec, gdzie znajduje się kościół św. Gertrudy, a stamtąd uliczkami ku rzece Niemen.

<sup>10</sup> Na współczesnych mapach nie istnieje taka ulica. Dawna ul. Grodzieńska przemianowana została na trzy inne: Garncarską (Puodžių), Szewską (Kurpių) i Celniczą (Muitinės).

zwisały nieprzyjemne pajęczyny, a w kątach blado mrugały świetliki.

– Proszę wybaczyć, że tu u nas taki nieporządek... dalej będzie lepiej – przeprosił nieznajomy i zaczął schodzić po czarnych marmurowych schodach coraz głębiej do piwnicy.

Krztyna podążał za nim.

Długo tak schodzili. Im niżej schodzili, tym goręcej robiło się wokół, a doktor coraz częściej obcierał pot białą chusteczką do nosa.

Wreszcie dotarli do końca. Gość zaczął otwierać kluczem kute drzwi, a Krztyna powiedział:

– No, a napalone tu u was... jak w piekle!...

Nieznajomy jednak jakoś dziwnie się uśmiechnął i otworzył drzwi.

Znaleźli się w wielkiej, ale niskiej sali, gdzie było wyjątkowo gorąco. Na rozgrzanych ścianach, obitych czerwonym suknem, wisały ubrudzone sadzą lustra i staroświeckie obrazy, przedstawiające diabły z długimi ogonami i małymi różkami. Przy ścianach stały duże, czarne kotły, pod którymi palił się ogień. Oparte o nie stały trójzębne widły, takie, jakich Krztyna jeszcze nigdy nie widział.

Gdy doktor oglądał tę salę, jego gość zaczął zdejmować rękawiczki. Natychmiast ukazały się jego włochate ręce z zakrzywionymi pazurami; potem zdjął kapelusz i ukazały się dwa małe różki na jego czole.

– Proszę chwilę poczekać, doktorze – powiedział do Krztyny – zobaczę czy władca może już pana przyjąć – i w podskokach pokonał salę, machając długim swoim ogonem, który wylał się między połami. Natychmiast znikł za ciężką zasłoną z wyblakłego aksamitu.

Krztynie aż zimny dreszcz przeszedł po plecach.

– Przecież to piekło! – wyszeptał do siebie, robiąc na drżących nogach kilka kroków w tył.

Plecami niechcący oparł się o jeden z kotłów. Jego pokrywa osunęła się z brzękiem na kamienną posadzkę. Z kotła uniosła się para, prysnęły krople wrzącej wody i natychmiast rozczochrany mężczyzna wyskoczył z kotła na posadzkę.

– Wreszcie dałem drapak! – powiedział do siebie i zaczął strząsać wodę z parującego ubrania. Nagle przystanął i spojrzał na doktora Krztynę.

– Doktorze! – krzyknął wówczas – Doktorze, w jakiż sposób trafił pan do piekła?

– Przecież to aptekarz Siciuski! – krzyknął również doktor potrząsając jego ręką. – To pan teraz w piekle? Jak do tego doszło?

– W istocie przez pomyłkę, doktorze. Przez błąd! – zaczął opowiadać aptekarz, kiwając głową. – Ledwo co zdążyłem umrzeć, do mojego pokoju przez komin zlazły diabły i zaciągnęły mnie do piekła. Twierdzą, że ja im duszę swoją sprzedałem.

– Czyżby naprawdę? – przeraził się doktor.

– Zupełna nieprawda! – odpowiedział mu aptekarz. – Zupełna nieprawda! Duszy im nie sprzedałem, powiedziałem im o tym natychmiast. Lecz diabły nie wierzą. Zaraz przyskoczył jeden atramentem umazany diabeł, który niósł w ręce grubą, obszarpaną księgę. Tam spisane są imiona wszystkich, którzy właśnie swoją duszę sprzedali diabłu. No i znalazły tam jakieś niewyraźnie napisane nazwisko: ni to Siciuski, ni to Siciński<sup>11</sup>.

Aptekarz aż westchnął z ogromu swych nieszczęść.

– Najprawdopodobniej było tam napisane Siciński – powiedział aptekarz. – Ale myślisz, że diabły pobierały jakieś nauki? Czy że pisać ładnie potrafią? Niczego nie potrafią! – machnął ręką.

Potem znów ciągnął dalej:

– Ja, wiadomo, bronię się, jak mogę. A diabły wciąż mówią: „Jeśli tak, to napisz list do świętego Piotra do nieba. A dopóki nie dostaniesz odpowiedzi, to będziesz siedział tutaj w piekle”. A wiadomo, teraz niebo z piekłem bardzo rzadko koresponduje. To diabły mi też powiedziały: „Listy teraz rzadko z piekła do nieba idą. Poczekasz jakieś sto lat, może i wyślemy”. Tak też cierpię tutaj już cały rok, a jeszcze jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć trzeba będzie czekać.

– I cały czas w tym kotle? – przeraził się doktor.

<sup>11</sup> Nazwisko aptekarza Siciuskiego (lit. Čičiukas) pomyłono z nazwiskiem posła z Upity Władysława Wiktoryna Sicińskiego (ok. 1615-72; lit. Čičinskas), który jako pierwszy zastosował *liberum veto*.

– Ależ skąd! – uśmiechnął się aptekarz. – Jak tylko Belzebub nie widzi, natychmiast mnie wypuszczają, żeby w karty pograć. Myślisz, że w piekle jest jakiś porządek? Diabły tylko w karty grają i smołę piją, nawet ognia pod kotłami jak trzeba nie rozpalą. A jak oszukują, grając! Dlatego też gramy najczęściej w „Oszusta”. Ale diabły prawie zawsze wygrywają, bo któż by mógł lepiej kłamać niż diabły?

– To ten mój przewodnik to także prawdziwy diabeł? – znów zapytał przestraszony doktor.

– Wiadomo! – wyjaśnił Siciuski – Widzisz, jest on najstraszliwszym diabłem w całym piekle. Dlatego też cały czas jego wysyłają na ziemię w różnych sprawach, żeby tylko utrzymało się na niej złe imię piekła.

W trakcie ich rozmowy rozsunała się czarna zasłona i znów pojawił się przewodnik Krztyny.

– Mój władca Belzebub z niecierpliwością czeka na pana! – skłonił się doktorowi. – A ty czego wylazłeś? – ze złością krzyknął ujrawszy aptekarza. – Marsz natychmiast na powrót do kotła!

Ten byłby już zaraz skoczył z powrotem, tylko doktor Krztyna schwycił go za rękę.

– Proszę poczekać! – krzyknął. – Proszę poczekać! To mój aptekarz. On, jak się zdaje, ma w sprawach piekła dość dobre rozeznanie i może pomóc w przygotowaniu lekarstwa. Jest mi koniecznie potrzebny.

– No dobrze! – nachmurzył się diabeł. – Chodźcie obaj do środka!

Weszli do wspaniałej komnaty, oświetlonej czarnymi świecami, całej wypełnionej posągami diabłów ze srebra. W popękanych, marmurowych donicach rosły duże, czerwone kwiaty, a wokół przechadzały się małe diabełki i polewały je smołą. Natomiast na samym środku komnaty, na miękkim łożu, leżał Belzebub, który założył na głowę zardzewiałą koronę i głośno jęczał.

– Dobrze, że pan przyszedł, doktorze! – ucieszył się na widok Krztyny. – Dobrze, że pan przyszedł! Straszne nieszczęście mi się przytrafiło! Kiedy podróżowałem przez piekło, dokonując

inspekcji i sprawdzałem, czy kotły nie są dziurawe, diabeł Smolichwost tak niezręcznie zdjął jedną pokrywę, że ta spadła mi prosto na ogon. Straszliwie przygniotło mi ogon – tak, że zupełnie spokoju nie mogę znaleźć, boli mnie on w dzień i w nocy...

– Hm! Hm! – powiedział doktor Krztyna, który spojrzał przez okulary na jego ogon. – Rzeczywiście porządnie spłaszczony. Zaraz zmierzmy temperaturę.

Kiedy zmierzył, spojrzał na termometr.

– Ma Pan sto stopni gorączki – powiedział. – Jak na diabła, to zupełnie niewiele, zakażenia krwi jeszcze nie ma. Wyleczyć mogę, ale tylko pod jednym warunkiem! Tylko pod warunkiem...

– Na wszystko się zgadzam! – zawołał Belzebub.

– Musisz wypuścić z piekła aptekarza Siciuskiego.

– Wypuścić z piekła Siciuskiego? – wrzasnął Belzebub tak głośno, że aż zardzewiała korona stoczyła się z jego głowy. – Wypuścić z piekła? A czy wiesz, że kto raz tutaj trafił, ten już nigdy stąd nie wyjdzie? Czy nie wiesz, że tutaj jest miejsce wiecznego potępienia?

– Ale za jakie grzechy on tutaj siedzi?

– Za grzechy? – zarechotał Belzebub. – Sądziś, że za grzechy trafia się do piekła? Święty Piotr i grzeszników do nieba wpuszcza, jeśli tylko kilka dobrych uczynków w swoim życiu zrobili. Ale Siciuski nam sprzedał – i tu Belzebub podniósł swój czarny palec – on sprzedał nam swoją duszę, a to już zupełnie inna sprawa...

– Ale ja wcale nie sprzedałem... Moje nazwisko wcale w księdze nie jest zapisane – wtrącił się Siciuski.

– Nie jest zapisane? – nachmurzył się Belzebub. – Zawołać do mnie pisarza.

Natychmiast przykuśtykał garbaty diabeł, tupiąc kopytami o posadzkę.

– Zobacz co prędzej, gdzie tu wpisane jest nazwisko Siciuski! – wrzasnął do niego Belzebub.

Diabeł, drżąc ze strachu, zaczął wertować księgę swoimi umazanymi atramentem palcami. Natychmiast otworzył na literze „S” i zaczął szukać nazwiska aptekarza.

– Władco, otós tutaj wpisane jest coś niecytelnego – wyseple-  
nił – może to i będzie Siciuski...

I tak przestępował z nogi na nogę nie mogąc odczytać nazwiska, że aż zalał się potem.

– Co to za porządki w tym waszym piekle! – ostatecznie zdenerwował się aptekarz i zaczął wymachiwać termometrem doktora. – Sami nie możecie odczytać, co napisaliście! Żadnych lekarstw dla was nie przygotuję! Radź sobie ze swoim spłaszczonym ogonem...

Belzebub aż się zmarszczył, kiedy to usłyszał i zaczął rozglądać się wściekłym wzrokiem wokół. Wreszcie, nie znalazłszy innego wyjścia, powiedział:

– No dobrze, zgadzam się, możesz iść sobie z doktorem – tylko co prędzej wylecz mój ogon.

Doktor z aptekarzem strasznie się ucieszyli i natychmiast zabrali się do pracy. Najpierw obwiązali ogon Belzebuba, a potem załadali kotła do gotowania lekarstwa.

– Przynieście kocioł! – rozkazał Belzebub.

– Tylko że Panie – nieśmiało wybąkał jeden z diabłów – prawie wszystkie nasze kotły są dziurawe...

– Jeszcze nie naprawione, wy lenie śmierdzące! – rozsierdził się Belzebub. – Natychmiast dostarczcie choćby ten ostatni, w którym gotował się Siciuski.

Wnet pobiegły w podskokach cztery diabły i, stękając, przywlekły ciężki kocioł.

Doktor poszperał w torbie z lekarstwami i wlał ostro pachnące medykamenty do kotła.

– Kto wie doktorze – zapytał jeszcze aptekarz, mieszając lekarstwo widłami – kto wie, czy lekarstwo dla ludzi pomoże również diabłu? Czy nie trzeba by do niego smoły wlać?

– Można wlać! – potwierdził doktor po chwili namysłu i chlusnął wiadro smoły do kotła.

Wreszcie skończyli.

– Zatem trzeba pić pełną nabierkę trzy razy dziennie i dwa razy w nocy – wyjaśnił doktor Krztyna pacjentowi.

Potem wziął swoją torbę lekarską i wyszedł z aptekarzem z komnaty Belzebuba.

Gdy doszli do sali, ze wszystkich kątów zbiegły się diabły i otworzyły im drzwi piekieł.

– Szkoda, że wychodzisz – mówiły do aptekarza – bylibyśmy znów w karty pograli. Cóż będziemy tutaj robić bez ludzi?

Ale Siciuski tylko pokręcił głową.

– Co to za życie wśród sady! – roześmiał się. – Przecież nie jestem diabłem... – i zaczął wspinać się po schodach na górę.

Gość Krztyny odprowadził ich do sieni i otworzył kluczem czarne drzwi.

Wyszli na ulicę. Było wciąż jeszcze ciemno i pusto, tylko ulice wypełniła jasna mgła.

– Szczęście, że taka mgła w mieście – powiedział aptekarz – to nikt nas nie zobaczy. Nie wypada mi przecież, umarłemu, po mieście spacerować...

I skierowali się w jeden z pustych zaułków.

Kiedy doszli do placu ratuszowego, aptekarz się zatrzymał. Kolorowe witraże katedry<sup>12</sup> błyszczały w świetle wschodzącego słońca, a wierzchołek jej wysokiej wieży zatopiony był w gęstej mgle.

Aptekarz ze smutkiem podał doktorowi rękę.

– No, to musimy się rozstać – powiedział. – Z tej wieży można dotrzeć do raju, a stamtąd, jak wiadomo, już i niebo nie tak daleko. Dziękuję ci, doktorze, że nie zawahałeś się wpaść nawet do piekła. Inaczej nie wiadomo, ile czasu jeszcze przyszłoby mi w kotle się gotować.

Serdecznie się pożegnali, aptekarz wszedł do kościoła, a w wilgotnych jego rzeczach zamigotały połyskujące barwy okien.

Doktor stał na placu obok tatarskiego kiosku<sup>13</sup> i patrzył na wieżę. W jej okienku raz jeszcze pokazał się aptekarz, poma-

<sup>12</sup> Kowieńska archikatedra św. Piotra i Pawła usytuowana jest u zbiegu ul. M. Wołączewskiego (lit. Valančiaus g., zachodnia fasada) i ul. Wileńskiej (lit. Vilniaus g., fasada południowa), które stykają się z Placem Ratuszowym (lit. Rotušės aikštė).

<sup>13</sup> Kiosk tatarski stojący na Placu Ratuszowym był jednym z wielu charakterystycznych kiosków, jakie stawiano w okresie międzywojennym w Kownie. Zezwolenie otrzymywały tylko te projekty, które miały wyraźnie orientalny charakter, zob. <http://tarpukaris.autc.lt/lt/paieska/objektas/641/istoriniai-kauno-miesto-kioskai>.

chał doktorowi ręką i za chwilę znikł mu z oczu tam, wysoko, we mgle.

W tym momencie zamyślony doktor Krztyna skierował się do domu i szedł pustym chodnikiem, na który tylko od czasu do czasu spadał śpiący liść kasztanowca.

– A to dziwne zdarzenie! – powtarzał sobie.

Kiedy wrócił do domu, siadł przy stole i próbował jeszcze czytać bajkę. Ale natychmiast zasnął na krześle – tak był zmęczony. I tylko wiatr, który wpadł przez otwarte okno, zaczął przewracać stronicę książki, szukając bajki o piekle.



# Jak diabeł Smolichwost zszedł na złą drogę





Całe piekło już dawno zauważyło, że z diabłem Smolichwostem coś niezwykłego i podejrzanego się działo. Chodził ciągle, uśmiechając się wesoło, po najbardziej ustronnych kątach piekła i osobliwe, że nawet tak interesujące zajęcie jak rozpalanie ognia pod kotłami zupełnie go nie cieszyło.

– Tak, tak – skrycie martwił się ojciec Smolichwosta, – oto jakiej wdzięczności doczekałem się na starość! Co też wyrośnie z mojego Smolichwosta: ani w karty nie gra, ani nie przeklina, ani smoły nie pije! Jakież z niego diabeł! Jeszcze zbłądzi chłopaczysko na dobrą drogę...

Tak rozpacział stary diabeł, ze smutkiem kręcąc siwą głową i ukradkiem zerkał w ślad za Smolichwostem, który przechadzał się po piekle wspierając się na widłach.

A Smolichwost marzył wtedy o ziemi. Niejeden raz słyszał on od mądrych diabłów, które udawały się na ziemię duszami pokupczyć, jakoby była ona zachwycająco piękna – nie ma tam ani zapachu siarki, ani parujących bajor smoły, którymi w piekle wypełnione są całe zakątki. Dlatego też po tym, jak doktor Krztyna odwiedził piekło, Smolichwost przygotowywał się do ucieczki z piekła na ziemię: gotów był on zostać uczciwym jej mieszkańcem.

I oto jednego dnia, kiedy wszystkie diabły zasnęły (bo jak wiadomo, biesy śpią tylko w dzień) i w piekle tylko głośne chrapanie diabłów było słychać, Smolichwost cicho wstał z łóżka. Wziąwszy koniec ogona w rękę, żeby nim o nic nie zahaczyć, ostrożnie wymknął się przez drzwi. Ukradkiem prześliznął się przez wielką salę, gdzie cicho szumiąc gotowały się kotły i włął do ciasnej jamy prowadzącej do tylnych drzwi piekła. (Główne drzwi bowiem, wychodzące na starą ulicę Grodzieńską, zawsze były zamknięte na klucz.) Jama wiła się i powoli wznosiła w górę, a królowała w niej taka ciemność, że nawet sam diabeł niczego nie widział.

Wreszcie dotarł do zardzewiałych drzwi. Otworzywszy je, diabeł trafił do szumiącej dąbrowy<sup>14</sup>. Świeciło tutaj oślepiające

<sup>14</sup> Stare i Nowe Miasto położone u zbiegu Niemna i Wilii otacza od północy i wschodu Zielona Góra (lit. Żaliakalnis), której częścią jest Dąbrowa (lit. Ažuolynas). Na tej

słońce, w drzewach śpiewały ptaki o czerwonych podgardlach, a w głębokim rowie, wśród dzikiej koniczyny, szemrała niebieska rzeczka<sup>15</sup>.

Smolichwost stanął oszołomiony takim pięknem i z zakłopotaniem zaczął drapać się w głowę. Po prostu nie wiedział co dalej ma robić. Potem począł brodzić swoimi czarnymi kopytami w rzeźce, zrywając kwiaty i gwizdząc wesole, piekielne piosenki.

Gdy tak włóczył się bez sensu, nadszedł wieczór. Diabeł zgłodniał, zmarzł i postanowił poszukać noclegu. Właśnie niedaleko, na skraju dąbrowy, dymiło się z komina samotnego, białego domku. Diabeł podkraść się bliżej. Obok furtki spotkał starego i szanowanego profesora wracającego z muzeum<sup>16</sup> z drogocennymi obrazami pod pachą.

– Dobry wieczór – powiedział Smolichwost grzecznie się skłaniając, ponieważ był wyjątkowo dobrze wychowanym diabłem.

Staruszek również odpowiedział: „Dobry wieczór”. Ale kiedy lepiej się przyjrzał nieznanemu i zauważył, że to diabeł, to aż mu dreszcz po plecach przeszedł.

– Bies! – krzyknął i, wyrzuciwszy obrazy, bez tchu wbiegł do domu.

Smolichwost podrapał się po czerepie, zdziwiony rozejrzał się wokół i zamruczał:

– Czyżbym to ja takie złe wrażenie zrobił?

Zebrawszy porzucone przez staruszką obrazy, cicho zastukał do drzwi.

– Kto tam? – odezwały się ze środka wystraszone głosy.

– Oj, proszę się nie bać, nic strasznego, to tylko ja, diabeł – uspokajał Smolichwost.

---

wyjątkowej, ogromnej przestrzeni do dziś rosną przede wszystkim dęby – niektóre kilkusetletnie.

<sup>15</sup> Częścią Dąbrowy jest Dolina Mickiewicza (lit. Micevičiaus slėnis), przez którą przepływa niewielka rzeczka Girstupis – prawy dopływ Niemna.

<sup>16</sup> Ów profesor to zapewne Paulius Galaunė (1890-1988), historyk sztuki, autor licznych publikacji na temat litewskiej sztuki, założyciel i kierownik Galerii Čiurlionisa; prof. Galaunė został teściem Juliusa Kaupasa. Jego dom znajduje się na północno-zachodnim skraju Dąbrowy, przy al. Vydūnasa 2 (lit. Vydūno al.).

Wszystkim ze strachu aż włosy dęba stanęły.

– To ten sam obrzydliwiec! – krzyknął stary profesor, a syn wzięwszy kij, podszedł do drzwi:

– Czego chcesz? – powiedział gniewnym głosem, ale drzwi na wszelki wypadek nie otworzył.

– Chciałbym wam oddać obrazy – odrzekł diabeł, nieśmiało chrobocząc paznokciami w drzwi – A jeśli byłoby miejsce, to z przyjemnością również bym przenocował, ponieważ na dworze zimno. Może znajdzie się puste łóżko?..

– Niedoczekanie twoje! – wypalił mężczyzna, zmarszczywszy czarne brwi – U nas żaden diabeł nie nocował i nocować nie będzie! Obrazy postaw przy drzwiach na schodach, a sam idź sobie do diabła skąd przyszedłeś. Jeszcze łóżko nam wysmolisz!

Tak diabeł, niczego nie zyskawszy, musiał wrócić z powrotem do lasu. W tym czasie zupełnie się ściemniło. Na niebo wzeszedł księżyc, wybladły niczym nieboszczyk, a poskręcane gałęzie dębów oświetliło nieprzyjemne światło. Zdawało się, że całą dąbrowę zaludniły niespotykane straszydła. Gdzieś na cmentarzu<sup>17</sup> przeraźliwie pohukiwał puszczyc, a diabłu aż zimny dreszcz przeszedł po skórze.

– To straszne! – powiedział zdjęty strachem – Tutaj, bracie, nie piekło!

Zaczął biec. Przeskoczywszy przez płot, który się napatoczył i przebrnąwszy przez kilka grządek pachnących kwiatów, odbił się od szklanej ściany cieplarni. Widać trafił do miejskich ogrodów<sup>18</sup>.

– To dobry nocleg! – zaczął zacierać ręce uradowany Smolichwost. Otworzył wąskie drzwiczki i, zgarbiwszy się, wlaź do środka. Było tu duszno i ciepło – choć może nie tak, jak w piekle – i zapachy dziwnych roślin unosiły się w powietrzu. Zadowolony diabeł położył się w donicy pod ogromną palmą i zasnął.

<sup>17</sup> Chodzi o nieistniejący już prawosławny cmentarz, który znajdował się przy szosie oddzielającej Dolinę Mickiewicza od reszty Dąbrowy.

<sup>18</sup> Na mapach przedwojennego Kowna, wzdłuż al. Vydūnasa, znajdowała się hodowla roślin ozdobnych i owocowych; były tam szklarnie i inspekty, w których uprawiano ponad 5 tys. gatunków.

Tej nocy spóźnieni przechodnie, idąc samotnie ścieżkami dąbrowy, jeśli tylko dobrze wsłuchali się, to słyszeli przerażające chrapanie diabła i, wielkim strachem zdjęci, gnali przyspieszonym krokiem do domu.

Kiedy Smolichwost w końcu się obudził, słońce wysoko już wzeszło. Diabeł leniwie się przeciągnął i, nawet się nie umywszy, wyszedł na ulicę. Mało ludzi przechodziło w tym podmiejskim zakątku, ale wkrótce obok przemknęła czarna dorożka. Ukradkiem uczepiwszy się jej z tyłu, skulił się diabeł, żeby czasem nie zauważył go brodaty woźnica i pognął z turkotem ulicą. Przejchawszy trochę dotarł do dużego placu, który wypełniony był nieprzebrany mrowiem ludzi. Tego dnia bowiem w Kownie odbywał się targ<sup>19</sup>.

Diabeł natychmiast zeskoczył z dorożki i wmieszał się w trąkoczący tłum, tak różnorodny, że nawet sam bies w nikim nie wzbudził zainteresowania. Z zaciekawieniem przechadzał się on pomiędzy wojskowymi i kupcami, pomiędzy starymi, palącymi wygięte fajki i pomiędzy młodymi, miejskimi urwisami, które natychmiast diabła zaczęły ciągnąć za ogon.

– Różni przybysze w czasie targu tu wałą – gadali dwaj żebracy między sobą – nawet i diabłów, jak się okazuje, nie brak.

– Widać nasze targi już i w piekle zrobiły się głośne – odrzekł drugi z drewnianą nogą – tym większa sława dla miasta Kowna, a tym samym i dla nas dwu, najważniejszych jego nędzarzy.

Tak wreszcie nadeszła pora obiadu i diabeł zaszedł do pobliskiej piwiarni coś przekąsić.

Przy długich, dębowych stołach tłoczyli się ludzie, otuleni dymem tytoniowym, pili piwo i zakąszali, rozmawiając i robiąc szum jak w pszczelim ulu. Jednakże gdy tylko diabeł wkroczył przez drzwi, wszyscy nagle zamilkli, jakby zabrakło im tchu i wbili w niego wystraszone oczy.

<sup>19</sup> Najprawdopodobniej chodzi o tzw. Stary targ (lit. Senoji rinka), który działał od 1852 r. na placu zwanym dziś pl. Sejmu Założycielskiego (lit. Steigiamojų Seimo a.). O targowiskach w przedwojennym Kownie zob. A. Morkūnaitė-Lazauskienė, *Kauno turgaviečių bruožai (1919–1940 m.)*, „Kauno istorijos metraštis”, 2011, nr 11, s. 55-72.

– Diabeł, diabeł przyszedł... – zaczęli szeptać między sobą przestraszonym głosem i z przerażeniem pokazywali palcami na Smolichwosta.

Diabeł jednak pobiegł w podskokach w najdalszy kąt piwiarni i usiadł przy wolnym stole, położywszy ogon na oparciu krzesła.

– Ej, gospodarzu, chodź tutaj! – zawołał klasnąwszy w owłosione swoje ręce – Nie zapominaj o gościach! Nieś tutaj pieczeń z żaby w sosie nietoperzowym!

Gospodarz zamarł i pobladł jak prześcieradło. Nie wiadomo co by się stało, ale na szczęście w tym momencie z hukiem otwały się drzwi gospody.

Dwaj paradni policjanci wkroczyli do środka, połyskując złotymi gwiazdami i skrzypiąc wysokimi, błyszczącymi butami.

– W samą porę, panowie! – krzyknął gospodarz drżącym głosem i szybko podbiegł do nich. – W samą porę! Patrzcie, w kącie diabeł siedzi, widzicie? – i nerwowo ocierał spocone swoje czoło. – Do gospody nawet psów wprowadzać nie wolno, a tu pomyślcie tylko – sam diabeł!

– Aresztować! Aresztować diabła! – krzyknął ktoś. – On mojego dziadka kusi do gry w karty!..

W pomieszczeniu podniósł się hulaśliwy rwetes, ponieważ wszyscy rzucili się oskarżać diabła.

Policjanci jednak ani trochę się nie zdziwili – w swoim życiu nie takich przestępców widzieli. Znak tylko dali jeden drugiemu i mrugnęli okiem. Potem zbliżyli się do diabła, majestatycznie brzęcząc srebrnymi ostrogami i położyli mu ręce na ramiona.

Wyższy rangą policjant uroczyście odchrząknął i przemówił gromkim głosem:

– W imieniu policji miejskiej pan, jako kusiciel ludzi, jest aresztowany! Proszę pójść z nami do sądu.

Po takich uroczystych słowach diabeł tylko się skulił i próbował wleźć pod stół. Jednakże policjanci dobrze znali procedury aresztowania i wyciągnąwszy zza pasa ciężkie kajdanki, zało-

żyli je diabłu na łapy. Potem wyprowadzili, nieprzystającego wierzgać Smolichwosta z piwiarni i dumnie pociągnęli ulicami miasta. Połowa biesiadujących ludzi podążyła za nimi.

– To nasi dzielni policjanci! – dziwili się gapie na chodnikach – Nawet i diabła w końcu złapali. Zawsze mówiłem, że nasi policjanci nie wypadli sroce spod ogona!

Tak przy niekończącym się szepcie przechodniów, doszli do miejskiego parku<sup>20</sup> i wkrótce dotarli do okazałego gmachu sądu, którego wysokie kolumny, jak się zdawało, nawet i samo niebo wspierają<sup>21</sup>.

Policjanci wprowadzili Smolichwosta do przestronnej sali, pękającej w szwach z powodu mnóstwa ludzi. Za wysokim stołem siedzieli miejscy sędziowie, wszyscy z siwymi brodami i połyskującymi okularami, wielkimi jak patelnie, żeby lepiej przestępców widzieć.

– Niezłego ptaszka, sędzio, tym razem złapaliśmy! – przemówił wyższy rangą policjant. – Samego biesa!

Natychmiast cała sala zaczęła huczeć, wzburzać się i wchodzić na ławy, żeby lepiej diabła zobaczyć.

Jednakże przewodniczący sędzia zadzwonił dzwonkiem i cmentarna cisza zapanowała w sali sądowej.

– Jak się nazywasz? – zapytał sędzia stanowczym głosem.

– Smolichwost...

– Jaka jest twoja profesja? – ciągnął sędzia, groźnie patrząc na Smolichwosta przez wielkie okulary.

– Jestem diabłem... – odpowiedział Smolichwost drżąc ze strachu.

Natychmiast cała sala zaczęła głośno się śmiać.

– Diabeł! – zaczął złościć się sędzia. – Sam widzę żeś diabeł! Ale co robisz?

– Nic nie robię, jednak wcześniej to ogień pod kotłami rozpałałem.

<sup>20</sup> Chodzi o Ogród Miejski, w którym stoi Teatr – dziś Kowieński Teatr Muzyczny, dawny Teatr Państwowy (lit. Valstybės Teatras).

<sup>21</sup> Opisowi odpowiada gmach byłego Ministerstwa Sprawiedliwości (dzisiejsza Filharmonia) u zbiegu ulic Orzeszkowej (lit. Ožėškienės g.), Sapiėhy (lit. Sapiėgos g.) i Donelaitisa (lit. Donelaičio g.).

Sędzia wszystko zaznaczył czerwonym atramentem w grubej sądowej księdze, a potem przemówił spokojnym głosem:

– Teraz niech oskarżony powie, jakich przestępstw się dopuścił lub dokonał?

Zaraz skoczyło jakichś stu ludzi na sali i zaczęło krzyczeć wyciągnąwszy ręce.

– On ludzi kusi! – wrzeszczeli. – Na złą drogę sprowadza.

Na próżno Smolichwost starał się tłumaczyć, że jest niewinny, to znaczy dopiero wczoraj wieczorem pierwszy raz na ziemię przybył i wcale nie po to, by ludzi kusić, nikt jednak w tym hałasie go nie słuchał.

Sędzia przewodniczący zadzwonił dzwonkiem i przemówił:

– W takiej sytuacji zapraszam siebie samego i innych członków sądu na tajne posiedzenie.

Rada z łoskotem powstała z krzesel. Wszyscy wyszli gremialnie do przyległego pokoju, zamknęli na klucz drzwi i, na ślepo zamknąwszy okiennice, rozpoczęli tajne posiedzenie.

– Trzeba diabła wsadzić do więzienia i zamknąć na cztery spusty, żeby nie uciekł – mówił sędzia z taką łysiną na czubku głowy, że nawet w ciemności połyskiwała.

– Ale więzienie<sup>22</sup> jest już całe pełne! – odpowiedział naczelnik więzienia, dzwoniący żelaznymi, ciężkimi kluczami, wiszącymi u pasa. – Rozbójnik Brodacz był ostatnim, którego jeszcze jakoś udało się upchnąć...

– Trzeba Brodacza wypuścić, a diabła zamknąć! – krzyknął inny, który był tak chudy, że niemal nie było go widać. – A najlepiej to wszystkich wypuścić – bo któż zechce siedzieć w więzieniu razem z diabłem?

– Ale jeśli wypuścimy wszystkich, to znów trzeba będzie zamontować sobie kłódki w kieszeniach – z uporem sprzeciwiał się inny, energicznie wymachując rękami. Rozbójnik Brodacz bowiem był mu ukradł talię kart i fajkę z tytoniem. – Będzie jeszcze większa bieda! Wtedy lepiej już diabła...

<sup>22</sup> Więzienie w Kownie znajduje się w kwartale pomiędzy przecinającymi się ulicami Mickiewicza (lit. Mickevičiaus g.) i Kiejstuta (lit. Kęstučio g.) oraz wąską ul. Drukarską (lit. Spaustuvininkų – w międzywojniu była to ul. Więzienna; lit. Kalėjimo g.).

– Spójrzmy do kodeksu i zobaczmy, jakie kary przewidziane są dla diabłów – nieśmiało zaproponował sekretarz. Pisał on bardzo pięknie i oprócz tego nosił za uchem atramentem kapiące pióro.

To była dobra myśl. Cała rada natychmiast obstała sekretarza i zajrzała do wyfluszczonego, odrobinę przez myszy nadgryzionego, kodeksu.

– Oto kary dla rozbójników... – zaczął mrużyć sekretarz, z czcią rozpościerając stronicę księgi. – Tu zaś dla pijaków kary... Tu znów dla karcarzy... – i tak powoli przewertował on całą księgę. – Dziwne! Dla wszystkich przewidziane są kary, tylko jedynie dla diabłów nie...

– Jak to nieprzewidziane? – zdziwili się wszyscy z niedowierzaniem. – Pomyślcie, dla takiego zbrodniarza!..

– Nie ma – powtórzył sekretarz – dlatego chcąc być sprawiedliwymi nie możemy go skazać.

– Niestety, nie możemy... – potwierdzili również sędziowie.

– W takim razie ogłaszam posiedzenie tajne za zakończone i zamknięte – obwieścił sędzia przewodniczący i skoczywszy, otworzył drzwi.

Wszyscy wyszli do wypełnionej hałasem sali i zasiedli na aksamitnych krzesłach.

Sędzia przewodniczący wypił szklanekę wody, chrząknął i rzekł:

– Rada sądu, składająca się ze mnie i z innych, nie mniej sprawiedliwych sędziów, rozpatrzyła sprawę Smolichwosta na tajnym posiedzeniu. Dowiedziono, że prawo nie przewiduje kar dla diabłów, dlatego rada ogłasza, że diabeł Smolichwost jest niewinny.

Tutaj spojrzął na innych sędziów, jakby miał wątpliwości i na wszelki wypadek dodał:

– Oprócz tego, w więzieniu w tym momencie i tak nie ma miejsca. Za to postanowiliśmy, że Smolichwost będzie mógł mieszkać gdzieś niedaleko więzienia i zająć się jakimś pożytecznym i nieszkodliwym rzemiosłem.

To powiedziawszy usiadł i zadzwonił dzwonkiem.

Policjanci zdjęli krępujące diabła kajdanki, tenże tylko skłonił się sędziom, dziękując za dobre serce i uradowany tak szybko umknął z sali, że spod kopyt tylko iskry się posypały.

Na ulicach radośnie świeciło słońce, biegały bure psy, a zadowolony diabeł spokojnie przechadzał się zaułkami starego miasta, rozmyślając, jak tu zacząć pracować i gdzie tu znaleźć jakieś brudne od sadzy zajęcie.

Oto na dachu jednego z wysokich domów siedział kominiarz i tak żwawo czyścił kominy szczotką i mydłem, że aż bańki unosiły się w powietrzu. Diabeł niepewnie wlaź na drabinę i zagadnął, czy nie potrzeba mu czasem pomocnika.

– Zobaczmy co potrafisz – powiedział kominiarz podniósłszy czarną twarz. – Właż tutaj!

Diabeł wziął szczotkę i, wlaźszy na komin, zaczął go czyścić – ale cegły zrobiły się jeszcze brudniejsze: taki bowiem ubrudzony sadzą był diabeł Smolichwost.

– Zobacz co narobiłeś, szkodniku! – wrzasnął wściekły kominiarz – Do niczego się nie nadajesz! – i, schwyciwszy diabła za rogi, wrzucił go do komina.

Smolichwost, z okropnym hukiem i otulony kłębami sadzy oraz iskier, wpadł do piekarni Ciastowicza<sup>23</sup>.

Ciastowicz wszak był najodważniejszym człowiekiem w całym Kownie i nawet samego diabła się nie bał.

– Czego sobie pan życzy? – uprzejmie zapytał, strzepując mąkę z rąk. Pomyślał bowiem, że diabeł chce u niego ciasteczek kupić.

– Szukam pracy – strachliwie wybełkotał Smolichwost – mógłbym na przykład, choćby i rozniecać ogień. Mam dużą praktykę w tym fachu.

Ciastowicz podrapał się po swojej łysiej czaszce i chwilę pomyślawszy, przyjął go do siebie jako piekarza.

Jednakże nie na długo! Natychmiast stało się jasne, że chleb pieczony przez diabła jest byle jaki. Już nie wspominając o tym,

<sup>23</sup> Na Placu Ratuszowym, jak podają książki adresowe, piekarnia znajdowała się pod nr 15., prawdopodobnie gdzieś w okolicy Poczty Konnej (lit. Kauno arklių pašto stotis).

że zawsze zajeżdżał siarką, szybko okazał się oczywiście szkodliwy, ponieważ od niego ludziom zaczęły rosnać ogony.

„Gdy ta niebezpieczna choroba się utrwałała – odnotowały medyczne roczniki z tego okresu – przyszło podjąć środki nadzwyczajne i, opierając się na postanowieniach rady lekarskiej, Smolichwosta natychmiast usunąć z pracy.”

Tak Smolichwost został rozporządzeniem samego burmistrza wyrzucony z piekarni.

Powoli szedł on brzegiem przystani<sup>24</sup>, a jego serce ogarnął wielki smutek.

– Do czegoż się nadaję, nieszczęsny! – lamentował zmartwiony – Nie ma dla mnie miejsca na tym świecie. O, nieszczęsny! I na co musiałem się diabłem urodzić!

Tak biadoląc dotarł do kościoła Karmelitów<sup>25</sup>. Przez otwarte jego drzwi płynęło spokojne dudnienie organów oraz czysty zapach kadzidła. Zdziwiony diabeł stanął i długo patrzył w migotanie zachwycających woskowych świec i w ciemne, w złotych ramach obrazy, jakich nigdy jeszcze nie widział.

Ogarnęła go bezgraniczna ciekawość i spróbował wśliznąć się do środka, tylko nagle przyskoczył do niego stary organista i zaczął lżyć.

– I czego to nie wymyślą te diabły! – ze złością wykrzykiwał. – Tylko pomyślcie – już zaczynają złe nawet do kościoła się wciskać.

W tym czasie obok przechodził siwogłowy pleban, sławny ze swej mądrości, ponieważ zawsze chadzał z grubym brewiarzem pod pachą.

Zobaczywszy Smolichwosta, zatrzymał się i wyciągnął jeden palec w górę.

– Poczekaj! – tknęło go. – Trzeba by diabła przyjąć do siebie na służbę!

<sup>24</sup> Niemen był rzeką żeglowną, stąd znajdowała się przy Starym Mieście i ciągnęła wzdłuż Nowego Miasta przystań rzeczna.

<sup>25</sup> Kościół Karmelitów pod wezwaniem Świętego Krzyża (lit. Šv. Kryžiaus bažnyčia) jest miejscem, w którym autor bajek – Julius Kaupas – został ochrzczony. W 1845 r. Rosjanie zamknęli kościół i klasztor, a w budynkach klasztornych urządzili lazaret (szpital wojskowy funkcjonował do 1970 r.); zob. *Kauno architektūra*, s. 97-102.

I zaproponował diabłu:

– Czy nie zgodziłbyś się przypadkiem u mnie zatrudnić jako cmentarny stróż?

Z radości byłby diabeł nawet do góry podskoczył (jeśli tylko jego kopyta nie byłyby takie ciężkie) i bez namysłu się zgodził. Łzy radości ciekły po jego umorusanej sadzą twarzy.

Tak koniec końców Smolichwost znalazł sobie zajęcie, a na dodatek nie za daleko od więzienia, jak to był nakazał sędzia.

Zamieszkał w takiej starej zapadającej się chałupce, w ciemnym zakątku cmentarza<sup>26</sup>, w którym różnych pijaków i złodziei, a także innych cnotami nieodznaczających się parafian zwykło się chować. Diabła tam często można było zobaczyć łopata ciągle kopiącego ziemię, a do pilnowania cmentarza to lepszego stróża i ze świecą nie można by znaleźć – ludzie już z daleka przechodzili na drugą stronę ulicy, bowiem po zmroku jedynie z łękiem spoglądali w stronę cmentarza.

Jednego wieczora dwaj szczeni pijacy wtoczyli się na cmentarz, chcąc odwiedzić jednego zmarłego swojego kompana. Wesoło śpiewając i wymachując butelkami zbliżali się do jego grobu, obiecując wypić połówkę za jego zdrowie. Ale nagle wesoła ich pieśń ucichła i aż włosy im stanęły dęba ze strachu. Tylko pomyślcie – wokół grobu ich kumpla grzebał coś przerażający bies, okropnie wymachując swoim czarnym ogonem!

– Uciekajmy, diabeł! – krzyknęli, okropnie przestraszeni i, rzuciwszy butelki, tak szybko ulotnili się z cmentarza, że w ciągu kilku chwil znaleźli się w miejskim parku<sup>27</sup>.

Od tego momentu tych pijaków w żadnym szynku, nawet w czasie największych świąt, nie można było znaleźć. Stali się oni porządnymi obywatelami i sławnymi działaczami społecznymi.

<sup>26</sup> Cmentarz Karmelicki albo Stary Cmentarz w Kownie powstał w 1847 r. na odebranych karmelitom terytorium i stał się głównym cmentarzem miasta. Podzielono go na trzy części: największa (środkowa) przeznaczona była dla katolików, południowa dla prawosławnych, a północna dla luteranów i muzułmanów. W 1959 r. władze sowieckie zlikwidowały cmentarz. Dziś w tym miejscu znajduje się tzw. Park Spokoju (lit. Ramybės parkas).

<sup>27</sup> Czyli koło dzisiejszego Teatru Muzycznego.

Rozeszła się wieść o diable również po całym mieście. W niedzielę ogromna rzesza ludzi w kościele Karmelitów się zbierała – bowiem w niedzielę diabeł nie pracował i, pięknie uczesany, przechadzał się bez zajęcia po przykościelnym cmentarzu – pojawiali się nawet i najwięksi bezbożnicy, którzy normalnie nigdy do kościoła nie zachodzili: wszyscy chcieli diabła zobaczyć. Przyjeżdżali ludzie i z okolicznych miast, cała ulica zastawiona była dorożkami, nawet przecisnąć się nie było można.

„Wielu niewierzących w naszym mieście wówczas się nawróciło – pisały gazety kowieńskie tego roku – na własne oczy zobaczywszy diabła. Wszyscy i w diabły, i w piekło uwierzyli. Ludzie jakoś lepsi się stali: pijacy rzucili picie, rozbójnicy do lasu chodzili tylko na grzyby i jagody, karcjarze na Placu Ratuszowym publicznie swoje karty spalili. Spokój zapanował w mieście Kownie i cnoty w nim bezustannie kwitły.”

Wieść ta dotarła ostatecznie i do samego piekła. Trzeba przyznać, że był to niemały cios dla diabłów.

– Któż mógłby uwierzyć! – ze smutkiem powtarzał sobie ojciec Smolichwosta, usiadłszy na beczce smoły. – Pomyśleć tylko, mój syn w kościele służy! Któż to widział, żeby dzięki Smolichwostowi ludzie lepsi się stawali! Prawdziwy wstyd, powiadam! Gdzież dawna moc piekielna się podziąła!

Natychmiast zwołano powszechne zgromadzenie diabłów. Ojciec całkowicie wyrzekł się swojego syna marnotrawnego, a potem, przeprowadzono tajne głosowanie i Smolichwost został skreślony z diabelskich spisów.

Tak przeszło parę lat.

Pewnego dnia mądry pleban dostał list od samego świętego Piotra. (To dziwne pismo również teraz jeszcze można przeczytać w kancelarii probostwa Karmelitów.)

„Drogi plebanie – pisał w tym liście święty Piotr – od zmarłych ludzi, przychodzących do nieba, dowiedziałem się, że u ciebie służy sam diabeł. To jest szkodliwe zjawisko i trzeba z tym zrobić szybko porządek, ponieważ któż widział – przyjmować na służbę diabła! I gdzież to można słyszeć, żeby ludzie chodzili do kościoła nie po to, by słuchać zacnych słów księdza,

lecz aby zobaczyć budzącego lęk czarta! Nieprzyjemnie przecieć i mi wpuszczać takich ludzi, którzy do nieba przychodzą tylko dlatego, że wystraszyli się diabła. Dlatego oddał go jak najszybciej, plebanie, niechaj znajdzie sobie inną służbę, bardziej pasującą do jego czarnej natury.”

Tak koniec końców diabeł stracił i tę ostatnią – a wydawało się taką stałą – pracę.

Opuszczony przez wszystkich snuł się po ulicy bezgranicznie zrozpaczony, płacząc rzewnymi łzami, czarnymi jak atrament.

Na szczęście obok kuśtykali dwaj żebracy (ci sami, którzy kiedyś byli na targu) i ten, który miał drewnianą nogę, krzyknął do Smolichwosta:

– Cóż się stało, przyjacielu, że tak rzewnie płaczesz? Spójrz, cały chodnik swoimi łzami, niczym atramentem zalałeś! Powiedzże, co ci tak serce ściska!

Usiedli na ławeczce obok krzewu jaśminu i obaj żebracy z powagą wysłuchali bolesnych skarg diabła.

– Nie ma co rozpaczać – pocieszył Smolichwosta starszy nędzarz, ten, który był bardziej obdarty – my również tacy sami nieszczęśnicy jak i ty. Z nami nie zginiesz, nie bój się! Chodź razem z nami!

Żebracy wzięli diabła pod pachy i podpierając się kosturami, zaprowadzili do przytułku dla bezdomnych. Wszystkie kąty pełne były ubogich, włóczęgów, bezdomnych i najróżniejszych obieżyświatów.

– Tutaj, z nami, jest prawdziwe twoje miejsce! – dumnie mówili ubodzy. – Tutaj prawdziwe twoje schronienie, nie masz po co po nieprzyjaznym świecie się tułać...

Od tego czasu diabła można było znaleźć w schronisku dla bezdomnych bez zajęcia łożącego po podwórzu i zadającego się tylko z cieszącymi się niezbyt dobrą sławą włóczęgami. Towarzystwo, wiadomo, było nie najlepsze i wkrótce Smolichwosta sprowadziło na złą drogę.

Zaczął się upijać, nauczył się kłać i długie wieczory przesiedział w jakiejś ustronnej karczmie na przedmieściach, grając

w karty ze złodziejami i oszustami. Tak powolutku schodził na złą drogę i można było się obawiać, że po śmierci, co bardzo możliwe, trafi znów do piekła.

# Serce czekoladowego żołnierzyka





W ciemnym kącie placu Ratuszowego, niedaleko od samego ratusza, stoi dziwny, zielony dom z połyskującymi szklanymi drzwiami<sup>28</sup>, a ponad nimi wisi obwarzanek i biały szyld z tymi znaczącymi słowy:

### CUKIERNIA PIEKARZA CIASTOWICZA

Jak twierdzi stróż ratuszowy, w cukierni tej były wypiekane najsmaczniejsze na świecie ciasteczka. Obwarzanki przybywał tu kupować sam burmistrz, przyjeżdżali też konno brodaci rozbójnicy z pobliskiego lasu z zatkniętymi za czerwonym pasem nożami, a zimą to i sam bałwan przychodził do niej się ogrzać i pijał kawę z miodownikami. Wszyscy przecież wiedzą, że nawet gwiazdki świecące ponad naszym miastem, upieczono w piekarni Ciastowicza i z rozkazu burmistrza powieszono zostały na niebie!

Zatem rozumiecie sami, jaka niezwykła była zielona cukiernia Ciastowicza.

Pewnej słonecznej, jesiennej soboty, sławny zegarmistrz Tykalski, zamyślony i niezmiernie zatroskany, wszedł przez dzwoniące drzwi cukierni. Znalazł piekarza gorliwie zarabiającego ciasto, bo – jak wszyscy pewnie wiecie – kiedykolwiek by się nie weszło do piekarni, zawsze znajdzie się piekarza ugniatającego ciasto. Tykalski grzecznie się z nim przywitał i, co warto zaznaczyć, ubrudził ciastem całą swoją dłoń.

– No, co jesteś taki zmartwiony, zegarmistrzu? – powiedział do niego piekarz, wyciągnąwszy rękę, z których zwisało ciasto.

– Widzisz, piekarzu, zmartwienia – odrzekł ten zamyślony. – Dzisiaj burmistrz przyniósł mi bardzo zepsuty zegarek... Tylko pomyśl: wypadł on z drugiego piętra i jeszcze gdzie – wprost pod koła przejeżdżającego wozu.

– Hm! Hm! – mruknął piekarz. – Zdaje się, niełatwo będzie go naprawić... zegarek przecież, wiadomo nie ciasto – od nowa nie ulepisz.

<sup>28</sup> Okolice Poczty Konnej, gdzie pod nr 15. była wg. ksiąg adresowych piekarnia, można uznać za „ciemny kąt placu Ratuszowego”.

Na pocieszenie i dla osłodzenia swoich kłopotów Tykalski kupił sobie woreczek obwarzanków. Potem zerknął na swój srebrny zegarek, krzyknął, że musi gdzieś spieszyć i już szykował się do wyjścia. Ale gdy wkładał zegarek z powrotem do kieszeni, ten wypadł z ubrudzonej ciastem dłoni Tykalskiego i, cicho chlupnąwszy, zanurzył się w cieście. Jednakże zegarmistrz zupełnie nie zauważył tego szczególnego zdarzenia – tak był zatroskany – i głośno gryząc obwarzanek, wyszedł przez drzwi.

Piekarz natomiast zarabiał ciasto dalej, oczywiście może trochę i dziwiąc się, że dało się z niego słyszeć jakieś niejasne i tajemnicze tykanie.

Wreszcie skończył zarabiać i przelał ciasto do form, przedstawiających odważne żołnierzyki, psy, bałwanki i policjantów. Potem otworzył gorące drzwiczki pieca i wrzucił tych bohaterów z rosnącego ciasta łopatą do środka. Trochę odczekawszy i niecierpliwie pokręciwszy wokół pieca, wyciągnął zarumienione ciasteczka. Tu piekarz cicho się roześmiał pełen dumnej radości i, usiadłszy przy stole, zaczął pokrywać je płynną czekoladą.

Wziąwszy w ręce żołnierzyka, zatrzymał się na moment zdziwiony i odrobinę wystraszony.

– Patrzcie no – rzekł do siebie, objęty dziwnym niepokojem – rzekłbyś żywy! Mógłbym przysiąc, że słyszę jak puka jego serce... – i nie mogąc uwierzyć, przyłożył ucho do piersi żołnierzyka. W niej właśnie znajdował się zegarek Tykalskiego i radośnie pukał niczym srebrne serce. Zdziwiony piekarz zaczął kręcić głową. Potem, pełen cukierniczego natchnienia, odlał żołnierzykowi ostrą szablę z cukru, w miejsce oczu wstawił dwa niebieskie cukierki, a w czapkę wetknął piękne, purpurowe pióro.

– Teraz to jesteś w pełni przygotowany na bohaterskie wyprawy! – uroczyście powiedział Ciastowicz i ustawił żołnierzyka na półce obok wściekłej cukrowej myszy, tak bezwzględnej, że natychmiast zżarłaby żołnierzyka, gdyby tylko nie była cukrowa. Od tego momentu żołnierzyk zaczął bardzo nie cierpieć myszy.

Skończywszy pracę, piekarz zdjął biały swój fartuch i zgasił światło.

– Czekaj! – nagle mu przemknęło – Trzeba zrobić prezent Algiskowi.

Wszak jutro przypadała niedziela.

Ciastowicz wziął żołnierzyka w ciepłe ręce i cicho wniósłszy do dziecięcego pokoju, położył go na stertę zabawek obok niebieskiego drewnianego konia. Potem łagodnie się uśmiechnął i na palcach wymknął się z pokoju. Tylko w progu raz jeszcze się zatrzymał i szeroko ziewnął przykrywszy ręką usta. Zauważył to patrzący przez okno puszczyk i wysnuł wniosek, że piekarz widocznie bardzo się zmęczył w ciągu tygodnia.

Wreszcie do miasta przyszła noc.

Na ciemne niebo wszedł ciągle uśmiechający się księżyc, a jego jasne światło, niby jakiś roztopiony cukier, rozlało się na pociemniałych, do czekolady podobnych, dachach domów. Ulice umilkły, tajemnicza cisza ogarnęła cukiernię Ciastowicza i tylko, jeśli dobrze się wsłuchać, ciche pukanie serca żołnierzyka słyhać było w pokoju.

Nagle po niebie przebiegła szara chmura, bardzo przypominająca dużą mysz i jej nieprzyjemny cień na chwilę zakrył księżyc.

Serce żołnierzyka zaczęło pukać głośnie. Cicho zabrzączał swoją cukrową szablą i, podskoczywszy na czekoladowych nogach, zaczął niespokojnie rozglądać się niebieskimi oczami wokół.

– Boże – coś złego wyczuwam w tym pokoju! – powiedział po cichu i uderzył ręką szablą w dwoje spiczastych uszu wystających ze sterty zabawek. – Hej, leniu, wyłaż.

Coś cienko zarżało w stosie zabawek i szurając i trzeszcząc, wygrzebał się z niej niebieski drewniany koń.

– Pojedziemy szukać przygód, koniu! – zawołał żołnierzyk, zwinnie wskoczył na siodło i spał rumaka ostrogami. – Noc przecież taka krótka!..

Niezadowolony koń coś zamruczał pod nosem i leniwie puścił się na drewnianych nogach po podłodze. Bowiem zwykle każdej nocy spał w stercie zabawek, jakby był nieżywy.

Rozpoczęła się niezwykła podróż.

Wjechali na czerwony dywan i błędzili daleko w jego bezgranicznych równinach, gubiąc się w bogactwie wzorów, a końskie nogi zanurzone po kolana, plątały się w miękkich i szumiących kudłach.

Wkrótce dotarli do ciemnego i gęstego lasu – to sterczały brązowe, z dywanu wynurzające się nogi krzeseł. Konia natychmiast objął okropny strach, chociaż las był drewniany – tak jak on sam i mieszkał w nim tylko szmaciany pies. Z ledwością odnalazłszy drogę z tego przerażającego leśnego gąszczu, koń puścił się po szerokim cieniu, który tak jak wszystkie cienie, był twardy niczym jakiś gościniec i dlatego bardzo wygodnie się nim galopowało.

Wkrótce dywan się skończył. Wyjechali na woskowaną podłogę, śliską jak lód na ślizgawce, a niezgrabne końskie nogi zaczęły się ślizgać. Ledwo nie przewrócił się z odważnym jeźdźcem na ziemię.

– I trzeba nam było tak daleko jechać! – mruczał do siebie niezadowolony koń, ale nie zdążył tych słów wymówić, kiedy przestraszony uderzył nozdrzami o ścianę.

– Oto i dotarliśmy do końca świata! – zawołał żołnierzyk. – Prawdę mówią stare pisma, że dla odważnego serca świat zawsze jest za mały.

Jednakże, jak się okazało, to jeszcze nie był koniec świata, ponieważ, kiedy trochę podjechali wzdłuż ściany, dotarli do ciemnego otworu z obgryzionymi brzegami, z którego płynęły wilgoć i chłód, oraz dalekie przytłumione głosy.

Koń zaczął strachliwie strzyc uszami, a jeździec położył dłoni na rękojeści szabli i nasłuchiwał. Wówczas cicho pochylił głowę konia i wjechali do dziury.

Na wilgotnych ścianach nory już nie świeciło światło księżyca. Rosły tu tylko dziwne grzyby i pleśń, a z sufitu zwisały długie, zakurzone pajęczyny i falując, plątały się im pod nogami.

Kiedy podjechali kawałek, w oddali błysnęło żółte światło. Ostrożnie podkradłszy się bliżej, zobaczyli wielką jamę z kamiennym sklepieniem. W kątach stały dziurawe worki z ziar-

nem i ogryzione kawałki sera, a na ścianach wisały portrety starych i zasłużonych myszy.

W samym zaś środku ze złością chodziły wielkie myszy, machały łapami i ścierały się między sobą.

– Cisza! – przerwała wszystkim najważniejsza z myszy – Proszę o ciszę! Przecież zebraliśmy się po to, by wszystko obgadać!

Myszy się uspokoiły, podkuliły ogony i siadły na krzesła.

– Toteż – ciągnęła najważniejsza z myszy grubym głosem – jak wiemy, stara kotka ma trzy kociątka. Teraz są jeszcze małe...

– Małe? Proszę o głos! – natychmiast podskoczyła jakaś niecierpliwa mysz z długimi wąsami – Teraz są jeszcze małe, prawda! Ale kiedy urosną, wtedy koniec z nami, myszami, w tym domu! Koniec ze starą norą przodków z zapasami sera...

Znów z hałasem skoczyły wszystkie myszy, zaczęły machać kończynami, kręcić swoimi wąsatymi pyskami dookoła i głośno się spierać.

– Cisza! Cisza! – ciągle krzyczała najważniejsza z myszy i uderzyła pięścią w stół.

Myszy, głucho pomrukując, usiadły na krzesłach.

– Znam na to sposób – przemówiła znów najważniejsza z myszy, spojrzawszy na wszystkich przez swoje okulary. – Znam chytre wyjście, które zapobiegnie wszystkim grożącym nam nieszczęściom.

Przerwała i mądrze odchrząknęła.

– No szybciej, mów – zaraz ozwało się kilka głosów.

– Komary doniosły mi, że stara kotka poszła w gości – perfidnie tłumaczyła najważniejsza z myszy – i że kocięta w tej chwili leżą zupełnie same. Jak wcześniej wspomniałam w swojej mądrej przemowie, kocięta teraz są jeszcze małe. Dlatego proponuję, co następuje – mysz, podniósłszy swoją łapę z pazurami, spojrzała na wszystkich – oto, co proponuję. Pójdźmy teraz i zagryźmy je, póki jeszcze nie potrafią same się bronić i póki nikt ich nie pilnuje.

– Prawda! – krzyknęła najodważniejsza mysz.

– Zagryźmy! Zagryźmy! – krzyknęło kilka innych i wszystkie myszy poderwawszy się z krzeseł, zaczęły biegać po norze. Potem wydały jakiś bojowy okrzyk i znikły w głębinie.

W tym momencie zagotowała się krew bohaterskiego żołnierzyka i szlachetny gniew wypełnił srebrne jego serce.

– Gonić myszy! – krzyknął, a strachliwy koń z niechęcią puścił się w ślad za myszami.

Przegalopowawszy przez norę i przeskoczywszy worki z ziarnem, zanurzyli się w drugiej jamie, jeszcze ciemniejszej niż pierwsza.

– Ileż było tych myszy – strachliwie strzygąc uszami liczył sobie koń – sześć czy siedem? Niech to diabli, jakie one wszystkie straszne!

– Któż atakując liczy wrogów, koniu! – zawstydził go żołnierz. – Widzę, ty arytmetyki nigdy się nie nauczysz!..

Wkrótce jama się skończyła, dotarł do nich nocny chłód, a koń się zatrzymał. Wyjechali na podwórze. Na ciemnym i zimnym niebie błyszcząły wypieczone przez Ciastowicza gwiazdy niczym małe ciepłe iskry w jesienną noc. Nagle na nagim drzewie zahukała straszna sowa, a wystraszony koń już szykował się, by uciec do ciepłego pokoju.

Ale żołnierz spał go czekoladowymi ostrogami.

– Tylko do przodu, koniu – wykrzyknął – nie zwracaj uwagi, że z chłodu twoje serce odrobinę drży.

– Dobrze, kiedy masz srebrne serce – cicho mruczał do siebie koń, biegnąc kłusem przez podwórze – a ja jestem drewniany i wcale żadnego serca nie mam.

Przebrnęli przez kałużę, a lśniąca odbicie żołnierzyka na chwilę rozbłysło w wodzie obok odbijających się gwiazd.

Wkrótce dotarli do małego składziku i przez szparę w dole drzwi wjechali do środka. Dziwny to był składzik! Na ścianach wisiały ponure mapy, na zakurzonych skrzynkach z wolna obracały się kolorowe globusy, a przy ścianie stał stary, zepsuty zegar, wyrzeźbiony z ciemnego hebanu. Zegar nie chodził, a na jego nieruchomych wskazówkach pająki rozpięły swoje budzące strach sieci. Pod wspianym tronem, ozdobionym złotą koroną, stało kolorowe pudełko po ciastkach; spały w nim trzy białe kocięta. Dokoła natomiast, szczerząc długie kły i ostrożnie kryjąc się za skrzynkami, podchodziły coraz bliżej straszliwe

myszy, łypiące płonącymi oczami i skrobiące ostrymi pazurami w podłogę.

Nikt nie pilnował kociąt. Pożółkły portret Ciastowicza drzymał w zakurzonych ramach, oparty o tron. Jedynie małe, srebrne serce żołnierzyka biło w tym pomieszczeniu, spragnione zwycięstwa i walki.

– Wstrzymajcie się niegodziwe! – krzyknął do myszy szlachetny żołnierzyk, stając w strzemionach. – Stójcie i brońcie się! Nie przypuszczałyście, że przyjdzie wam ze mną się spotkać – i wyciągnąwszy cukrową szablę z pochwy, rzucił się naprzód.

W jednej chwili głowa najbliższej myszy, okropnie dudniąc stoczyła się na podłogę. Pozostałe jednak tylko zapiszczały i rzuciły się na niego, lecz w odważnej piersi żołnierzyka biło nie byle jakie serce! Tylko machał szablą na wszystkie strony, pokrzykiwał, dodając koniowi odwagi i niszczył szeregi szarych myszy. Kocięta, które usłyszały taki hałas, przebudziły się i patrzyły przestraszonymi oczętami na bitwę. Mówi się, że nawet drewniany koń w blasku ich oczu zyskał podwójną odwagę, choć normalnie szczególną śmiałością przecież się nie odznaczał.

Ile czasu trwała ta pamiętna bitwa, pozostaje wielką tajemnicą, ponieważ, jak wspominaliśmy, stojący w składziku zegar był zepsuty i nieruchome jego wskazówki spały zamknięte w pajęczynach. Wiadomo tylko, że w czasie boju szeregi myszy błyskawicznie stopniały. Koniec końców została tylko największa z myszy, ale zebrawszy ostatnie siły, żołnierzyk bohaterско natarł na nią i przygwoździł do czarnego zegara cukrową swoją szablą. Tym uderzeniem wstrząśnięte młoteczki zegara poruszyły się i zaczęły wygrywać cichą melodię zwycięstwa, potem ucichły, a mysz pozostała na wieki przybita do nieruchomego zegara.

W tym momencie żołnierzyk podjechał do bombonierki i dumnie przywiązał niebieskiego konia do tronu.

– Dziękujemy ci, rycerzu – powiedziało jedno białe kociątko, z gracją skłaniając głowę, ozdobioną czerwoną wstążką. – Naprawdę nie wiem, jak możemy ci się odwdziżyć...

– To drobnostka – powiedział żołnierz, zdejmując swoją czapkę ze wspaniałym purpurowym piórem i uprzejmie się uklonił – miło mi, że mogłem wam pomóc.

To powiedziawszy, spojrzął w zielone oczy kotki i tu pierwszy raz zadrzętało srebrne serce żołnierza!

– A ja również jestem bardzo odważny – wtrącił się koń i zaczął się przechwalać, wyginając swój ogon z pakuł – Nieważne, że jestem drewniany, a nie prawdziwy. Czyż beze mnie myszy byłyby tak bohatercko pokonane?

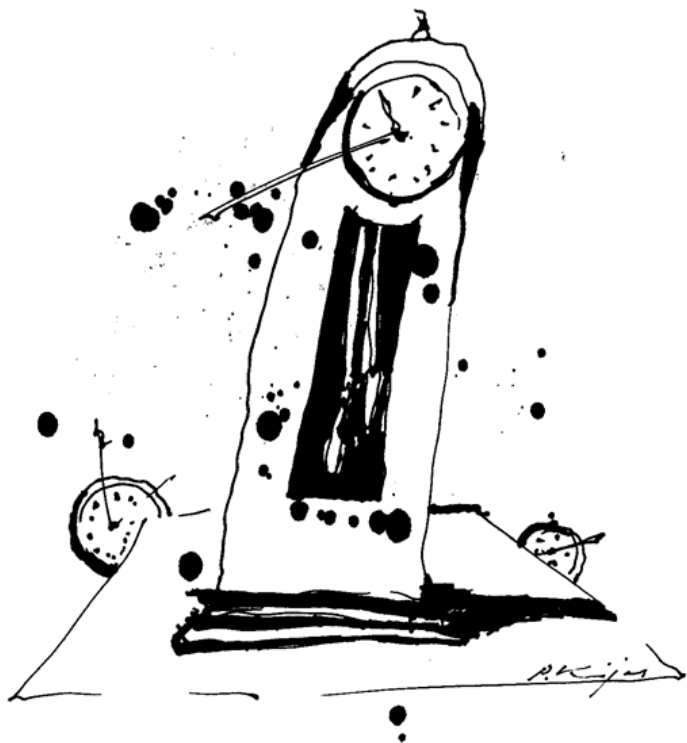
W tym momencie jego mowy jedno z kociąt nie wytrzymało i parsknęło śmiechem, co bardzo ugodziło miłość własną pysznego konia. Dlatego był bardzo zadowolony, kiedy jeździec wreszcie pożegnał się z damą swego serca i odepchnąwszy się od pudełka zapalek, wskoczył na siodło.

Kiedy przyjechali z powrotem, w pokoju było jeszcze ciemno. Jedyne przez dziurkę od klucza docierało z kuchni nieostre światło. Ciastowicz co prawda jeszcze ciągle spał, chcąc choć w tym świętym dniu przyzwyciężenie odpocząć, jednak wcześniej wstająca jego żona już krzątała się wokół pieca, dzwoniąc garnkami i łyżkami.

Koń wygodnie zagrzebał się w stertę zabawek i położywszy drewniane swoje nogi na piersi misia, zaczął beztrudnie chrapać.

A żołnierz usiadł na książce z bajkami i podparł głowę ręką. Poczł zapach parzonej kawy, spojrzął na swoje czekoladowe buty i zamyślił się.

# Czarodziejski zegar Tykalskiego





Owego roku, w okresie Trzech Króli, całe Kowno poruszyło bardzo dziwne wydarzenie. Wszyscy o nim mówili, gazety były pełne sensacyjnych przypuszczeń i niczym niepopartych twierdzeń, natomiast dziekan wydziału filozofii i przewodniczący towarzystwa zegarmistrzów mieli szereg wystąpień o istocie czasu, nie zgadzając się jeden z drugim i podając najróżniejsze argumenty, a nierzadko nawet stawiając czysto osobiste zarzuty. Wielu pobożnych pielgrzymów, długo jeszcze po tych wydarzeniach, chodziło ośnieżonymi, kowieńskimi dolinami na próżno szukając niemożliwej do odnalezienia betlejemskiej szopki.

Niejeden bowiem odniósł wrażenie, że tamtego dnia nasze czasy zmieszały się z biblijnymi, starożytnymi wiekami.

Wiele światła na tę niejasną sprawę rzucają tajne kroniki miasta. Znajdujemy w nich dwie bajki, dotyczące tego samego, w tajemnicy pograżonego wydarzenia, dlatego obie, jedna po drugiej spisujemy i przekazujemy niecierpliwym naszym czytelnikom.

### **Trzej królowie w Kownie**

Był wieczór święta Trzech Króli.

Za oknem, łagodnie szeleszcząc, spadały miękkie i ciężkie płatki śniegu, natomiast w pokoju cicho trzaskał czerwony ogień. Kiejstut z Wiktoorem siedzieli na dywanie oświetleni niespokojnymi płomieniami kominka i czytali podręcznik do religii. Tego wieczora bowiem kończyły się wspaniałe ferie bożonarodzeniowe, kończyło się również wesołe jeżdżenie na sankach z Góry Witolda<sup>29</sup>. Toteż tego nieprzyjemnego wieczora należało koniec końców zacząć przygotowywać się do lekcji.

Czytali o Betlejem i o Trzech Królach.

– To były wspaniałe czasy! – w końcu powiedział długo milczący Kiejstut rozmarzonym głosem – Wtedy to działały się

<sup>29</sup> Góra Witolda albo Park Witolda, to część Zielonej Góry przy Dąbrowie.



cuda – nie tak, jak teraz!.. O, chciałbym i ja choć przez chwilę tam być!..

Wiktor przewrócił się na plecy i włożywszy ręce pod głowę, patrzył na zegar.

– Tak – powiedział – i ja czasem o tym myślę. Ale widzisz, trafić do minionej epoki to nie to samo, co do innego miasta pojechać!

Gdy tak rozmawiali, zegar zaczął wolno bić godzinę ósmą. Obaj gimnazjaliści zamilkli i słuchali jego bicia. Jednak nagle, nie wiadomo, po którym uderzeniu, wahadło zegara stanęło i zegar ucichł.

Zdziwieni chłopcy, ogarnięci niejasnym przecuciem, natychmiast skoczyli z dywanu i wybiegli do jadalni. Przez okno pogrążone w mroku, spojrzeli na blankowaną wieżę Muzeum Wojska<sup>30</sup>. Pośród spadających płatków śniegu dobrze widać

<sup>30</sup> Muzeum Wojska (lit. Karo muzejus) znajduje się na Nowym Mieście w kwartale pomiędzy ul. Donelaitisa (lit. Donelaičio) i Putwińskiego (lit. Putvinskio g.). Zaczęto działać w 1921 w drewnianym budynku z końca XIX w. przy którym stała murowana, charakterystyczna, blankowana wieża z zegarem; w 1929 r. ogłoszono

było oświetlony zegar, ale jego wskazówki stały, a dźwięk dzwonek ucichł nie wybiwszy godziny do końca. Długi czas dzieci obserwowały zegar, ale jego wskazówki się nie poruszyły, jak zatrzymane koło wodnego młyna, nieporuszone już nurtem wody, która wyschła.

Wkrótce ich wzrok przykuło nowe, zadziwiające zjawisko; nad Górą Witolda rozbłysła ogromna, złota, świecąca kometa. Leciąca w kierunku Starego Miasta, a odrywająca się z jej płomienistego ogona iskry spadały na ziemię jak ogniste krople.

Chłopcy popatrzyli jeden na drugiego nie mówiąc ni słowa i dalej obserwowali lot tajemniczej gwiazdy. Jednakże, gdy tylko kometa dotarła do ich domu i wlała się promieniami przez okna do środka, palące się w salonie światło zgasło. Dało się tam słyszeć ciche rozmowy, hałas, niezrozumiałe nawoływania i porykiwanie nieznanym zwierząt.

Chłopcy podkradli się bliżej.

Z podręcznika religii do salonu płynął dziwny tłum. Na początek z kolorowego obrazka wyskoczył król w koronie ubrany w czerwony, gwieździsty płaszcz i dostojnie przeszedł po literach książki machając berłem. Był nie większy od ołowianego żołnierzyka, ale kiedy zeskoczył na dywan, zaczął rosnąć niby wypuszczony z butelki duch. Za nim dumnie wyszli inni dwaj szlachetni i nie mniej czcigodni królowie: jeden na swoje szerokie ramiona zarzucił sobie zieloną chustę, tak jaskrawo lśniąca, że aż cały pokój rozświetliło zielone światło, ostatni z królów – jeśli nie brać pod uwagę jego czarnego jak sadza oblicza – niczym szczególnym się nie odznaczał. Jednakże wszystko to nic w porównaniu z tym okazałym widowiskiem, które można było zobaczyć, gdy w pokoju zaczęły się zbierać kilimami przykryte wielbłądy z mnóstwem sług oraz towarzyszących postaci. Harmider ciągle się wzmagał, ponieważ niemieszczące się w pokoju wielbłądy skubały kwiaty w glinianych doniczkach i ryczały, a ciemnoskórzy przewodnicy stukali po pokoju swo-

---

konkurs na nowy budynek, który uroczystie otwarto w 1936 r.; nowy gmach posiada wieżę z zegarem i kurantami, jednak ma nowoczesną sylwetkę bez blankowania, zob. *Kauno architektūra*, s. 305-309.

imi zadartymi, czerwonymi butami, łazili po sofie popędzając zwierzęta i szukając drzwi na schody.

W końcu je odnaleźli i dziwny pochód, niemieszczący się w salonie, wylał się jak kolorowy wodospad schodami w dół. Baśniowe jego postacie, zanim znikły, zamigotały w szeroko otwartych oczach chłopaków.

Chłopcy szybko się ubrali i spiesząc się na schodach, wskoczyli na garb ostatniego, młodego wielbłąda.

Dziwny korowód wyległ na ulicę.

Tutaj było zimno. Wokół świecących latarni kręciły się spadające płatki śniegu niczym pozbawione sił białe motyle.

Przed drzwiami domu kołysało się kilku rudobrodego rabbinów; pokazywało palcami na lecącą po niebie kometę i prowadziło gorącą dyskusję, coś tam bełkocząc w swoim niezrozumiałym języku. Tak energicznie gestykulowali rękami, że aż po chodniku nie można było przejść. Kłócąc się między sobą zupełnie nie zauważyli, jak wielkie wielbłądy skierowały się wprost na nich i, zapewne, byłyby ich jeszcze rozniosły w proch. Wystraszeni rabini tylko wrzasnęli i rozpięzchli się na wszystkie strony, machając czarnymi swoimi połami. Zatrzymawszy się na drugiej stronie ulicy przy latarni, zaczęli gładzić śniegiem przyprószone oraz ze strachu nastroszone swoje brody, badając wzrokiem niecodzienny pochód. Krótko naradziwszy się, pospieszyli do naczelnego rabina dowiedzieć się, co to za niezwykle cud ma miejsce w Kownie.

Orientalna karawana natomiast wylała się na środek ulicy. Na samym czele jechał konno nadworny astrolog, który wdział na głowę spiczastą czapkę maga i z uwagą śledził złotą gwiazdę przez lunetę. Z tyłu za nim, majestatycznie kołysząc się, jechali bogaci królowie, a trochę dalej – cała niezliczona rzesza sług o kręconych włosach.

Wkrótce korowód dotarł do tyśiącem lamp oświetlonej Alei Wolności<sup>31</sup>. Słudzy wydęli swoje grube wargi pełni

<sup>31</sup> Najważniejsza i najbardziej reprezentacyjna ulica Kowna z luksusowymi sklepami, hotelami, restauracjami i instytucjami, zob. A. Miškinis, *Kaunas: Laisvės aleja*, Vilnius: Savastis, 2009.

zaskoczenia i ciekawie wpatrywali się w okazale przystrojone witryny, w których zieleniły się przybrane świeczuszkami choinki, siedziały czerwone gwiazdory z workami prezentów, mieniły się cukierki i zabawki, ogromne orzechowe torty i dojrzałe winogrona.

Tłum przechodniów, do tej pory beztrוסko tłoczących się na zaśnieżonych chodnikach, natychmiast zainteresował się gośćmi z dalekich stron i zatrzymując się na skraju ulicy, odprowadzał ich wzrokiem pełnym zdziwienia, rozmawiając między sobą i pokazując na wielbłądy. Ci, którzy dobrze nie widzieli, zakładali nawet okulary.

Niełatwo tutaj było zwierzętom kroczyć, ponieważ na ulicy dźwięczały dzwonekami obwieszane sanie i z turkotem spieszyły automobile.

Jeden niezdarny wielbłąd zahaczył żółty kiosk z gazetami<sup>32</sup> i przewrócił go w poprzek chodnika. Z budki posypały się cukierki, pudełka papierosów i pojedyncze stronicze gazet, które wiatr zaczął roznosić po ulicy – jednak włóczędzy, którzy zbiegli się z zakamarków, zaczęli zbierać papierosy i szybko upychać do dziurawych kieszeni.

To zakłócenie porządku czujnym swoim okiem natychmiast zauważył gruby policjant stojący na oświetlonym skrzyżowaniu. Przyskoczył do wielbłąda, który zawinił i szybko wyciągnąwszy z kieszeni notatnik, już szykował się do napisania protokołu. Na szczęście w tym momencie przechodził obok sam naczelnik miejskiej policji.

– Cóż robisz tumanie! – ostro zganiał policjanta. – Czyż nie widzisz, kto tu jedzie? Natychmiast zrób dla karawany miejsce!

To powiedziawszy naczelnik policji oddał królom cześć, zapalił cygaro i energicznie puszczając dym, z wolna podrepotał dalej.

Policjant posłusznie stuknął obcasami i tak gwałtownie się wyprostował, że aż złoty guzik jego munduru, głośno trzaskając, odpadł. Potem zagwizdał w gwizdek, wyciągnął rękę

<sup>32</sup> Na Alei Wolności znajdowały się kioski tatarskie, czyli o wyraźnych cechach orientalnych.

ubraną w rękawiczkę i zatrzymawszy spieszące automobile, pozwolił przemaszerować niespotykanej karawanie.

Pokonawszy jeszcze kawałek drogi, karawana przeszła Aleję Wolności i wkroczyła na Stare Miasto<sup>33</sup>. Krzywe i śniegiem przyprószone ulice powoli utonęły w mroku. Tu nie słyszało się ani hałaśliwego trajkotania przechodniów, ani mnogości świateł nie było widać, tylko czasem na ustronnym poddaszu rozblęskło jakieś pojedyncze małe okienko, niczym dogorywająca główka gasnącej zapalki. Na niebie gasły ostatnie gwiazdy, tylko nieomylna kometa pomału leciała swoją drogą.

Długi czas jechali absolutnie w nieznane.

Powoli zaczęło robić się cieplej.

Powiał ciepły wiatr, na niebie zaświeciły nieznane gwiazdy i obaj nasi chłopcy zobaczyli obcy kraj. Śniegu tu nie było. Wokół, jak tylko okiem sięgnąć, ciągnął się żółty piasek pustyni, tylko gdzieś tam łagodnie szeleszcząc, szumiały pochylone palmy. Nogi wielbłądów, zaczerwienione od niezwykłej podróży przez śnieg, zaczęły szybciej wdrapywać się na ciepłe wzniesienia piasku. Zdziwieni chłopcy obejrżeli się, szukając wzrokiem wieży Muzeum Wojska – jednakże widzieli tylko pustkowia, dziwną roślinność i noc.

Kiedy dojechali do cieniejszej oazy, w powietrzu czuć było wilgoć, liście splecionych drzew przebudziły się i zaczęły cicho szumieć, a niespotykane ptaki zaczęły bojaźliwie pokrzykiwać zdziwionymi głosami. Wkrótce dotarli do białego miasteczka. Jego małe domki, witając ich, rozpostarły swoje niebieskawe cienie, niby przezroczyście woale pod nogami karawany. Przez wąskie, matami oplecione okna, gdzieś tam sączyło się światło. Tu nasi chłopcy wspięli się na palce i ciekawym wzrokiem obserwowali dziwnie nakryte stoły, przystrojone siedmioramiennymi świecznikami, wokół których kołysali się brodaci Żydzi – zdecydowanie dostojniejsi od owych włóczę-

<sup>33</sup> Karawana musiała wkroczyć najpierw w ul. Wileńską (w międzywojennym Kownie była ona podzielona na dwa odcinki – Al. Wolności łączyła się z odcinkiem noszącym wówczas nazwę ul. Prezydenckiej, ponieważ prowadziła do Pałacu Prezydenckiego).

cych się po Kownie z workami handlarzy butelek – gryźli chrupiącą macę i szeptali pod nosem niezrozumiałe słowa modlitw.

Jednakże wkrótce domy miasteczka się skończyły i tylko prosta droga, oświetlona blaskiem gwiazd, lśniła niby srebrna szarfa.

Ostatecznie na wilgotnym i wypełnionym cieniami wzgórze, wśród ciemnozielonych świerków, ukazała się przekrzywiona szopka. Przez jej otwarte drzwi i przez szczeliny w omszałych belkach, sączyło się zachwycająco spokojne światło i cichy melancholijny śpiew rozbrzmiewał wśród błękitnej nocy. Wtedy powiał lekki wiatr i na niebie zamigotał czysty obłok – tak podobny do lecącego anioła! – a złota gwiazda uderzyła o jego wyciągnięte ręce i łagodnie dzwoniąc, prysnęła drobnuteńkimi iskrami. Na stajenkę posypał się jasny i cudowny deszcz. Złote gwiazdki zawisły na żywicznych igłach świerków i kołysały się drząc niczym bajeczne ozdoby, a błyszczące nici spłynęły po ich skromnych gałęziach, jak szeleszczące srebrne korale.

W ten sposób zostały przystrojone pierwsze bożonarodzeniowe choinki.

Nadworny astrolog odsunął lunetę od swojego oka i podjechawszy do monarchów, oznajmił, że tu kończy się podróż. Królów objęło więc święte przerażenie i z powagą skłonili ciężkie swoje korony, pełnym mądrości wzrokiem patrząc na świecące drzewka.

I w tym momencie karawana, wijąc się, wspięła na wzgórze.

Władcy niezgrabnie, ale na ile mogli dostojnie, zsiadli z wysokich wielbłądów, a strwożeni słudzy posypali się na czysty jak szkło piasek. Także obaj chłopcy, nie zwlekając, zeskoczyli na ziemię.

Królowie bardziej jeszcze otulili się wspaniałymi płaszczami i otoczeni rojem towarzyszących im osób, wkroczyli do stajenki, więc chłopcy nieśmiało podreptali za nimi.

Kiedy weszli do szopki, najpierw zauważyli miłego, siwobrodego starca z zaczerwienionym nosem, odzianego w ciemnobrązowe szaty. Grzebał w ogniu, ostrożnie podsycając jego płomień; szorstki sznur, który przepasywał jego długi i ob-

szarpany płaszcz, spokojnie i łagodnie kołysał się w powietrzu.

W tym czasie młoda i osobliwie piękna kobieta odchyliła drżącymi palcami jedwabną chustę, która opadła jej na białe czoło i spojrzała na gości czystymi oczami. Potem pochyliła łagodnie wiecznie uśmiechniętą twarz nad nędznym żłobem, w którym spało maleńkie, dopiero co narodzone Dziecię.

Szlachetni królowie z pełnym szacunkiem podeszli do ubożego Dzieciątka, przykłękli przed Nim i złożyli na brudnej słomie drogocenne swoje dary – lśniące złoto, wonne kadzidło ze Wschodu i rzadką mirrę.

Obaj nasi młodzieńcy zaczęli niespokojnie szeptać między sobą. Zaczęli pilnie szperać w swoich kieszeniach i na szczęście wymalali tam pudełko czekoladowych cukierków. Nieśmiało chowając się jeden za drugim, położyli je obok cennych darów królewskich.

Potem wycofali się i znów schowali w tłumie. Pastuszkowie zerknęli na nich czarnymi oczami cicho ciągnąc idylliczną swoją pieśń, pełną niespokojnej tęsknoty, natomiast młodzi słudzy królów, zapomniawszy o wszystkim, zaczęli do wtóru przygrywać na niebieskawych, łagodnie płaczących trąbkach. Nasi młodzieńcy zaczęli z nimi rozmawiać, bardzo szybko się zaprzyjaźnili i na znak przyjaźni wymienili gimnazjalne czapki z niebieskiego aksamitu na żółte turbany, skręcone z ciężkiego jedwabiu, spięte z przodu czerwonymi rubinami.

Wkrótce królowie zebrali się do drogi. Raz jeszcze skłonili się przed Dzieciątkiem – tak, że korona czarnego króla o mało co nie spadłaby z brzękiem na ziemię – i na palcach wymknęli się przez drzewa. Obaj chłopcy podążyli za nimi razem z trajkoczącą gromadą towarzyszy.

Wszyscy znów wsiedli na kołyszące się wielbłądy. Karawana ostrożnie zeszała ze wzgórza, skierowała się na dawną drogę i z wolna oddalała się od niezwyklej szopki. Srebrzysty blask choinek powoli gasł w ciemności, cichła również smutna pieśń pastuszków w oddali.

Czyste i ciemnoniebieskie niebo spowijało niczym olbrzymi dywan z aksamitu dziwną starożytną krainę.

Nagle świętą ciszę nocy przerwały okrzyki, brzęk szabel i dalekie rżenie koni. Zdziwiona karawana stanęła na rozstaju. Nasi młodzieńcy wbili zaciekawiony wzrok w ciemność i nasłuchiwali. Wkrótce z doliny wyłonili się budzący przerażenie jeźdźcy z płonącymi pochodniami, ubrani w czarne szaty, z groźnymi szablami przy czerwonych pasach.

– Kto to? – z przerażeniem zmarszczył czoło mniej doświadczony Kiejstut – Rozbójnicy?

– O nie! To najprawdopodobniej będą wysłannicy Heroda!  
 – skromnie zauważył Wiktor, ponieważ on, czego czytelnik prawdopodobnie jeszcze nie wie, przed Bożym Narodzeniem otrzymał piątkę z religii.

Serca chłopców zaczęły bić mocniej, ale jednocześnie w ich piersiach wezbrała również lekka duma, że tylko oni jedni w całej karawanie potrafią przejrzeć ukryte złe zamiary jeźdźców.

Podjechali do królów i zaczęli szybko im tłumaczyć, a wszystkowiedzący astrolog przyłożył rękę do ucha i potakująco kiwał głową, od czasu do czasu ciekawie zerkając do księgi czarów.

W tym czasie posępni jeźdźcy przygalopowali bliżej.

– Dzięki Bogu, że udało się nam was jeszcze spotkać – ucieszył się dowódca jazdy, w fałszywym uśmiechu wykrzywiając usta. – Naprawdę mówię, szczęście, bo i my chcemy odwiedzić narodzonego władcę i oddać mu hołd.

I w podejrzanym sposobie położył rękę na aksamitnej rękojeści szabli.

Wszyscy trzej królowie spojrzeli pytającym wzrokiem na młodzieńców i podrapali się po brodach, a nadworny astrolog przebiegle się uśmiechnął i skinął na nich palcem, zapraszając do rozmowy.

I Wiktor wytłumaczył jeźdźcom:

– Teraz, wiecie, wasza droga prowadzi tutaj w lewą stronę – i pokazał ręką zły kierunek.

Wówczas okrutni jeźdźcy dziwnie się uśmiechnęli, spięli czarne swoje konie ostrogami i nawet nie podziękowawszy, pogalopowali w dal przez ciemność, unosząc z sobą jak krew czerwone światło pochodni.

Wszyscy odprowadzili ich niespokojnym wzrokiem póki nie znikli pośród sterczących wzgórz, potem tylko odetchnęli i znów ruszyli w drogę.

– Ale poczekaj, gagatku! – nagle krzyknął Wiktor. – Czy nie musielibyśmy wrócić? Przecież trzeba ostrzec również świętego Józefa!..

Nie zwlekając zawrócili swojego wielbłąda, pomachali karawanie ręką żegnając się ze swoimi przyjaciółmi o ciemnych twarzach i wzbijając kurz, pognali z powrotem.

Jednakże kiedy w oddali znów dała się słyszeć cicha pieśń pastuszków, Kiejstut puknął się dłonią w czoło.

– Ale powiedz, jak sami wrócimy do domu? – zwałił zdjęty nagłym strachem. – A jeśli już nigdy więcej nie zobaczymy kolegów z klasy?

Zwlekali, obgryzając paznokcie, jakąś chwilę i odwróciwszy się, z nadzieją spojrzeli na ginącą w oddali karawanę, migoczącą w świetle wschodzącego księżyca.

– A wszystko jedno! – wreszcie powiedział Wiktor dziwnie drżącym głosem. – Trzeba przecież czymś i tu się odznaczyć!..

I przypomniawszy sobie bohaterskie swoje pojedynki w zamku ze śniegu, pogalopowali ku stajence.

I dopiero wtedy, gdy wdzięczny Józef wyruszył z Maryją i Świętym Dzieciątkiem w ciepłą noc, położyli się oni razem z pastuszkami na sianie, zmęczeni i zupełnie wyczerpani, bo spieszyc się, prawdę mówiąc, już nie mieli dokąd. Zgubili się oni bowiem w głuszy dawnych wieków.

Chłopcy zasnęli i tylko bajeczne korale choinek połyskiwały na uśmiechniętych ich twarzach.

Nie wiadomo ile czasu spali, kiedy w nocy dało się słyszeć głucho dzwięki bijącego zegara. Młodzieńcy z trudem otworzyli snem znużone powieki i z niedowierzaniem zaczęli zerkać zdumionym wzrokiem wokół.

Leżeli na marmurowych schodkach kościoła Jezuitów przy samym ołtarzu<sup>34</sup>. Obok nich drzemały maleńka bożonarodze-

<sup>34</sup> Kościół Jezuitów pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego wraz z zabudowaniami klasztorными zajmuje kwartał przylegający do południowej pierzei Placu

niowa szopka i młode choinki, przystrojone gwiazdkami oraz kolorowymi lampkami. Trzej królowie z gliny składali swoje dary przed żłobem i z drewna wyrzeźbieni pastuszkowie nieśmiało sterczeli w sieni stajenki, a pomiędzy nimi wyłowili również figurki przedstawiające ich samych w jezuickich czapkach i z pudełkiem cukierków w rękach. Wszelako ciemny zegar, czuwający na ścianie kościoła, skończył bić ósmą godzinę.

Chłopcy podnieśli się ze schodków i przemknęli przez uśpioną świątynię, a lękliwe ich kroki tajemniczo rozbrzmiewały wśród zatopionych w mroku kolumn, dębowych ławek i pomiędzy starymi konfesjonalami. Otworzywszy ciężkie, drewniane drzwi, rozradowanymi oczami obrzucili znów odnaleziony i tak miły Plac Ratuszowy. W świetle księżycy jaśniała biała wieża ratuszowa, po niebie pędził ostry zimowy wiatr, spokojnym światłem płonęły okna znajomych domów, a w najbardziej oddalonym kącie, naprzeciw katedry, widoczny był nawet i odrapany tatarski kiosk, w którym zawsze kupowali sobie lody.

Młodzieńcy powoli założyli jedwabne turbany na głowę. Przeszli przez ulicę i rozmarzeni kroczyli pod szumiącymi kłobami, głęboko wciągając zimne, zimowe powietrze.

Wróciwszy do domu otwarli książkę do religii i zaczęli z ciekawością przewracać kolorowe jej obrazki, z nadzieją, że jeszcze raz rzucą okiem na karawanę, na królów i na przyjazne ich sługi.

Jednakże, zadziwiająco, karawany w książce już nie było. Ta stronica była zupełnie biała.

---

Ratuszowego, zespół klasztorny mieści się pomiędzy ul. Dowgirda (Daugirdo g.; od zachodu), ul. Aleksoty (Aleksoto g.; od wschodu) i zaułkiem Jezuickim (Jėzuitų skg.; od południa), zob. *Kauno architektūra*, s. 248-253. W latach 1819-1823 mieszkał tu i pracował w gimnazjum jezuickim Adam Mickiewicz.

## Niezwykła moc zegarmistrza

Ulica Benedyktyńska<sup>35</sup>, na której mieszkał zegarmistrz Tykalski, była wąska i kręta niby jakiś splątany sznur. Wszelako sam dom Tykalskiego to już z daleka pachniał tajemniczością; otóż nie tylko że miał on ciemnoczerwony komin, ale również kryształowe okna, pełne poustawianych drewnianych, srebrnych i złotych zegarów. One wszak między sobą gawędząc, tak głośno tykały, że aż cała ulica Benedyktyńska dzwoniła, a psy, przebiegające obok, zawsze zatrzymywały się i gapiły zaciekawione w okno zakładu.

– Któż mieszka w tym dziwnym domu? – pytały jeden drugiego, merdając ogonami.

– Czyżbyś nie wiedział? Wszak zegarmistrz Tykalski! – szczekając, odpowiadały najmądrzejsze z psów.

A jeśli człowiek wszedłby do tajemniczego zakładu Tykalskiego, zatopiłby się, niczym w morzu, w drżących cieniach i straszliwym tykaniu zegarów. We wszystkich kątach pomieszczenia czaiły się zagadki, niesłyszane dotąd dźwięki i zdumiewający blask szyb.

Ale najbardziej zadziwiającą rzeczą był czarodziejski zegar, który majaczył, nieczule zamyślony, na niebieskim dywanie pośrodku zakładu. Był on troszkę wyższy od samego Tykalskiego, ciemny jak noc, cały zabazgrany magicznymi słowami zaklęć i fantastycznymi twarzami. Na jego szczycie siedział nietoperz z poczerniałego srebra z rozpostartymi, nieruchomymi skrzydłami, rzucając smutny swój cień na gwiazdy odlane z czystego złota. Wszelako gdy zegar uroczyście wybijał groźnym głosem godziny, przez kryształowe drzwiczki wyskakiwał tajemniczy czarownik i łopocząc gwieździstym płaszczem, groźnie wymachiwał różdżką.

<sup>35</sup> Dokładnie jest to ul. Benedyktynek (lit. Benediktinių g.), ale autor nazywa ją Benediktinų (Benedyktyńów) – być może w orginale mamy do czynienia z literówką (?). Wznosząca się dość stromo na Zieloną Górę ulica, nazwę swą zawdzięcza klasztorowi, którego zabudowania wraz z kościołem pod wezwaniem św. Mikołaja (lit. Šv. Mikalojaus) położone są na zboczu i górują nad otaczającymi je ulicami, zob. *Kauno architektūra*, s. 198-203.



Już z tego widać, że ten zegar był niezwykle. Trzeba zauważyć, że ilustratorowi, który nie mógł spać, przyszło nie mało trudu dołożyć i długie wieczory szperać w zakurzonych albumach archiwum, póki nie udało mu się, na podstawie wyblakłych fotografii, jako tako tutaj go przedstawić.

I naprawdę zegar ten spowijały głębokie, nieprzeniknione dla nikogo tajemnice. Jeśli starsi czytelnicy dobrze pomyślą, zapewne przypomną sobie, że wcześniej w Kownie czas płynął bardzo nierównomiernie. Kiedy człowiek się radował, jego zegar się spieszył, więc jeśli w szczęśliwej godzinie spoglądał na niego, to dziwił się, jak szybko czas mu biegnie – jednak gdy człowiek się smucił, to jego zegar tykał bardzo wolniutko. Dlatego i nie dziw, że każdy kowieński zegarek pokazywał zupełnie inną godzinę. Uczniowie spóźniali się na lekcje, niecierpliwie pociągi ze stacji odchodziły za wcześnie, gospodynie stałe przypalały pieczeń i straszny bałagan panował w naszym mieście.

– Trzeba w końcu położyć kres tym nieznośnym niedoskonałościom – powiedział raz do siebie Tykalski, zagadkowo głaszcząc swoją spiczastą bródkę.

To powiedziawszy, poczłapał do biblioteki uniwersyteckiej i zaczął o czymś szeptać z jej pomarszczonym kierownikiem, cały czas pokazując palcami na niebo. Zaciekawieni studenci podnieśli oczy znad grubych naukowych ksiąg i śledzili ich zdziwionym wzrokiem. Tykalski coś szeptał do dużego ucha kierownika, ten wszak rozłożył obie ręce, coś zawołał i zaczął potakująco kiwać głową. Schwyciwszy Tykalskiego za rękaw, kierownik zaciągnął go do piwnicy, gdzie butwiały obszarpane, dawno już przez wszystkich zapomniane pisma. Kiedy uchylili wilgotne drzwi piwnicy, kilka wystraszonych zjaw skoczyło od stołu i ze świstem wyleciało przez komin na zewnątrz.

Tu też zaczął pracować zegarmistrz Tykalski.

Długie wieczory czytał przez szkło powiększające starodawne pergaminy, a każdej nocy obserwował przez poczerniały teleskop stale obracające się gwiazdozbiory, budzące lęk zaćmienia księżycy i ognistą drogę raptem rozbłyskujących komet.

Za to w dzień ten uczony mąż liczył coś szczególnie tajemniczego. Wziąwszy taki nigdzie niespotykany liniał i pióro z czerwonym tuszem, kreślił plany najróżniejszych, skomplikowanych, dotychczas nieistniejących zegarów.

Wreszcie rozpoczął budować sam czarodziejski zegar, dopasowując w nim zgrzytające sprężyny i niezmiernie dokładne kółeczka. Po siedmiu latach wytężonej pracy zegar ten został zbudowany i naprawdę można powiedzieć, był to najbardziej niezwykły w świecie zegar! Bowiem w zawiłym jego mechanizmie został ostatecznie złapany sam czas, skuty drobnymi, srebrnymi kółkami, uwięziony za szklanymi drzwiczkami i zamknięty na złoty klucz. Od tego momentu czas musiał iść jednakowo i wszystkie zegary miasta pokazywały prawidłowe godziny. A Tykalski za swoje zasługi został odznaczony cukrowym medalem i wybrany do honorowej rady miasta Kowna.

Wkrótce po tych znaczących wydarzeniach nadeszło święto Trzech Króli.

Ten wieczór zegarmistrz Tykalski spędził w gościach. Tu wspaniale się bawił, popijając mocne wino i gawędząc ze swo-

imi znajomymi oraz licznymi wielbicielami. Najwięcej oczywiście mówił, jak zawsze, sam Tykalski.

– Nie myślcie, że zegar – to taka prosta rzecz – rzekł i wydmuchawszy nos, ugryził kęs migdałowego ciastka. – Nie tak dawno czytałem w gazecie o zegarmistrzu, w którego piersi miast serca tykał złoty zegarek. W tej samej godzinie, kiedy ze-psuty zegar stanął w jego piersi, zegarmistrz umarł.

Tu przerwał i wypił łyk kawy z porcelanowej filiżanki.

– Jednak kto wie – ciągnął podnieconym głosem – czy i w niebie nie ma kramu z zegarkami? Może tam mieszka jakiś stary zegarmistrz, który znów naprawi zegar, który stanął!..

Tu Tykalski nagle przerwał i długo patrzył w kruchą porcelanową filiżankę – jakby bardzo się bał wypuścić ją z rąk i rozbić! I nikt nie rozumiał, dlaczego on wtedy, zdjawszy okulary, ukradkiem otarł gorącą łzę z oczu – być może dlatego, że przestraszył się, że łza kapnie do filiżanki z kawą.

Gdy tak ciekawie sobie rozmawiali, zegar w salonie zaczął wybijać godzinę ósmą i zgromadzeni goście słuchali jego przyjemnego brzmienia. Jednak zadziwiające – złote wahadło zegara zaczęło z jakiejś przyczyny kołysać się wciąż wolniej, jakby tracąc siły. Powoli zupełnie stanęło.

– Czyż nie jest szczęściem, powiedz, przyjacielu, że ja jestem właśnie u ciebie? – krzyknął uradowany Tykalski. – Zegar naprawić to dla mnie sama przyjemność – i skoczywszy od suto zastawionego stołu, pobiegł w kierunku zegara, powiewając białą serwetką pod brodą.

Natychmiast oderwał kruche drzwiczki, z troską przejrzał tylko dla niego jedyne zrozumiałą płataninę i poprawił okulary.

– Dziwne! – zamruczał do siebie pod nosem, błysnąwszy szklami okularów – Naprawdę dziwne! Zegar przecież zupełnie zdrowy! To dlaczego nie chodzi?

Szybko wyciągnął srebrny swój zegarek, zmarszczył czoło i przyłożył go do ucha. Jego zegarek również nie chodził.

Spostrzegłszy to, Tykalski zrobił się bielszy niż wisząca pod jego podbródkiem serwetka.

– Proszę spojrzeć!.. – wymamrotał rozedrganym głosem. – Proszę spojrzeć, czy państwa zegarki tykają?

Goście pobłażliwie się uśmiechnęli, ale na wszelki wypadek zerknęli jednym okiem na swoje zegarki. Jednak wówczas bez troski uśmiech z ich twarzy znikł, ponieważ zegarki ich wszystkich stanęły.

– Nieszczęście! – niespokojnie jęknął ogarnięty strachem Tykałski – Ja przecież zapomniałem swój czarodziejski zegar nakręcić!..

Zdziwieni goście błagali, by wyjaśnił tę łamigłówkę, ale spieszący się Tykałski niecierpliwie machnął ręką i wypadł przez drzwi zapomniawszy i kapelusza, i laski, ledwo zdążywszy palto na ramiona narzucić.

Biegł bez tchu przez zasypane śniegi rozpychając przechodniów na chodnikach i przewracając policjantów na skrzyżowaniach – taki był zmartwiony i niespokojny.

Wokół niego na ulicach miasta zaczęły turkotać starodawne karety, którymi powozili wyniośli słudzy, wystrojeni w czerwone liberie, wśród przechodniów zaczęły pojawiać się dawni rycerze w zbrojach i dźwięczących ostrogach oraz wysocy mężczyźni z przewieszonymi przez ramię niedźwiedzimi skórami, w ozdobionych rogami żubra hełmach na głowach. Wszelako, zerknawszy w Aleję Wolności, zobaczył kroczącą po niej karawanę ze Wschodu.

– Och, jakie zamieszanie! – gryzł się przestraszony Tykałski. – Gdy czas stoi, to i w mieście zaczynają się zbierać mieszkańcy zupełnie innych wieków!

To powiedziawszy, skręcił w pustą ulicę i pod zgasłą latarnią zderzył się z grubą kobietą.

– Dobrze, zegarmistrzu, że ciebie spotykam! – krzyknęła wcale nierozwścieczona, choć normalnie uważano ją za bardzo złą babę. – Mów, jakież dziś dzień? Kogo nie spytać – nikt nie wie. Naprawdę aż strasznie się robi!...

– Jaki dzień, pytasz? – chrapliwie zaśmiał się Tykałski. – Teraz żaden dzień, rozumiesz – nawet i żadna godzina – przecież teraz czas stoi!

I skręcił w ulicę Benedyktyńską.

Wcześniej to już od samego narożnika można było słyszeć radosne tykanie zegarów, jednak w tamten wieczór Trzech Króli panowała tutaj tylko głęboka, grobowa cisza.

Zbliżywszy się do zakładu, Tykalski szybko otworzył kluczem drzwi i, zapalwszy światło, nerwowo ocierał rześisty pot, spływający po jego twarzy. Wszystkie zegary spały w zakładzie zastygłe i nieme, jakby umarłe.

Tykalski zbliżył się do czarodziejskiego zegara i, schwyciwszy złoty kluczyk z bursztynowej szkatułki, już szykował się, by zegar nakręcić.

Jednak na ulicy, za oknem zakładu, w tym momencie za-grzmiały ostre okrzyki i głośny stukot końskich kopyt.

Zegarmistrz doskoczył do okna.

Po bruku ulicy pędzili dziwni jeźdźcy, wznoszący płonące pochodnie, ubrani w czarne, niespotykane szaty i machający starożytnymi szablami.

Przy zakładzie Tykalskiego ściągnęli cugle, konie stanęły dęba, a zdziwieni jeźdźcy zaczęli rozglądać się wokół. Zaczęli się naradzać gestykulując rękami, potem zeskoczyli z rumaków i z hukiem wpadli do zakładu Tykalskiego.

– Mów nędzny człowieku – krzyknął dowódca jezdnych – cóż to za miasto – takiego jeszcze nigdy w swoim życiu nie widziałem! Gdzie trafiliśmy?

– Otóż do Kowna, panowie, do Kowna – śmiał się trochę zdziwiony Tykalski. – Czegóż wy tu u nas szukacie?

– Czego szukamy? – zaśmiał się dowódca czarnych jeźdźców, trochę się ociągając. – Udajemy się z misją. Szukamy widzisz, narodzonego w czasie Bożego Narodzenia władcy, ponieważ chcemy mu oddać hołd. Właśnie spotkaliśmy trzech króli, którzy wracali od niego, musi on być niedaleko – ty powinienes to wiedzieć.

Podjejrzenia Tykalskiego ciągle rosły.

– Zaczekajcie! – powiedział, próbując odgadnąć ich złe zamiary i podrapał się w ucho. – Czy wy nie jesteście czasem posłańcami króla Heroda?

Jeźdźcy cicho skinęli głowami, nie sądząc, że ktokolwiek mógłby wiedzieć o skrytych planach Heroda.

W tym momencie Tykalski wesoło się roześmiał, ponieważ teraz wszystko było dla niego jasne.

– Wiem – powiedział z lekką drwiną w głosie – wiem, że z krwawym zadaniem przybywacie! O tak – przede mną możecie nie skrywać... każde dziecko to wie.

Wystraszeni jeźdźcy aż zadrżeli, usłyszawszy jego nieprzyjemne słowa.

– Co za głupstwa tu pleciesz, człowieku – próbował spokojnie mówić dowódca jezdnych. – Lepiej mów, cóż to za dziwne urządzenie? – i pokazał ręką na czarodziejski zegar.

– To zegar... – odpowiedział uśmiechnięty Tykalski. – Jeśli tego wieczora nie byłby on stanął, to wy do Kowna nigdy byście nie trafili, wy jesteście nieboszczykami – was przecież dawno już robaki zjadły i obróciliście się w proch...

Tak mówił do nich ten odważny zegarmistrz Tykalski.

Tego już próżni jeźdźcy nie mogli znieść i nachmurzyli się jeszcze bardziej, niż oblicza na czarodziejskim zegarze.

– Ten czarodziej zbyt dużo wie – gniewnie powiedział dowódca jazdy i tak mocno uderzył szablą w podłogę, że aż cały zakład zadzwieczał. – I nie dość tego, on jeszcze śmie drwić z nas. Natychmiast ściąć mu głowę, a jego skład podpalić!..

Jeźdźcy wyciągnęli lśniące szable z pochew i już kroczyli po kwiecistym dywanie ku Tykalskiemu. Piętnastu uzbrojonych mężczyzn powstało przeciw zagadkowemu zegarmistrzowi Tykalskiemu, który dzierżył w ręku tylko złoty klucz.

Jednak zegarmistrz, nie bardzo przerażony, machnął ręką.

– Jedną minutkę panowie! – krzyknął, chytrze się uśmiechnąwszy. – Nie tak szybko! Teraz wybiła ostatnia wasza godzina... Zapewne nie spodziewaliście się, że przyjdzie wam umrzeć w sławnym mieście Kownie!..

To powiedziawszy, odskoczył w tył i wsadził klucz do zegara, bowiem jeźdźcy już dosięgali go swoimi rękami.

I tu dokonał się wielki cud!

Ledwo tylko zdążył Tykalski przekręcić klucz, a czarodziejski zegar zaczął tykać, ledwo tylko zaczął iść czas – wszyscy czarni jeźdźcy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na-

gle zastygli, padli na ziemię i natychmiast obrócili się w kopczyk szarego pyłu.

Tykalski lekko westchnął.

Otarł pot i wzięwszy miotłę z kąta, wymiótł prochy jeźdźców przez drzwi. Czarodziejski zegar wszak ciągle jeszcze bił godzinę ósmą dźwięcznym swoim głosem, a czarownik, który wyskoczył przez srebrne drzwiczki, znów wymachiwał zagadkową i pełną dziwnej mocy czarodziejską różdżką.



# Student z brązowej apteki





Wielka ulica Wileńska<sup>36</sup> niespokojnie wiła się, połyskując szyldami, przez sam środek kowieńskiego starego miasta. Stały przy niej ponure, ziejące chłodem domy, zamyślane niby niezwykli strażnicy i tak surowo patrzyły swoimi szklanymi oknami na spieszących przechodniów, że aż strasznie się robiło. Jednak najbardziej ze wszystkich niezwykły i przerażający budynek sterczał naprzeciw lodziarni. Była to brązowa, drewniana apteka<sup>37</sup>, bezgranicznie stara, a zbudowana, jak twierdzą wybitni badacze, przez starożytnego czarownika Omszałego. Jej okna jarzyły się dziwnymi, kolorowymi witrażami, a w drzwiach czaiły się przerażające twarze, wyrzeźbione w czarnym drewnie i, zdawało się, zawsze złośliwie się uśmiechały, kiedy ktoś w mieście zachorował.

Toteż nie dziw, że idąc późnym wieczorem przez opustoszałą ulicę, wtedy, gdy już i przytulna lodziarnia bywała zamknięta na klucz, zawsze nieswojo się człowiek poczuł obok tego okropnego domu. Majaczył wówczas zatopiony w ciemnych cieniach nocy i tylko duża czerwona latarnia, wisząca na ścianie, tajemniczo oświetlała jego drzwi.

Pewnego późnego i nieprzyjemnego wieczoru z nieba spadł zimny, listopadowy deszcz. Po niebie pędziły upiorne chmury, a po pustej ulicy tylko wiatr, żałośnie zawodząc, niósł pożółkłe liście. Tego wieczoru kolorowe światło lśniące w oknach apteki, nagle zgasło, a trzech weseli studenci, którzy wyszli na mokre schodki, szybko zamykali drzwi na klucz.

– No, pędzimy napić się piwa! – zawołał jeden ze studentów, zsunąwszy sobie na tył głowy czerwoną czapkę ze złotymi zdobieniami.

– Popatrzcie no tylko na tego starca! – nagle zawołał drugi, imieniem Karol i pokazał twarz na drewnianych drzwiach. Z jej oczu kapały krople deszczu. – Czy nie wydaje się wam, że on płacze?

<sup>36</sup> Kaupas użył tu dawnej nazwy ulicy, która dziś nazywa się po prostu ul. Wileńską. Jest ona najstarszą i najdłuższą ulicą Starego Miasta, która formowała się od XIV w. i była trasą wylotową na Wilno.

<sup>37</sup> Przy ul. Wileńskiej stały, poza murowanymi kamienicami, również drewniane domy, które nie zachowały się do naszych czasów.

Obaj pozostali roześmiali się i zaczęli palić krótkie fajki. W tym momencie powiał wiatr, czerwona lampa zakołysała się nieprzyjemnie skrzypiąc i nagle, nie wiadomo skąd, w jej świetle pokazała się jasnowłosa dziewczyna. Rozpuszczone jej włosy – dziwne! – nie były mokre, choć dookoła padał zimny, jesienny deszcz.

Zdziwieni młodzieńcy rozejrzeli się wokół.

– Jeśli pani do apteki – roześmiał się wówczas najstarszy student i poprawił kwiecisty krawat – to w najbardziej nieodpowiednim momencie. Właśnie ją zamknęliśmy.

– Ale mnie, mam nadzieję, jeszcze wpuścicie – uśmiechnęła się – ponieważ ta recepta naprawdę już ostatnia dzisiaj.

Student rzucił niedbałe spojrzenie na karteczkę.

– I znów nieszczęśliwe *decoctum!*.. – zawołał wkładając klucz do kieszeni i postawił kołnierz. – Ciągłe te starożytne sposoby!.. To za długo by trwało, moja droga. Proszę przyjść jutro.

– Mimo wszystko proszę nie odmawiać – ciągnęła dziewczyna tajemniczo się uśmiechając – ponieważ nie wiadomo, kiedy będę miała okazję następnym razem tutaj przybyć.

W tym momencie Karol, który cały czas cicho stał z tyłu, znienacka powiedział:

– Proszę dać mi klucz. Zostanę!..

Zrobił duży krok do przodu, światło latarni padło na drzwi i oczy drewnianej twarzy, do tej pory zatopione w cieniu studenta, nagle rozbłyły złym światłem.

– Och Karolu, ty naprawdę masz zbyt wrażliwe serce... – powiedział najstarszy student – Zbyt wrażliwe na piękno – dodał spojrzawszy na bladą twarz dziewczyny.

Dziewczyna się zaczerwieniła, obaj studenci wszak roześmiali się i gwizdząc, poszli ulicą.

– Będziemy czekać na ciebie w piwiarni – krzyknęli jeszcze się odwracając.

Karol nic im nie odpowiedział i zaczął otwierać kluczem drzwi.

W aptecze było jeszcze ciepło. Student zapalił światło i kolorowe butelki na szerokich półkach zapłonęły niespokojnym ogniem.

– Proszę się tutaj i trochę poczekać – powiedział Karol wzięwszy receptę i przeszedł po skrzypiącej podłodze do stołu. Tu się zatrzymał.

– Jaka niezwykła recepta!.. – szepnął przewracając poźółką kartkę – podpisana przez jakiegoś nieznanego doktora... Naprawdę dziwne!..

Zapalił lampkę spirytusową i położył szkło na rozedrganym niebieskawym płomieniu.

Potem zamyślił się i zaczął powolnym krokiem przechadzać się po aptece. Cicho było w pomieszczeniu. Słyszał tylko przytłumione tykanie zegara i głucho bębnienie deszczu w okno apteki.

Student, coś rozważając, długo patrzył w dziwne naczynia z medykamentami, ustawione na stole.

– Ale zaraz! – nagle go tknęło. – Brakuje jeszcze jednego składnika!

Raz jeszcze przeczytał receptę i przeszedł przez ciche pomieszczenie w kierunku szafy. Dopiero po długim poszukiwaniu znalazł starą, tajemniczymi znakami opisaną butelkę, widać dawno nieużywaną, ponieważ cała była oblepiona zakurczonymi pajęczynami.

Ostrożnie, jak zawsze, zaczął wlewać ciecz do buteleczki, ale ledwo tylko pierwsze jej krople dotknęły wrzącego lekarstwa, ciecz zasyczała i ze szkła podniosła się czerwona para, pełna odurzającej woni róż. Zdziwiony student poczuł gorące drganie, które przebiegło od ręki trzymającej butelkę do samego serca, a jego serce zaczęło czuć upojenie.

Karol zbladł. Nagle przypomniały mu się warzone przez dawnych magów napoje miłości, pełne niezrozumiałej mocy i tajemniczego powabu. Przepełniony dziwnym niepokojem podniósł oczy i spojrzał na dziewczynę, która zamysłona cicho siedziała na ławce. Dopiero wówczas student zauważył jak niezwykle piękna była wybladła jej twarz – być może i dlatego, że z obu stron z oparcia ławy obłudnie patrzyły dwie srogie drewniane głowy.

Odrobinę drżącymi dłońmi zdjął lekarstwo z ognia, ciągle nie mogąc oderwać wzroku od dziewczyny. I rzucił jeszcze jedno spojrzenie na receptę, szukając tam wpisanego jej imienia.

– Wirgilia – powiedział wtedy szeptem. – Wirgilia!.. Jakie piękne imię!.. – i głośno powtórzył: – Wirgilia!

Zdziwiona dziewczyna podniosła głowę, a student z jakiegoś powodu długo układał butelki, nie spiesząc się, zapomniawszy też o kolegach czekających na niego w pobliskiej piwiarni.

Nawet zerknąwszy na pośepny zegar na ścianie, najwyraźniej, nie przypomniał on sobie o nich, ponieważ powiedział:

– Proszę spojrzeć, jak późno! Na pewno pani strach będzie wracać pustymi ulicami o takiej porze. Jeśli pani pozwoli, z przyjemnością panią odprowadzę.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko zamyślona, wcale na niego nie patrząc, nieznacznie skinęła głową.

Karol zgasił światło i oboje, wyszedłszy przez drzwi, zatopili się w deszczu.

W którymś z domów grało pianino, ciche dźwięki płynęły ponad żółtymi światłami ulicy i spadały, niby połamane zabawki, razem z deszczem na mokry chodnik.

Szli w milczeniu, a niemy student czuł tylko powiew zachwycającego zapachu róż (dziwne, ponieważ w zwiędłych ogrodach nie było już kwiatów) i odczuwał ciągle mocniej i mocniej bijące swoje serce.

Wkrótce dotarli do wielkiego słupa ogłoszeniowego, który połyskiwał w ciemności jasnymi plakatami. Tutaj Karol się zatrzymał, zupełnie zniewolony nieprzewyciężoną tęsknotą i, odwróciwszy się do dziewczyny, wziął ją za rękę.

– Chcę pani powiedzieć pewien mało znaczący sekret – powiedział. – Pani się zdziwi... tak, ale to prawda. Kocham panią.

Dziewczyna się uśmiechnęła, widać, zupełnie nie wierząc, że te słowa naprawdę mówione są do niej i powiedziała wysuwając rękę z jego dłoni:

– Chodźmy dalej.

Student się zaczerwienił. Szedł spuściwszy głowę, a kłębiące się myśli ciągle krążyły wokół plakatu, który wbił mu się w pamięć – żółtej, bezkresnej pustyni i wspaniałej, bogatej karawany, błędzącej po rozgrzanym jej piasku.

Dziewczyna zatrzymała się w wąziutkiej i ciemnej jak oczy nietoperza ulicy Seminaryjnej<sup>38</sup>.

– Dalej proszę mnie nie odprowadzać. Mam już blisko – i podała studentowi rękę. – Dziękuję ci, szczęśliwy marzycielu – i uśmiechnąwszy się znikła w ciemności, jakby nigdy już więcej nie chciała o tym mówić.

Karol został sam w ślepej ulicy, otulony nieskończonym deszczem, którego kresu nigdzie nie było widać. Podbiegł kilka kroków za Wirgilią. Ale ona, zadziwiająco, rozplynęła się nagle w powstałym wirze wiatru.

Wtedy student poszedł chwiejnym krokiem, ogarnięty zadającym ból niepokojem, po dzwoniącej głucho ulicy.

Idąc obok piwiarni zatrzymał się. Przez szpary w drzwiach płynęło wesołe światło, śmiech, hałaśliwe rozmowy i odgłosy zderzających się szklanic. Wtedy Karol smutnie się uśmiechnął, postawił kołnierz palta i poszedł dalej wietrzną ulicą przez zagrożone w wodach miasto.

\* \* \*

Długie wieczory student błądził w dżdżu ulicami starego miasta pełen tęsknoty i radosnego podniecenia, mając nadzieję, że spotka Wirgilię.

Czyste dźwięki pianina przelatywały niby szklane ptaki przez smutne cienie nocy i wspinała karawana na słupie ogłoszeniowym ciągle błądziła przez bezgraniczną pustynię, jakby śniąc o dalekich i nieosiągalnych oazach. Student długo patrzył

<sup>38</sup> Dawna ul. Seminaryjna, w czasach carskich zwana Szpitalną, jak również Bernardyńska, znajduje się pomiędzy kowieńskim zamkiem a dwoma kompleksami klasztorowymi: bernardynów z najstarszym, pochodzącym z końca XV w., gotyckim kościołem św. Jerzego (lit. šv. Jurgio; zob. *Kauno architektūra*, s. 203-209), oraz bernardynek z końca XVI w. z kościołem św. Trójcy (lit. švč. Trejybės; zob. *Kauno architektūra*, s. 265-267; 267-274). Po zamknięciu klasztoru i przeniesieniu sióstr bernardynek do innych klasztorów – do benedyktynek w Kownie i w Krożach na Żmudzi, oraz do Krok do zgromadzenia katarzynek (M. Valančius, *Pastabos pačiam sau*, Vilnius: Baltos lankos, 1996, s. 141-142), w budynkach poklasztorowych ulokowano seminarium duchowne. Od niego w międzywojniu pochodziła nazwa ul. Seminaryjnej. W roku 1952 przemianowano ją na ul. Podzamcze (lit. Papilio g.).

w jasne okna, które rozbłysły w surowych domach starego miasta, marząc i czekając, czy może pokaże się w nich jasna głowa Wirgilio – bo, kto wie, być może ona mieszka tutaj...

Pewnego wieczora Karol długo stał naprzeciwko apteki i, śniąc, patrzył na niemą twarz z drewna. Ale kiedy się odwrócił i szycował się, by iść dalej, z tyłu dał się słyszeć głuchy i strasznie kuszący głos:

– Zajdź, Karolu, do zakłętego dworu!..

Zdziwiony student odwrócił się. Nikogo na ulicy nie było widać. Tylko wiatr, który nagle się podniósł, kołysał czerwoną latarnią i tajemnicze cienie grały w dziwnie ożywionej twarzy z drzwi, uśmiechającej się wiele obiecującym uśmiechem.

– Czyżbym sam niechcący to powiedział? – rzekł do siebie zaniepokojony student i jego serce zaczęło mocno bić.

\* \* \*

Błądził, pozostawiwszy ulice miasta, po polach pełnych księżycowej poświaty.

Zastygłe drzewa rzucały lękliwe cienie, niespotykane kwiaty rozpostarły odurzające zapachy, a w oddali słyhać było głuche dźwięki, przypominające skrzywienie zardzewiałych drzwi, otwierających się do nieznanego świata baśni. Student marzył pełen smutnej tęsknoty i cicho śpiewał, a czerwona jego czapka błyszczała we mgle jak przygasłe światło.

Dotarł do starego, zakłętego dworu. Tu zagadkowo szumiała aleja drzew, a dalej, w krzakach dzikich róż, czerniała wilgotna baszta rozpadającego się zamku<sup>39</sup>. Student podszedł bliżej. Jednak ledwo tylko wkroczył w gruzy, w baszcie dało się słyszeć straszny krzyk i duży czarny ptak z czerwono żarzącymi się oczyma, załopotawszy ponad zwalonymi murami, znikł we mgle. Przez pierś studenta przemknął dreszcz lęku.

Nasłuchiwał. Było cicho. Światło księżycyca bezdźwięcznie padało na zamarte pola – jednak student mógł przysiąc,

<sup>39</sup> Chodzi o pozostałości zamku w Kownie, zob. *Kauno architektūra*, s. 213-216; Z. Kiaupa, *Kauno istorija*, t. I, Vilnius: Versus aureus, 2010, s. 101-108.

że słyszy pod ziemią ciche głosy i ledwo ledwo słyszalną, zachwycającą muzykę. Z niepokojem się obejrzał. W murach starej baszty świeciło słabe, zielonkawe światło – takie nieostre, że pomyślał, iż to robaczki świętojańskie. Karol podszedł bliżej. Nie – to nie były robaczki, to przedzierało się światło przez dziurkę od klucza w ciężkich, mosiężnych drzwiach. Student, nie wierząc własnym oczom, przyłożył ucho do drzwi. W środku dało się słyszeć zgrzytanie kluczy i dalekie głosy – drzwi, nieprzyjemnie skrzypiąc, otworzyły się – trysnęło czerwone światło, które oświetliło ruiny – i dwaj rycerze w zbrojach wyszli przez drzwi.

– Proszę wejść do środka, studencie – powiedział jeden, wystrojony w srebrny hełm z niebieskim piórem i nisko się skłonił. Na jego opalonej na brązowo, jakby drewnianej twarzy zastygł dziwny uśmiech, przypominający przerażający śmiech twarzy z drzwi apteki.

Zdziwiony student wszedł do środka.

Zaczął schodzić zrujnowanymi, kamiennymi schodami w dół. W niszach zastygły miedziane ptaki o szklanych oczach, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, oświetlone płynącym z dołu złotym światłem, sączącym się z fantastycznie wygrawerowanych świeczników.

Rycerze zatrzymali się obok dębowych drzwi, ozdobionych dziwnymi drzeworytami i brzęknąwszy srebrnymi pancerzami, uroczystym ruchem otworzyli drzwi.

Karol wszedł do wspaniałej sali.

W jej wnętrzu odbywała się wystawna uczta i pociągający to był widok.

Weseli muzykanci grali na nieznanym starożytnym instrumentach, natomiast przy ogromnym stole w migotaniu oślepiających świec roiło się mnóstwo strojnych dworzan i ucztowało. Słudzy szybko nosili pieczyste, nalewali wino z błyszczących, złotych naczyń, słyszało się śmiech i wesoły gwar.

Kiedy weszli do sali, hałas ucichł i rycerze rzekli:

– Panie, jeszcze jeden ptak wyleciał w świat. Ale za to przyprowadziliśmy ci rzadkiego gościa – studenta!..

W tym momencie król, który siedział przy końcu stołu w złotej koronie na siwej głowie, wstał uśmiechając się i skinął na studenta ręką, pokazując tron obok siebie.

– Proszę siadać, gościu!

Ale student stał straciwszy mowę i nie ruszając się, wbił oczy w jasnowłosą królowną w niebieskich, aksamitnych szatach. Stał, nie znajdując słów, z mocno bijącym sercem – to była jego ukochana Wirgilia.

– Proszę siadać! – łagodnie powtórzył król, wskazując dębowy tron między sobą i królowną.

Zmieszany student usiadł na krześle i opuścił wzrok na kryształowy kielich, stojący naprzeciwko niego.

Sługa, który się szybko przybliżył, nalał do jego szklanicę i pustego kielicha królowny ciemnoczerwonego wina, pachnącego upojną wonią róż i student znów pomyślał o napoju i jego dziwnym zapachu, który otoczył go w aptece.

– Zatem wypijmy, marzycielu, szklanicę wina za twoje przybycie do zamku spełniających się marzeń – i król pochylił głowę nad swoim kielichem, jakby nie wytrzymując ciężaru korony.

Karol spojrział w oczy królowny, tajemniczo zerkającej znad kielicha wina na niego. Wypił szklanicę razem z nią i dziwny dreszcz znów przebiegł po jego ciele.

– Drugi raz spotykam ciebie – w końcu rzekł drżącym głosem do królowny – i pytam siebie, kiedyż to był sen – wcześniej czy teraz?

– O nie, teraz ty nie śniesz – odpowiedziała uśmiechnąwszy się i położyła palce na dłoni studenta. – Trzeba zapomnieć o snach – i student poczuł w lekkich jej palcach to samo drżenie, które niepokoiło i jego. Czy to było wino? A może to była miłość?

Wysłuchał się w radosne rozmowy dworzan, w gwarny śmiech oraz w dźwięki muzyki i zaczęło mu się kręcić w głowie.

– Gorąco ci, prawda? – powiedziała królowna wstając i wzięła studenta za rękę. – Chodźmy do ogrodu.

I oboje, wstawszy od stołu, przeszli przez salę.

W ogrodzie świecił księżyc w pełni, w starych jabłoniach żółciły się wspaniałe owoce, natomiast dalej, pod zielonymi palmami, odpoczywały szczęśliwe wielbłądy, jakby znalazły wymarzoną oazę, zmęczone po długiej podróży przez pustynię.

Karola ogarnął bezgraniczny spokój.

Usiadł w białym, marmurowym pawilonie obrośniętym obficie różami. Student rozsiadł się w ławce, jego twarz zatoneła w cieniu róż i oboje długo milczeli.

– Nie wiem co mam powiedzieć – w końcu rzekł wzruszony – obok ciebie czuję takie nieopanowane drzenie... nie znajduję słów, by wyrazić wszystko to, co jest w moim sercu.

Królewna popatrzyła na niego ciemnymi oczami i zaczerwieniwszy się przeciągnęła ręką po jasnych jego włosach.

– Nie mów – powiedziała – wiem... Jak dobrze, że jesteś tutaj!

\* \* \*

W archiwach uniwersyteckich można znaleźć pismo, napisane przez rektora uniwersytetu i podbite wielką uniwersytecką pieczęcią – toteż jest to całkowicie wiarygodne pismo – że student Karol przez długi czas nie pokazywał się w mieście. Nie uczęszczał na zajęcia, nie chodził do apteki, nie zdawał egzaminów i na próżno koledzy go szukali w gwarnych audytoriach.

Karol, odłożywszy na bok swoją zmiętą, studencką czapkę i założywszy królewskie, złotem wyszywane szaty, zamieszkał w zaklętym zamku, który zapadł się pod ziemię.

Zbliżał się dzień jego ślubu z królewną. Student miał odziedziczyć to dziwne królestwo i opierając się na tym – zaznaczając owe znane pisma z archiwum – uniwersytet miasta Kowna otrzymał zupełnie zasłużone prawo nazywać się akademią królewską.

\* \* \*

Pewnego ranka student obudził się w drogocennym pałacowym łożu i skinął ręką na rycerza, który skłonił się czekając rozkazów.

– Powiedz mi – rzekł Karol niespokojnie zamyślony. – Przecież to dziwne: jeszcze ani razu tutaj nie śniłem. Czyż u was nikt nie śni?

– Sny! – odpowiedział rycerz, uprzejmie się uśmiechnąwszy. – Po cóż nam sny? Czyż nie zauważyłeś, królu, że całe nasze życie jest snem, który się spełnił?

Rycerz wsparł się na mieczu i zaczął cicho opowiadać:

– Głośny był nasz dwór w przeszłości – zaczął – całe dnie polowaliśmy w puszczy, wieczorami słuchaliśmy pięknych (ach, jakich pięknych!) opowieści wajdelotów i niecierpliwie czekaliśmy dnia urodzin królowny.

Tu rycerz przerwał rozmarzony, jego zbroja na chwilę rozbłysła w świetle świec i drewniana jego twarz na moment ożyła.

– Jakie cudowne to było oczekiwanie! – melancholijnie rzekł, jakby tęskniąc za starymi czasami. – Ale ostatecznie oczekiwany dzień nadszedł. Zjechało dużo gości, stoły łamały się od potraw i napojów, i rozpoczęła się wspianiała uczta. W środku poczęstunku nasz król podniósł się i zawołał: „To najszcześniejsza godzina mojego życia! O, żeby nigdy nie przeminęła!..”. Kazał zawołać czarodzieja Omszałego, najpotężniejszego mędrca w naszym kraju i rzekł do niego: „Jesteś potężny, czarodzieju i wiele możesz. Spraw, by nasza uczta nigdy się nie skończyła”. Długo myślał wtedy Omszały i ostatecznie rzekł smutnym głosem: „Królu, powiedz lepiej inne życzenie, bowiem co będzie, kiedy twoje szczęście będzie wieczne? Do czego będziesz dążył i czego szukał, czymże żyć będziesz?”. Król jednak odrzekł: „Innego życzenia, mędrcze, nie mam. Spełnij to, o którym ci mówię.” – „Jeśli już każesz, królu – rzekł Omszały – to uczynię, tylko trzeba wynieść klepsydrę z zamku” – „Weź klepsydrę i wyrzuć w odmet jeziora” – rzekł do mnie król, ale Omszały wówczas przyklęknął przed królem i zawołał: „Wypełnię twoje

życzenie, władco, ale spełnij i ty to moje ostatnie – pozwól mi samemu wziąć ją z sobą z twojego zamku”. Król się zgodził na tę dziwną prośbę czarodzieja i ten wyszedł z obliczem pełnym troski ze złotym zegarem przez drzwi. Na dworze wszak wyrzekł swoje pełne mocy słowa zaklęcia i zamek zapadł się pod ziemię. Niespokojne sokoły zmieniły się w miedziane statuy, dworzanie zaczęli śmiać się wesołym śmiechem i szczęśliwa nasza uczta trwa wiecznie.

Student zamyślił się.

– I za niczym więcej nie tęsknicie? – zapytał.

– Tu nie ma tęsknoty – odrzekł rycerz – ale za to są tu biesiadne stoły.

Karol rozważał.

Niespiesznym krokiem zbliżył się do szafy, otworzył ozdobne, kryształowe drzwi. Tam wisały jego stare studenckie rzeczy, tam też czerwieniła się miła, od deszczu wypłowiała jego czapka. Długo patrzył na nią i marzył. Z łękiem czuł, że i jego tęsknota w nim umarła i że czuje on już tylko – o Boże, tylko – szczęście w sercu. Rozejrzał się po lśniącym drogocennymi kamieniami pokoju: to było jego bogactwo, ale, ach, nie kryło się ono już w jego sercu!

Jego serce było puste.

Wtedy posmutniały student zrzucił złotem wyszywane szaty i nałożył szarą swoją marynarkę; przepasał się paskiem i założył aksamitną czapkę na głowę. I rzekł zdecydowanym głosem:

– Wyprowadź mnie, rycerzu, z mojego zamku.

Rycerz posłusznie zadzwonił ostrogami i wyszedł przez drzwi komnaty. Spokojny płomień świec oświetlił szczęśliwy uśmiech rycerza, jednak spuszczone i niespokojna twarz studenta tonęła w cieniu.

W tym momencie cicho otwarły się drzwi komnaty królowej. Pobladła królowa, otulona wspaniałą złotą szatą, stała na progu.

Zobaczywszy studenta wszystko zrozumiała i nie mówiąc ni słowa, opuściła na pierś jasną swoją głowę. Ale kiedy młodzie-

niec zbliżył się do kamiennych schodów, prowadzących do baszty, królewna nie mogła już powstrzymać swojego zdenerwowania i podbiegłszy do studenta z bijącym sercem zapytała:

– Czy ty już mnie nie kochasz?

Karol odwrócił się na schodach. Długo patrzył na nią ze smutnym uśmiechem na twarzy i wreszcie rzekł:

– Kocham cię królewno i jesteś mi taka droga. Ale zostawiam cię, niech ta czysta miłość będzie jedynym moim bogactwem. Nadejdą jesienne noce i deszcz, a ty będziesz daleko – nieosiągalnie daleko. Twój zamek wówczas będzie taki drogi. Będę wiedział, że odnaleźć go pośród pustych pól nie mogę.

W oczach królewny pokazały się łzy.

Wówczas wzruszony student szybko zszedł po schodach i ostatni raz pocałował ją w usta. Potem, ogarnięty dziwnym niepokojem, uciekł po kamiennych schodach do baszty, szeroko rozwarł mosiężne drzwi i nie mogąc złapać tchu, zatrzymał się na ruinach zaklętego dworu.

Drzwi zaskrzypiały i zatrzasnęły się, zamykając bajeczny świat.

Karol stał w bladym świetle księżycy w kruchym pawilonie z marmuru, który połamał się niby wspianiała zabawka.

Jesienny wiatr poruszał puste krzewy dzikich róż i na wierzchołku zwiędłej jabłoni żółcące się ostatnie, może dlatego tak miłe, jabłko.

Student nachylił się do świecącej dziurki od klucza, chcąc raz jeszcze spojrzeć na zamek. Ale to nie było już przez drzwi płynące światło! Błyszczał tam maleńki robaczek świętojański, który schował się w zielonych mchach baszty. Baśniowy zamek był na wieki zamknięty.

Studenta ogarnął wieczny smutek i, ani słowa nie mówiąc, przytulił twarz do zimnych kamieni.

\* \* \*

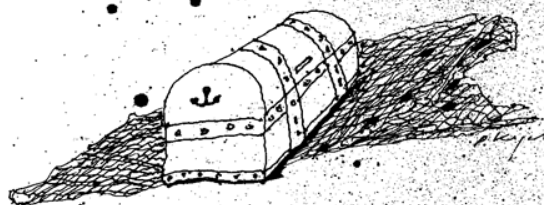
Wkrótce znów stał naprzeciwko drzwi do apteki i niespokojnie pytał siebie, czy niezwykle wydarzenie w zaklętym dworze

nie było tylko dziwnym jego snem. Niektórzy studenci i teraz jeszcze uważają, że wszystko to było tylko snem – co, wiadomo, jest ogromnym kłamstwem, ponieważ jego przygoda, jak wspominaliśmy, jest zapisana w nigdy nie kłamiących dokumentach archiwum uniwersyteckiego.

Im dłużej patrzył na uśmiech twarzy na drzwiach, tym nieprzyjemniejsze wydawały mu się te zastygłe drewniane rysy. Wówczas spuścił głowę i poszedł ulicą pełną listopadowego wiatru – tylko długo jeszcze lśniła czerwona jego czapka w dalekich światłach ulicy, a kiedy i ona przepadła w oddali, w ciemności wciąż jeszcze słychać było smutny i rozmarzony jego śpiew.



# Bajka o niespokojnym rybaku Sylwestrze





Obok tajnych kronik sterczy stara i przez wszystkich zapomniana butelka po winie. Jej zakurzona szyjka jest zakorkowana czerwonym korkiem i opleciona morskimi trawami, pachnącymi solą i rybami oraz obsypanymi maleńkimi bursztynkami. Stąd widać, że odbyła ona długą podróż przez morza. Jeśli spojrzeć przez zielonkawę szkló butelki na okno, w środku widać skręcony w trąbkę rękopis.

Stróż ratusza twierdzi, że tę butelkę złowił pewien latarnik, gdy dryfowała w morzu, koło jego latarni. Jeden rybak, który jechał do Kowna sprzedać swoje flądry, wziął ją razem z sobą i sprzedał w ratuszu bałwanowi. Jest to całkowicie prawdopodobne wyjaśnienie, aczkolwiek i tak pozostaje niezrozumiałe, dlaczego to starodawne pismo jest napisane tym samym zdarłym piórem bałwana. Być może w butelce wcześniej butwiała nazbyt mocno wilgotna bajka, a bałwan, wystraszywszy się, że może całkiem zniknąć, przepisał ją swoją ręką. A może tam niegdyś leżał dziennik stale błędzącego i wiecznie poszukującego Sylwii Sylwestra, na podstawie którego kronikarz napisał tę swoją smutną opowieść?

Ta zagadka być może nigdy nie zostanie rozwikłana, ponieważ nawet sam stróż ratuszowy nie potrafi jej już rozstrzygnąć. Jednak jedno jest pewne: ta butelka po winie bez wątpienia należy do kronik miasta. Dlatego również wspomniane przygody Sylwestra nie są zmyślonymi, lecz prawdziwymi zdarzeniami, tak samo niebudzącymi wątpliwości, jak pozostałe bajki z kroniki.

Tak więc, krótko naradziwszy się ze stróżem ratuszowym, postanowiliśmy również to pismo przepisać do swojej księgi bajek.

\* \* \*

W przeszłości w Poładze<sup>40</sup> jeszcze nie było kolorowych willi letników i hałaśliwe bębny muzykantów jeszcze nie rozbrzmie-

<sup>40</sup> Modny kurort nad Morzem Bałtyckim. Dawniej był to port i osada rybacka. W 1824 r. Poładę kupił hrabia Michał Józef Tyszkiewicz (1761-1839), miasteczko

wały wśród rozsianych w sośniaku ławeczek. Na piaszczystych wydmach migotały, niby drobne stateczki, jedynie małe chatki rybaków. Pod ich zacisznymi drzwiami schły słone sieci, a nieco dalej drzemały obrócone i wysmarowane smołą łodzie. Obdarcy włóczędzy, kładąc się wieczorami na brzegu morza, cieszyli się, kiedy zobaczyli spokojne światło w oknach i wyczuli zapach pieczonych dorszy. Wówczas nie wytrzymywali, zachodzili do środka, długo siedzieli przy palącym się palenisku nie chcąc już wędrować dalej, rozmawiali z gościnnymi rybakami i opowiadali bajki ich ciekawym wszystkim dzieciom.

W oddali szumiało morze, to nieskończenie szerokie, nieuspokajające się i wabiące morze. Podczas burzy niespokojnie śpiewało i przywoływało ku sobie, a wiatry świszcząły i szalały w kominach chatynek, jakby chciały zdmuchnąć przyjemny ogień paleniska. Spienione fale rozbijały się o brzeg, wyrzucając na piasek skołtunione wodorosty, olbrzymie kawałki bursztynów i szczątki rozbitych statków. Kiedy niebo się rozpozogadzało, dzieci wybiegały na brzeg. Dziewczyny zbierały bursztyny i śpiewały, ogarnięte niezrozumiałą tęsknotą, a młodzi chłopcy, wszystko zostawiwszy, długo chodzili po starym moście, patrząc w obiecującą coś dal i czując, jak niespokojne wiatry po bratersku głaszczą ich rozpuszczone włosy.

W tamtych dawnych, zapomnianych przez wszystkich czasach, na górze Biruty – w tym miejscu, gdzie teraz stoi czerwona kapliczka<sup>41</sup> – lśnił obrosły wierzbami pałac. Szyszki, dudniąc, spadały na słoneczne wieże zamku, a od jego dębowych drzwi, pomiędzy sosenkami, wiły się omszałe schody i tonęły w zimnych falach, kołyszących niezliczone łodzie. W tym pałacu w owym czasie żył mądry król, pan wszystkich rybaków Połagi i władca wszystkich łodzi, ze swoją córką Sylwią.

---

zaczęło się rozwijać. W 1877 r. Józef Tyszkiewicz (1835-1891, wnuk Michała Józefa) postawił murowany budynek kasyna, który stał się załóżkiem kurortu.

<sup>41</sup> Góra Biruty, na której dziś stoi mała, murowana kapliczka z czerwonej cegły, znajduje się w parku pałacu Tyszkiewiczów. Legenda głosi, że na tym wzgórzu pochowana została pochodząca z Połagi piękna kapłanka Biruta, którą wziął za żonę książę Kiejstut. Urodziła mu ona syna – Witolda (ok. 1350-1430, Wielki Książę Litewski, brat stryjeczny Jagiełły).

Do jego zamku przyplływało wielu ksiąząt z dalekich i nieznanych krain, by prosić o rękę królowny. Starsi rybacy z daleka rozpoznawali dziwne ich statki, bo nocą jaśniały od pięknych darów i można było się pomylić, biorąc je za latarnie.

Jednak królowna nie wypłynęła ani jednym statkiem. Pokochała ona ubogiego rybaka Sylwestra, którego nędzna i maleńka chatka szarzała na samym brzegu morza niedaleko Szwedzkich Grobów. Kiedy Sylwester w chłodne wieczory przepływał obok zamku z sieciami pełnymi ryb i śpiewał, twarz Sylwii zaczynała się rozpromieniać. Stęsknionymi oczyma spoglądała w ciemne okno, przez które wraz z nocą płynęła upajająca pieśń rybaka, a jej ręce zaczynały drżeć. Tak bardzo pragnęła przystroić pustą chatkę rybaka i ofiarować mu niezwykle bogactwa. Zatem pewnego późnego wieczoru otworzyła oblepione żywicą wrota zamku i, wsiadłszy do ciemnej, pachnącej rakami łodzi rybaka, szczęśliwa popłynęła do jego chatki.

Odtąd Sylwia szyla żagle rybaka i, nucąc, tkala jego sieci. Nocami budziła się obok niego, zanurzwszy ręce w jego ciemnych włosach i słuchając jego zmęczonego oddechu. Jej gwiazdzisty płaszcz, zawieszony na ułamanym gwoździu, migotał wtedy, niby prześwitujący przez sękatę belki maleńki kawałek nieba.

Po jakimś czasie urodził im się syn. Tego dnia rybak poczuł, jak jego chatka nagle wypełniła się spokojem i wesoło pykał fajkę wsparty o parapet. Jednak, gdy wieczorem otworzył okno, światło, jakby nie mieszcząc się już w ciasnych ścianach izby, wdzierało się głęboko w morze, a solą wionące wiatry, śpiewając, wleciały przez okno do wnętrza. Odtąd szczęśliwemu rybakowi zaczęły śnić się niespokojne sny, wywołujące go z domu. Zaczęły mu się majaczyć niebieskie wyspy i wybladła bajkowa księżniczka z wiankiem z błękitnych bursztynów we włosach. Odtąd rybak często zostawiał swoją czystą, obwieszoną obrazami izbę i przez długie, wietrzne wieczory błąkał się po ponurym wybrzeżu morza, snując smutne marzenia. Nie wiedział, co dalej robić ze swoim szczęściem i jego stęsknione spojrzenia rozpościerały się, niczym czarne wstęgi, na niedostępne krainy marzeń.

\* \* \*

Było nieprzytomnie upalne, letnie południe. Uśpione wiatry dryfowały po ledwo poruszających się falach, a morze mieniło się nieskończoną ilością rozpościerających się barw.

Rybak brnął od mostu w stronę Szwedzkich Grobów. Wzdłuż ujścia rzeki Ronży<sup>42</sup>, które w tamtych czasach było szerokie i głębokie, usłyszał dziwne postukiwanie i zaciekawiony podszedł bliżej.

Weseli i ogorzali od słońca marynarze kończyli budować lekki statek i swymi silnymi rękoma wbijali w niego ostatnie gwoździe. Kapitan statku siedział na kłodzie, ubrany w biały sweter w czerwone pasy i głośno pokrzykiwał, nie wypuszczając z zębów bursztynowego ustnika palącej się fajki.

– Dokąd płyniecie? – zapytał zaskoczony rybak.

– Dokąd? – roześmiał się kapitan wyzywająco, wsparłszy rękę na boku. – Tam! – i wesoło machnął fajką w kierunku morza i niebieskich fal, które szumiały, pienią się i rozbijały o brzeg migoczącymi koralami. – Czy ja wiem?

Rybak usiadł na kłodzie i niespokojnie zapalił swoją fajkę.

– Spójrz, jak pracują! – ciągnął wesoły kapitan. – Jak rozszalała diabły, zbudowali statek w trzy dni, jakby pragnąc jak najszybciej uciec z domu... i od swojego spokoju.

Od tych jego słów serce rybaka zadrżało, coś przeczuwając.

– Czy wy przypadkiem nie popłyniecie na niebieskie wyspy? – zapytał, kreśląc coś na piasku patyczkiem. – Tam... gdzie mieszka bajkowa księżniczka?

Kapitan powoli wstał i całą piersią wciągnął w płuca słone morskie powietrze.

– Kto wie! – rzekł melancholijnie. – Na morzu jest wszystko i wszystko można na nim znaleźć: złote rybki, zwodnicze syreny i w topieli śmierć. Morze jest szerokie – i kapitan rozłożył swoje ogorzałe ramiona, jakby chcąc objąć cały ocean – na morzu możesz wszystkiego szukać, rybaka! Być może również niebieskie wyspy czekają na ciebie w oddali.

<sup>42</sup> W miejscowej gwarze nazywana Ronże (lit. Rąže), to uchodząca do Bałtyku rzeczka, oddzielająca park wraz z pałacem Tyszkiewiczów od samego miasteczka.

Oczy Sylwestra zapłonęły, błyszcząc w słońcu. Wstał i podał kapitanowi swą drżącą rękę.

– Kiedy wypłyniecie? – zapytał.

– Jutro, o wschodzie słońca – odpowiedział kapitan. – Gdy tylko statek zostanie skończony, powiedz sam, cóż będzie mogło moich chłopaków chociażby na minutę zatrzymać na brzegu?

– Popłynę z wami – rzekł rybak zdecydowanym głosem i coś spadło z jego serca, niby lśniący, a jednak niewiarygodnie ciężki kamień.

\* \* \*

Tego dnia izba Sylwestra przystrojona była polnymi kwiatami i na nakrytym stole zócił się gęsty miód pitny. Minął rok od dnia ślubu rybaka. Sylwia była odziana w swoje najpiękniejsze szaty i czekała na jego powrót; kiedy rybak usiadł na krześle, uklękła na ziemi i położyła głowę na jego kolanach. Sylwester głąskał jej nieco pognieciony kołnierz, szukając odpowiednich słów.

– Jutro wypływam... – w końcu powiedział – tam, z marynarzami... na ocean.

Królewna podniosła zdumione oczy i widziała, jak spojrzenie Sylwestra leciało z izby, przez gliniane doniczki z kwiatami i przez sieci, ku szumiącemu morzu.

Tego wieczora zebrali się u nich rybacy, żartując, pili miód, śpiewali i rozmawiali o rybach. Sylwia uśmiechała się, nosząc parujące potrawy i wszyscy byli weseli. Stary łgarz opowiadał, jak jego łódź połknął wieloryb, jednakże Sylwester słyszał tylko odległy szum morza i szepczący za oknem wiatr.

Tej nocy śpiący rybak śnił o czymś niespokojnie, a czuwająca Sylwia domyślała się, że śni on nie o niej i że wzniesie on żagle statku, by ścigać swoje sny.

Wczesnym rankiem, jeszcze przed świtem, obudziła rybaka i odprowadziła go do wypływającego statku. Marynarze pokrzykiwali w ciemności, podnosili wilgotne żagle i cicho śpie-

wali tęskne pieśni o oceanie. O wschodzie słońca rybak wszedł na pokład. Pomachał królowie ręką, a Sylwia odcięła cumę, która wiązała statek do brzegu, a niespokojni tułacze z pieśnią wypłynęli na spienione wody.

\* \* \*

Wiele miesięcy pełnych przygód krążyli po morzu. Pływali przez głucho szumiące porty, przez skaliste wyspy północy i przez słoneczne południowe krainy, pełne kwitnących ogrodów i gitarowej muzyki. Czasem napotykali powiewające jaśnymi flagami okręty i pozdrawiali je, a szklane fale szumiały wokół kotwic niczym wielkie ryby. Miotał nimi nie jeden ciemny sztorm, grożąc zatopieniem statku i w niejedno bezchmurne południe kąpali się, wesoło pokrzykując, w morskiej głębinie bez dna.

Jednak najdroższe dla nich były mgliste jesienne zmierzchy, kiedy z nieba padał, niby nieskończone łyzy, drobny deszcz. Wtedy smutni marynarze zatapiali się w jego szumie i zaczęli marzyć o przytulnym swoim domu na odległym brzegu. Zbierali się wokół steru, rozmawiali o domu i o lękliwych dziewczynach, czekających wciąż na nich, cicho śpiewali i drżącą ręką stukali fajką o burtę, wytrząsając popiół. Sternik trzymał w objęciach ster, żartowali i płynęli dalej, zatopieni w zimnym deszczu i mgle.

\* \* \*

Pewnego gwiaździstego wieczoru ich statek zarzucił kotwicę w starym marynarskim porcie w Hamburgu. Naokoło kołysały się, niczym pijacy nieodnajdujący domów, statki z dziwnych krain. Przez ich maszty migotały przesuwające się stale światła latarni morskich.

Sylwester z kapitanem powoli kroczyli ulicą Wielkiej Wolności, wmieszawszy się w barwną, wesoło trajkoczącą cizbę i cicho pogwizdali. Starodawne latarnie świeciły na chodni-

kach, rzucając czerwone światło na włóczęgów i niespokojnych obieżyświatów, na dobrych zakonników, spieszących do kaplicy przez ulice, na beztroskich studentów i piękne kobiety oraz na bezmiar przygód, skrywających się w barwnym tłumie. Doświadczeni marynarze prowadzili swoich młodych kolegów po błędnych ulicach portu, a chytrzy oszuści zagadywali ich i targowali się, obiecując drogo kupić ich towary.

Nagle z jednej pobliskiej karczmy dobiegły melodyjne odgłosy harmonii i zabrzmiała smutna pieśń pożegnalna, którą ciągnęli wypływający jutro marynarze.

– Wejźdźmy do środka – powiedział rozmarzony Sylwester.

Usiedli w ustronnym kącie pod szarym wypchanym rekinem. Postawiwszy sobie butelkę różowego wina, słuchali pieśni marynarzy i zamyśleni spoglądali na ich zasmucone dziewczyny. Kapitan nalał sobie pełną szklanekę wina i wypił ją jednym haustem.

– Tylko popatrz na wypływających! – powiedział, uśmiechnąwszy się. – Jak te dzieciaki się cieszą... To ostatnia pożegnalna noc!.. I jak ich oczy płoną! Słyszysz, jak smutno brzmi ich śmiech?

Zamyślił się i tylko bolesna muzyka harmonii grała między ścianami, ozdobionymi muszlami, gwiazdami morskimi i wielkimi rakami.

– Tak samo ja – w końcu ciągnął, spuściwszy głowę. – Ja cały czas tęsknię za domem i swoją Julią... Ona beznadziejnie czeka na mnie, wiem. Ale kiedy wracam na brzeg i spędzę tam kilka szczęśliwych dni, znów mnie ogarnia przemożne pragnienie, aby wypłynąć i znów długo nie wracać, i znów tęsknić za domem. Ech! – wykrzyknął, nie mogąc zapomnieć. – Kto wie, może przeznaczeniem szczęścia jest tylko tęsknić – i przyłączył się on ze swoim gromkim głosem do pieśni marynarzy.

Sylwester zapalił fajkę.

– Przypomniała mi się z jakiegoś powodu pewna dziwna bajka – rzekł do kapitana. – Opowiedziała mi ją, gdy byłem mały, babcia. Niedaleko bram nieba, przy zakurzonej drodze, jest bardzo stara gospoda. Ludzie, którzy umarli, zakończywszy

swoje ziemskie wędrówki, zatrzymują się w niej, by odpocząć, pomyśleć o swoim życiu i opowiadać sobie swoje przygody, zanim wejdą do nieba. Siedzą oni tam długo, piją wino, tak jak my tutaj, śpiewają i boją się wejść do nieba, żeby w nieskończonym szczęściu nie wyczerpała się ich tęsknota. A są tułacze – i tu głos Sylwestra zadrżał – są niespokojni tułacze, którzy, słuchając przygód, tak zaczynają tęsknić za ziemią, że, wszystko porzuciwszy, wracają z powrotem.

– No, i? – zapytał kapitan, z wolna obracając szklanke wina między palcami.

– Czyżbyś jeszcze nie rozumiał? – cicho powiedział Sylwester. – Wróciwszy stamtąd, najczęściej zostają marynarzami.

Przerwał na chwilę i rzekł:

– I ja czasem pytam siebie, czy aby i my nie wróciliśmy z owej starej gospody, przez rozświetlone okno której widoczne już było niebo. Powiedz, skąd... skąd ta nasza tęsknota do krain, których nie można znaleźć na ziemi? Dlaczego nie zadowolamy się szczęściem, które tak wszyscy cenią?

I wypił on jednym haustem swoją szklanke wina.

\* \* \*

Pewnego jasnego poranka Sylwia siedziała przy stole szyjąc ubranko dla swojego syna i wsłuchiwała się w śpiew morza, wyobrażając sobie pianą otulony statek z marynarzami i ogorzałego Sylwestra, śmiejącego się stale wśród wiatrów i słońca. Nagle usłyszała kroki i głucho głosy w przedsionku, a igła wypadła z jej drżących palców.

Jednakże drzwi się otworzyły i do środka wszedł król Połagi ze swymi sługami i brodatymi doradcami. Podał złote berło głównemu ministrowi do rąk i powiesił lśniąca koronę na haku.

– Dawno ciebie już nie widziałem, córeczko – rzekł, uśmiechając się po ojcowsku. – Stęskniłem się za tobą i chcę zobaczyć, jak żyjesz sama.

Obszedł jej ubogą izbę w swoich aksamitnych butach, otworzył drzwiczki pieca i wsadził kilka drew do środka. Potem od-

krył parujący garnek, powąchał smakowite zapachy i rozkazał nadwornemu kucharzowi gotować obiad dalej.

– Pięknie przystrojona jest twoja izba – ciągnął król, uśmiechając się dobrodusznie i posadził sobie na kolanach syna Sylwii – ale ja wiem, że wam ciężko. Dlaczego nie wrócisz do zamku, do swojej komnaty, w której mieszkałaś od samego dzieciństwa? Stary bibliotekarz troskliwie dogląda twoich książek, a twoje zabawki wciąż czekają na ciebie.

Tu bibliotekarzowi wypadło kilka książek spod pachy i odkaslnął sobie w dłoń, chcąc zwrócić uwagę królowej.

Jednak ona całkiem spokojnie szła dalej.

– Nie, ojciec – rzekła i spojrzała na króla, bawiącego się z jej synem – zostanę w izbie Sylwestra i będę czekać na niego.

Podniosła głowę i wsłuchiwała się w szum morza:

– Powiedz, a jeżeli on nieoczekiwanie wróci do domu i zastanie pustą izbę, a palenisko wygaszone i nikt go nie przywita?

Król nic nie odpowiedział, tylko dobrodusznie się uśmiechał, a słudzy z szacunkiem stali w drzwiach i obserwowali kucharza, sypiącego z natchnieniem sól do zupy i smakującego ją złotą chochlą.

\* \* \*

Wreszcie statek niespokojnych zawadiaków rzucił kotwicę na wybrzeżu niebieskich wysp.

Gwiazdy morskie wolno pływały po błękitnej wodzie, a czerwone ryby ciekawie wachały dno ich statku, wypuszczając srebrne bąbelki z pysków. Wyspy tonęły we mgłę. Ledwo było można dostrzec ciemne topole, szumiące winnice i w oddali widniejący zamek z niebieskiego bursztynu.

Sylwester z kapitanem stali w cieniu opuszczonego żagla i obserwowali otulone mgłą dachy bajecznego miasta.

– Nasza podróż zakończona, ponieważ tutaj, jak się zdaje, jest koniec świata – rzekł kapitan. – Tutaj zaczyna się już królestwo snów, a my wrócimy do domu. W naszych skrzyniach już zebrało się za dużo skarbów. Musimy je zawieźć, by komuś je podarować.

Sylwester wszak z tęsknotą spoglądał na wyspę.

– Ja nie wrócę z wami – rzekł wtedy. – Zawieź Sylwii wszystkie moje bogactwa i oddaj jej... Pozdrów ją ode mnie... a ja zostanę tutaj.

Kapitan wciąż jeszcze palił swoją niegasnącą fajkę, po przyjacielsku objął ramiona Sylwestra.

– Rozumiem cię – rzekł po chwili milczenia. – Kto wie, czy kiedykolwiek powrócisz!

I gdy statek podniósł żagle, Sylwester wysiadł na brzeg, marynarze natomiast oparli się o rozkołysaną burtę i przyjacielsko machali mu rękami.

Wtedy rybak zbliżył się do niebieskiego miasta, ogrodzonego bursztynowym płotem. Przy obrośniętej winoroślą bramie stali uzbrojeni w włócznie strażnicy i, obracając różny, piekli sobie na ogniu dorodne woły.

Sylwester podszedł bliżej i zaczął z nimi rozmawiać. W tym momencie rozbrzmiewającą za bramą ulicą miasta przetoczyła się wytworna karoca. Wokół niej jechali ze stukotem jeźdźcy, dmąc w trąbki, a w niej siedziała bajkowa księżniczka, cudowna i powabna, jak w snach.

Sylwester zawołał jej imię i chciał za nią gonić, ale strażnicy zagrodzili mu drogę. Obejrzeni wypłowił od deszczu odzienie rybaka i zaczęli szyderczo się uśmiechać, wspierając się na swoich srebrnych włóczniach i zerkając jeden na drugiego roześmianymi oczyma. I nie wpuścili biednego rybaka do miasta.

Wtedy Sylwester zamieszkał na niebieskiej wyspie i zaczął budować ogromny zamek dla księżniczki. Codziennie wioślował na pobliskie wyspy i woził stamtąd czerwone korale, marmur i złoto. W gorące dni nurkował w głębiny przez przejrzystą wodę do zatopionych statków pirackich, w których żyły już tylko delfiny i raki. Wpłynąwszy do zalanych kajut, otwierał zardzewiałe skrzynie skarbów i brał z nich klejnoty, korale i kolczyki.

Rybak wioził ten kosztowny łup na wyspę, a jego zamek rósł. Jego sale rozrastały się i przystrajały coraz bardziej cudowny-

mi bogactwami. Dumne wieże zamku, pełne dziwnej żywotnej siły, coraz głębiej wdzierają się w ciemną pustkę, w której panowały zimno i noc. Wreszcie jego pałac został ukończony. Na marmurowych wieżach łopotały jasne flagi, a w lśniących salach chodziło mnóstwo zwinnych i pięknie ubranych sług, którzy zapalali złote świeczniki. Wówczas Sylwester otulił się w purpurowy płaszcz, wrócił do bram miasta w towarzystwie licznej świty i zażądał, by go do miasta wpuszczono.

Strażnicy długo spierali się między sobą i czytali napisany na starym pergaminie rozkaz. Wreszcie wezwali dowódcę straży.

Ten wyszedł nadęty i srogi i nawet nie spojrzął Sylwestrowi w oczy.

– Bajkowa księżniczka nie tobie przeznaczona, rybaku z dalekich krain – rzekł, wysłuchawszy mowy rybaka i obojętnie się uśmiechnął. – Czy nie wiesz, że za niebieskimi wyspami można tylko tęsknić?

\* \* \*

Była późna noc.

Po żałobnie szumiących falach Bałtyku płynął ciemny statek; na jego maszcie łopotały tkane cieniami żagle, a w jego oknach paliło się bolesne światło świec. Statek zarzucił kotwicę koło Szwedzkich Grobów. Wsiadł z niego stary samotnik obleczony w szorstki płaszcz i cicho, niczym niemowa, sunął w stronę chatki Sylwestra. Wydmy zamarły. Tylko ciemne stopy samotnika czerniały w piasku pełnym księżycowego światła.

Drzwi chatki cicho się otworzyły. Srogi samotnik objął Sylwię swoimi usypiającymi rękoma i wyniósł ją na swój statek. Sylwia niczego nie zabrała z sobą. W swoich dłoniach miała tylko ogień ogniska domowego, jedyny swój skarb i przytuliwszy go do piersi, wypłynęła czarnym statkiem samotnika na skaliste wyspy północy.

\* \* \*

Tej samej nocy Sylwestrowi pierwszy raz przyśnił się dom. Wydawało mu się, że widzi ciepłą izbę, zatopioną w kwiatach i syna bawiącego się żołnierzykami na podłodze. Tam schły pozostawione sieci i spała jego stara łódź! Sylwia uśmiechnie się, gdy go zobaczy, posadzi przy palenisku i położy na stole chleb i ryby. Pszczoły będą bzyczeć za oknami, a zielonkawe trawy na wydmach będą szumieć w słońcu. Znów będzie spokojnie, jak dawniej!..

I w jego sercu rodziło się przemożne pragnienie, aby wrócić do domu i wreszcie schować niespokojną twarz w pełnych oczekiwania dłoniach Sylwii. Wówczas opuścił swój wytworny zamek i wrócił do domu.

Był mglisty jesienny wieczór, kiedy niespokojny rybak Sylwester z nadzieją zarzucił kotwicę koło Szwedzkich Grobów, w pustym i smutnym zmierzchu jesiennego wieczoru.

Sylwester powoli zbliżył się do swojej ciemnej chatki, w oknach której już nie paliło się przytulne światło paleniska i uchylił jej głuche drzwi.

Zimno było w pustej izbie.

Rybak ze smutkiem stanął koło wygasłego paleniska, długo patrzył w ciemny popiół i w jego niespokojne serce wlewała się coraz większa tęsknota za utraconą i nieosiągalną Sylwią.

Następnego dnia popłynął do malutkiego zamku króla i pożegnał się ze swoim synem. Potem opuścił się po kamiennych schodach zamku, pokrytych bąbelkami piany, tak podobnymi do rozsypanych koralu królowny i wypłynął szukać Sylwii, której nigdzie i nigdy nie da się odnaleźć.

I nigdy więcej nie wrócił już do Połagi.

# Korale rudobrodego Żyda





Była zimna, wczesnowiosenna noc.

Ciężkie chmury leciały nad Kownem i tłamsiły je, niczym pomarszczone palce nocy, obejmującej cukrowe lilipucie miasto, które dusiło się w jej ciemnej dłoni. Wszystkie gwiazdy zagasty. A wybladłe światła Starego Miasta zaledwie jarzyły się na skrzyżowaniach, rozptywając się w ciemności i wilgoci. Dookoła latały dzikie wiatry, gwiżdżąc, wyjąc i zrywając ogłoszenia z murów.

Na wietrze skrzypiał również szyld pewnej starej gospody. Był tak wypłowiały od słońca i od deszczu, że ledwo można było dojrzeć na nim namalowanego pijaka z kuflem piwa.

W gospodzie słychać było gwar.

Jednak jeśli ktoś, postanowiwszy się ogrzać, wszedłby do środka, wpadłby w tak gęste kłęby dymu, że nie bardzo mógłby coś dojrzeć. A było na co patrzeć: tłusty gospodarz kroił dużym nożem kielbasy i nalewał pieniące się piwo do kufli, naciągacze handlowali, a rozczarowani kobietami ponuracy, obojętnie śmiali się ze wszystkiego i powoli sączyli wino.

Tego szczególnego wieczoru, przy stole w kącie karczmy, siedziało kilku obdartych łobuzów i o czymś szeptało między sobą.

– Dawaj tu, Marcinie – powiedział jeden włóczęga o dziobatej twarzy, prawdopodobnie, przywódca szajki.

Jego rudowłosey koleś ostrożnie rozejrzał się i wyjął z kieszeni czarny klucz, cały wygrawerowany tajemniczymi znakami. Dziobaty chłopak wziął go w swoje palce i wszyscy ucichli, z lękiem spojrzawszy na jego duże, dziwnie wykrzywione ucho. Otóż do tej pory ten klucz należał do słynnego rabusia Brodacza; jednak kiedy zginął on w trakcie jednego z rozbojów, młokosi, przybiegłszy, wyciągnęli go z zastygłych palców rabusia. Chodziły słuchy, że może on otworzyć każdy zamek.

– To idziemy? – powiedział Marcin, wytarłszy usta rękawem.

– Poczekajmy, czego się śpieszyć – nieśmiało wtrącił się jeden lichy włóczęga cienkim głosikiem. Był taki nieduży, że prawie nikt się z nim nie liczył.

– Nie ma na co czekać! – machnął ręką przywódca szajki i młokosi z łoskotem podnieśli się od stołu.

Otwarli szeroko drzwi gospody i razem z kłębamii dymu wytoczyli się na chodnik. Dziwne tylko było to, że tej nocy nie wydzielali się jak zwykle, nie łomotali w okiennice i nie zaczepiali oburzonych przechodniów, ale postawili sobie wytarte kołnierze płaszczy i cicho poszli ulicą. Wkrótce przeszli obok kościoła Benedyktynów<sup>43</sup> i zaczęli wspinać się na Zieloną Górę<sup>44</sup>. Zdarte ich buty ponuro klapały, zatapiając w grząskim błocie stare bilety autobusowe, strzępy gazet i zgaszone niedopałki cygar.

Wreszcie zatrzymali się obok płotu Szkoły Plastycznej<sup>45</sup>. Siedziały na nim betonowe sowy i spoglądały zastygłymi oczyma na migoczące w dole miasto. Włóczędzy także się odwrócili. W niebo leciały stubarwne rakiety, rozbijały się w wilgotnych chmurach i padały na przystrojone ulice gorącymi kroplami. Było to bowiem w przededniu imienin burmistrza. Całe miasto niecierpliwiło się i już od wieczora weseliło się i świętowało.

Jednak chłopaków, podobnie jak kamiennych sów, jak się wydaje, nie wzruszała ta ważna uroczystość.

– To już tutaj? – zapytał chłopak ze starą blizną na szyi.

– Tutaj – ciekim głosem odpowiedział mały chłopaczek i wskazał ręką niebieskawy i podniszczony dom.

W nim w owym czasie skrywał się wykwintny sklepik złotniczy, wówczas należący do skąpego Żyda Aarona.

<sup>43</sup> Grupa łobuzów minęła kościół Benedyktynek, zob. przypis nr 35 w bajce *Czarodziejski zegar Tykalskiego*.

<sup>44</sup> Na Zieloną Górę mogli pójść ul. Benedyktynek lub ul. Włoską (lit. Italijos g.) noszącą dziś nazwę ul. A. Mackiewicza (lit. A. Mackevičiaus).

<sup>45</sup> Wyjątkowy płot Szkoły Plastycznej (lit. Meno mokykla) powstał w 1924 r. Na betonowych słupach, do których przytwierdzono metalowe panele ogrodzenia, siedzą betonowe sowy, których autorem jest Vincas Grybas (1890-1941). Ogrodzenie otacza dużą, nieregularną przestrzeń, pośrodku której stoją dwa obiekty – główny budynek Szkoły Plastycznej (*Kauno architektūra*, s. 160-162) i Tymczasowa Galeria Obrazów M. K. Čiurlionisa (1875-1911) (*Kauno architektūra*, s. 162) – oba w stylu neoklasycystycznym, zaprojektowane przez architekta Władymira Dubenieckiego (Vladimiras Dubeneckis, 1888-1932). Na czele komitetu budowy galerii stał Paulius Galaunė, który, przypominamy, został teściem autora bajek.

Łobuzy niepewnie podlażyły bliżej. Nikogo na ulicy nie było widać. Pograżony w ciemnościach dom spał, tylko złoty zamek lśnił w wilgotnych i nieco podgniłych drzwiach.

Kiedy włożyli klucz do zamka, gdzieś w oddali żałośnie zawył pies i przebudzone drzewa w ogrodzie zaczęły się kołysać, pełne trwożliwego lęku. Zamek chrypliwie zazgrzytał. Drzwi powoli się otwarły, jak zaczarowane księgi z zaklęciami, które otwierają ukryte skarby. Włóczędzy pobledli i, nieco przestraszeni, wśliznęli się do pustego i ciepłego sklepu. W środku panowała cisza. Szlachetne kamienie lśniły na półkach, niczym łagodne i barwne ognie, złote korony połyskiwały pod szkłem dumnym płomieniem, zupełnie przyćmiewając leżący obok nich mały bursztynowy krzyżyk.

Jednak najcudowniejszy blask płynął z odrapanej szafy w głębi pokoju. Na niej widniał ciężki i przyprawiający o dreszcze bożek, a przez kryształowe drzwiczki do wnętrza sklepu tryskało oślepiające światło diamentów. Włamywacze na palcach podkradli się bliżej. W środku szafy, na brudnej serwecie rozpostarte były cudowne korale, a ich wielkie kamienie świeciły i wabiły, niczym kusicielskie oczy. Rabusiów ogarnęło dziwne uczucie i niepojęty lęk. Wieść o tych koralach niosła się po całym Kownie, gdyż skąpiec nikomu nie chciał ich sprzedać. Opowiadano, że tworzył on je przez całe swoje życie, a wszystkowiedzący karczmarz twierdził, że sama dusza Żyda w nich się skrywa. Wreszcie Marcin nie wytrzymał. Wybił pięścią dźwięczące szkło, a bożek zabrzmiał przeraźliwym głosem. Marcin wyciągnął drżącymi rękoma korale na zewnątrz. Ich uwodzicielskie refleksy załśniły jak płonące żmije na pokrytym cieniem suficie sklepiku i na obdartych ubraniach łobuzów. Na chwilę zapanowała uroczysta cisza.

Jednakże w tym momencie rozchyliła się błękitna zasłona w głębi pokoju. W jej fałdach ukazał się rudobrody Żyd, ubrany w czarną, sięgającą do ziemi szatę, wznoszący w rękę złoty świecznik. Na jego ramieniu siedziała mała, wystraszona małpeczka.

– Moje korale!.. – wyszeptał stary złotnik skrzypiącym głosem i wyciągnął rękę ku Marcinowi – oddaj je...

Jego ręce drżały, a ze świec spadły krople gorącego wosku, niczym mętne łzy. Rabusie na chwilę zastygli.

– Milcz, skąpcze! – w końcu zawołał jeden włóczęga. – Jeśli nie chcesz, żebyśmy skręcili ci kark!..

Żyd próbował wzywać pomocy, ale łobuzy doskoczyły do niego i zacisnęły mu jego szepczące coś usta. Nieugięty złotnik uparczywie się opierał i tak gwałtownie grzmotnął Marcina świecznikiem w rękę, że z jego palców zaczęła płynąć krew, wystraszona małopka zeskoczyła z ramienia Żyda i poczęła biegać po wypełnionym dźwiękami sklepie, wrzeszcząc głosem szukającym ratunku.

W domu podniósł się rwetes. Gdzieś załaskotało przewrócone krzesło i dały się słyszeć przestraszone głosy.

Zawadiaki wzdrygnęli się.

Złotnika, który stracił przytomność, popchnęli w głąb pokoju i, przedostawszy się przez otwarte drzwi sklepiku, rozbiegli się po wilgotnej i ciemnej ulicy.

Marcin jednym susem przeskoczył przez płot i, potykając się, zaczął biec stromym zboczem w dół. Gorączkowo dysząc, przedzierał się przez puste i samotne ogrody, nie bacząc, że ostre kolce róż zahaczają o jego ubranie, a zmęczone nogi toną głęboko w błocie. Zdawało mu się, że słyszy odgłosy pościgu i gnał w dół, wystraszony niczym tropiony zwierz, jednak nie wypuścił z rąk swojego łupu, pobryzganego błotem i krwią. Nagle trafił do dziwnego ogrodu i zatrzymał się zdumiony. Stały w nim mosiężne posągi, wznoszące w rękach przygaszone lampy i spoglądające na niego łagodnym i tajemniczym wzrokiem. W środku ogrodu tryskała jasna fontanna, a kryształowe kropelki, dźwięcząc, sypały się na wodę i na surowe, zimowe kwiaty. Włóczęga wsunął się do pustego pawilonu i, wlaższy za marmurową donicę, przywarł do ściany. Nasłuchiwał. Słychać było tylko bicie jego serca i uspokajające szemranie fontanny. Chłopak spojrzął przez drewnianą kratkę na przyległy ogród. Niczego w nim nie było widać. Wówczas swobodnie odetchnął i spojrzął na swoją zakrwawioną rękę.

– Gdzież się tak skaleczyłeś? – nagle usłyszał spokojny głos za sobą i zadrżał.

Niespokojnie się odwrócił i zobaczył siedzącego w miękkim fotelu dziwnego starca, odzianego w jasny płaszcz usiany półksiężycami, gwiazdami i karcianymi kolorami. Palił fajkę, wyciętą niczym głowa słonia. Żarzący się popiół oświetlił jego siwe włosy.

Wystraszony Marcin tylko zadrzał i już szykował się do ucieczki na zewnątrz. Jednak starzec wstał i, przyczłapawszy do chłopaka, zaczął badawczo oglądać jego rękę.

– Hm! – rzekł wtedy do włóczęgi władcym głosem. – Koniecznie trzeba obwiązać. Chodźmy do mnie.

Wypuścił obłok dymu i zaprowadził lękającego się ciągle chłopaka w stronę swego domu, tonącego w czarnych koronkach gałęzi.

Drzwi otworzył im mały murzynek w błękitnym turbanie i nisko się uklonił. Weszli do pokrytego dywanami pokoju. Na stołach leżały czarodziejskie skrzynki, różnokolorowe chusteczki i magiczne karty. Obok sofy turlał się rzucony cylinder, z którego wyskakiwały strzygące uszami króliki i ganiały po pokoju.

Starzec posadził Marcina na kwiecistej sofie i zbliżył się do drzwi. Rozchyliwszy zasłonę, spojrzął na przyległy pokój i zaczął coś szeptać.

W progu ukazała się młoda dziewczyna prowadząca małe lwiatko i zaciekawiona spojrzała na zmieszanego włóczęgę. Starzec coś do niej powiedział, wskazując Marcina ręką. Dziewczyna się uśmiechnęła i zniknęła za zasłoną, ale niebawem znów powróciła z wodą i jedwabną chusteczką.

Kiedy podwinąwszy poszarpany i połatany rękaw Marcina, zaczęła zawiązywać jego ranę swoimi białymi palcami, młokos tak się zawstydził, że nie wiedział, gdzie schować swoje brudne ręce przed jej wzrokiem. Wszelako zaintrygowany czarodziej z ciekawością stał obok, a puszczając dym ze swojej fajki, coś mruczał pod nosem.

– Wiesz co – wreszcie rzekł do Marcina – jeśli już raz się tu znalazłeś, to mógłbyś razem z nami zjeść kolację.

Kazał murzynkowi przynieść potrawy i sam postawił srebrny dzbanek wina na stole. Marcin z zażenowaniem przecią-

gnął ręką po rozczochranych włosach, potem usiadł przy stole i swymi szorstkimi palcami wziął pieczeń z indyka z kosztownego talerza.

Za oknem skrzypiało uschnięte drzewo. Obok niego leciały ciemne wietrzne chmury, a pociemniałe niebo powiewało jak flaga nocy; w jej fałdach zawieszony księżyc wyglądał niczym budzący lęk znak piratów.

Za to tysiące świec płonęło w tym zagadkowym pokoju. Czarodziej ciągle lał wino ze srebrnego dzbanka. Był on nie większy, niż zwykle dzbany w karczmach, ale ciemne wino lało się z niego, zdawało się, nigdy nie kończącym się strumieniem. Zaciekawiony Marcin ukradkiem zerknął do środka i strasznie się przeląkł, kiedy zauważył, że dzban jest ciągle zupełnie pełen.

– Tak – rzekł czarodziej, roześmiewszy się zagadkowo i odgryzł kawałek udka indyka – ten dzban też jest z mojego cyrku.

Tutaj zamilkł, zmarszczył czoło i uważnie obejrzał swoje magiczne przyrzady.

– Kiedy tylko się ociepli – ciągnął – znów zaczniemy swoje przedstawienia.

Policzki dziewczyny zaróżowiły się. Pochyliła głowę, jakby chciała ukryć swoją ekscytację, a jej długie włosy zafalowały na jej ramionach.

– Ale czy wszyscy artyści już są? – zapytała.

Marcin patrzył na nią jak zaczarowany. Na jej wdzięcznej szyi drgały i igrały delikatne cienie, a bursztyнки małego krzyżyka błyszczały niczym iskry. Chłopak zadrżał, zauważywszy ten krzyżyk: przecież dokładnie taki widział w sklepiku skapca!

– Brakuje, Romo, jedynie dobrego miotacza nożami! – rzekł mag, uroczyście unosząc palec. – Ale wydaje mi się, że go właśnie znalazłem.

I zwróciwszy się do Marcina, znów zapalił swoją fajeczkę:

– Czy ty sam przypadkiem nie potrafisz rzucać nożami?

– Ja? – powiedział młody zawadiaka, który poczuł całą swoją wielkość, a na jego piegowatej twarzy ukazał się uśmiech.

Wyciągnął nogi pod stołem i położył widelec na talerzu. – Oczywiście że potrafię! Z trzydziestu kroków trafię dokładnie w oczko asa!

– Jak wspaniale! – zakrzyknęła dziewczyna, klasnąwszy w ręce, a Marcin dumnie się uśmiechnął.

– Przyjdź jutro do cyrku – rzekł wtedy czarodziej. – Prawda, jutro imieniny burmistrza – rozmyślił się, spojrzawszy na kalendarz – przyjdź pojutrze, dobrze?

– Przyjdę – powiedział Marcin, wyciągając do niego swoją wymazaną tłuszczem rękę.

Czarodziej klasnął w dłonie i murzynek, który nagle skądś wyrósł, odprowadził chłopaka do drzwi.

Marcin szedł dróżką na ulicę całkowicie oszołomiony przez wino i nieznane mu uczucia. Idąc obok poczty, zerknął na zegar<sup>46</sup>. Była północ.

\* \* \*

Wróciwszy do domu, zataczając się wszedł zakurzonymi schodami na górę. Uchyliwszy brudne drzwi, stanął na progu i długo obserwował swój nieogrzewany pokój. Pod sufitem wisiały smętne pajęczyny, przez pękniętą szybę wdzierał się natrętny wiatr i kołysał, niczym białe brody, oderwane ze ściany kawałki gazet.

Marcin zatrzasnął drzwi. Nie zrzuciwszy nawet płaszcza, położył się na sofie i wbił oczy w wilgotny sufit. Potem ostrożnie wyciągnął zrabowane korale z kieszeni. Cały pokój rozświetliło cudowne światło. Młodzieniec długo patrzył na nie, potem od niechcenia rzucił klejnoty na stół.

Rozmyślał całą noc, nie odrywając oczu od sufitu, po którym biegały refleksy ulicznych światel i ciągle od nowa czytał to samo kuszące obwieszczenie cyrku, które powiewało przed jego oczami na strzępie gazety.

<sup>46</sup> Być może chodzi o nowoczesną bryłę gmachu Poczty Centralnej (lit. Centrinis Kauno paštas), którą zaprojektował Feliksas Vizbaras (1880-1966), poszukujący nowych form dla tzw. litewskiego stylu narodowego, zob. *Kauno architektūra*, s. 155-156.

Wreszcie na niebie zaczęło świtać. Ulicą przejechał z turkotem wóz mleczarza, dały się tam słyszeć pospieszne kroki przechodniów i srebrne brzmienie dzwonów kościoła Jezuitów. Noc zgasła.

Chłopak nagle podskoczył czymś rozczulony, pospiesznie zszedł po schodach i wybiegł na budzącą się ulicę. Wszedł do oświetlonej piekarni i przejęty usiadł przy stoliku. Tutaj tak odurzająco pachniało świeżym i ciepłym chlebem, drożdżami i makiem! Raz po raz dźwięczał dzwonek zawieszony nad drzwiami, a do niej wtaczali się silni i niezdarni robotnicy, stare kobiety opatulone zgrzebnymi chustami i wybladłe dzieci niosące ogromne kosze. Piekarz uśmiechał się, do łokci podwinąwszy swoje ubrudzone mąką rękawy i podawał im ciepłe bochny, przepelnione nieprzeniknionym życiem, zasłużonym odpoczynkiem i spokojem. I kiedy piekarz wreszcie położył przed zawadiaką szklankę gorącego mleka i kruchy rumiany rogalik, ten o mało co nie zapłakał, przejęty niezrozumiałym smutkiem.

Nagle do wnętrza dźwięcząc wkroczył policjant. Serce włości skurczyło się i przylgnął do stołu, wyczuwając niebezpieczeństwo. Ach nie, policjant tylko kupował sobie chleb!

Piekarz wypytywał go o nowiny, a policjant zaczął opowiadać o obrabowaniu złotnika.

Nie, złodzieje jeszcze nie namierzeni, zdążyli uciec ci nikczemnicy. No, ale diamentowe korale zostaną znalezione, takiej rzeczy ukryć się nie da. Tak, tak, a dzień sobie wybrali – wigilię imienin burmistrza!

Marcin nie ośmielił się nawet głośno oddychać ze strachu; on w ogóle się nie ruszał, bojąc się, żeby diamenty nie zaczęły dźwięczeć w jego kieszeni.

Wreszcie policjant wyszedł wetknąwszy bochenek chleba pod pachę i krótko zerknąwszy na Marcina.

Skończywszy śniadanie, chłopak opuścił piekarnię i cały dzień błądził po ulicach odległych przedmieść, wystrzegając się spotkania ze swoimi kolegami i coś rozważając.

Wreszcie zaczęło się już ściemniać. Zmęczone wrony długo fruwały wokół swoich gniazd w miejskim ogrodzie i smętnie

krakały, a bezdomni włóczędzy pokładli się na ławkach i patrzyli na gasnące niebo. Marcin siedział oparty o drzewo i wsłuchiwał się w bezsensowne pokrzykiwanie ptaków, tak przypominające wrzask małejki złotnika.

Nagle wstał i, zapiąwszy płaszcz, zaczął wspinać się na górę. Wkrótce zatrzymał się pod sklepem złotnika i nie zastanawiając się, zadzwonił dzwonkiem.

W drzwiach otworzyło się małe okienko. Skąpiec przyłożył zaczerwienione od łez oko do szyby i ze strachem obserwował obdartego gościa, nie będąc w stanie ani słowa wymówić podobnymi wargami.

– No, na co czekasz, starcze! – krzyknął Marcin. – Otwórz drzwi! – i poczekawszy trochę, dodał: – Przyniosłem twoje korale.

Wystraszony złotnik już byłby znów zamknął szczelnie okienko, jednak po ostatnich słowach włóczęgi oniemiał i zaczął drżeć.

– Skądże?.. – wyseplenił, nie decydując się wpuścić go do środka. – Jak?.. – i w jego ciemnych oczach ukazała się złudna nadzieja.

– No, wpuśćże! – rozzłościł się zawadiaka.

Twarz skąpca oblał pot. On bez problemu rozpoznał wczorajszego rabusia, jednak jego oczy zaczęły ślepnąć, zniewolone taką straszliwą chciwością, że, zdawało się, dla niego własne jego życie stało się nieważne. Uchylił nieco drzwi. Jednak kiedy poczuł chłodny wieczorny wiatr, znów zastygł, nie mając siły przezwyciężyć śmiertelnego strachu.

Wtedy włóczęga niecierpliwie popchnął ramionami drzwi i wtargnął do przedpokoju. Żyd zadrzał i zaczął grzebać ręką wokół swojego kołnierza. Jednak, kiedy włóczęga niczego nie zrobił, zamknął drzwi i, nisko się ukloniwszy, zaprosił go do środka na pokoje. Zawadiaka usiadł w bujanym fotelu, starzec stanął przed nim, zaplótłszy ręce, a jego usta drżały pełne trwożliwego oczekiwania. Wówczas Marcin wyciągnął z kieszeni korale i rzucił na błękitny obrus. Złotnik zachłannie je pochwycił i uniósł do światła, całkowicie zahipnotyzowany

bogatym blaskiem. Ze szczęścia zapomniał o całym świecie, o chłopaku i o sobie, niczym ojciec, który odnalazł swoje zbląkane dziecko. Z jego rozradowanych oczu toczyły się słone łzy i spadały na jego rudą brodę.

– Czego chcesz za to? – w końcu wyszeptał skąpiec lęklwym głosem, nie ośmielając się o nic wypytywać.

Marcin poczerwieniał i długo szukał słów.

– Tam, na półce, jest – w końcu powiedział zmieszany – taki... mały krzyżyk...

– Ach, z bursztynami!.. – pośpiesznie zawołał skąpiec, ucieszony, że włóczęga nie żąda niczego kosztownego. – Poczekaj! Ja zaraz!..

Szybko poczłapał z pokoju w swoich czerwonych pantoflach, jakby się bał, żeby rabuś się nie rozmyślił i wkrótce wrócił z krzyżykiem w pomarszczonych rękach.

– Oto! – wysyczał zupełnie osłabłym głosem i, nie mając siły dziękować, kilka razy głęboko się skłonił.

Marcin wstał. Podszedłszy do lustra, ostrożnie zawiesił sobie krzyżyk na szyi; potem, ani słowa więcej nie mówiąc, wyszedł chwiejnym krokiem przez drzwi.

Podszedłszy do skarpy, zaczął radośnie biec po zboczu razem z rozbrykanymi dziećmi i śmiać się, pukając do drzwi rzeźników i krawców. W niebo leciały rakiety, w Alei Wolności słyhać było wesołą muzykę i widać było łopoczące flagi, bo już zaczęły się imieniny burmistrza.

Okna wszystkich karczm i jadłodajni płonęły. Pełne sale roily się od rozweselonych biesiadników, którzy bez umiaru pili wino, zagryzając pieczonymi gęsmi i kiełbaskami, bo wszystko tego dnia było rozdawane za darmo. Żartownisie rzucali dowcipami, biedacy ucztowali, machając kufłami piwa, a sam burmistrz rozmawiał ze wszystkimi, wmieszawszy się w tłum i miło się uśmiechał, stukając się szklankami wina z kominiarzami, obdartymi włóczęgami, studentami i strażakami. Wszyscy śpiewali takie śmieszne piosenki o złotym sercu burmistrza i o jego łysinie, że nawet i sam burmistrz w końcu nie wytrzymał i wspomógł piosenkę swoim grubym głosem.

Przez jedno przystrojone wiankami okno Marcin zauważył też starego czarodzieja. Siedział on z Romą przy stole razem z cyrkowcami: pajacami, Indianami i grubymi sztangistami, którzy pili piwo prosto z beczki.

Czarodziej skinął na niego palcem, a uradowany Marcin wpadł z łoskotem do środka. Usiadł obok dziewczyny, nieśmiało odkasznął sobie w dłoń i był szczęśliwy jak jeszcze nigdy.

\* \* \*

Marcin zamieszkał w nowym słonecznym pokoju niedaleko kościoła Benedyktynów i zaczął pracować w cyrku. Każdego wieczoru, kiedy Kowno osnuwała tajemnicza ciemność, wyróżniał się na arenie namiotu nadzwyczajnymi umiejętnościami.

Na poczeriałym niebie gromadziły się rozczochrane czarownice, które, dosiadłszy mioteł i groźnie pokrzykując, zaczynały latać wokół księżyca, wszelako w cyrkowym namiocie wtedy zaczynał się program. Dało się tam słyszeć bajeczną muzykę, na dachu migotały kolorowe lampki i radosnymi barwami rozświetlały szare budynki Starego Miasta. Nawet i w biednych oknach pracowni szewskiej odbijały się cyrkowe proporczyki. Zdziwione dzieci tłoczyły się przy wejściu do namiotu, które zdawało się otwierać na wspaniałą magiczną krainę i wielkimi oczami spoglądały na kolorowe plakaty. Ze strachem słuchały ryczenia dzikich zwierząt, długo szperały w kieszeniach, szukając drobnych pieniędzy i czekały, aż osiłek, wyszedłszy, odłoni zasłonę wejścia.

W cyrku gromadziły się tłumy widzów.

Namiot pękał w szwach od ubrudzonych murarzy, odpoczywających tutaj po monotonnej, codziennej pracy, od uczniów, którzy uciekli z domów i zapomnieli o nudnych podręcznikach, od kupców, sławnych sportowców, fryzjerów i złodziei, bez strachu siedzących na jednej ławce z odznaczonymi policjantami.

Marcin stawał wtedy, oparłszy łokieć o milczący bęben orkiestry, odziany w szaty z ciemnozielonego aksamitu i cze-

kał na swoją kolej. Po połykaczu ognia wybiegał on na arenę, przy akompaniamencie dźwięcznej muzyki i celnie rzucał noże z czerwonymi trzonkami w przymocowane do deski karty.

Jednak i sam Marcin tracił dech, kiedy na scenę wychodziła, zatopiona w jasnej szacie królowny, Roma i wyprowadzała młode lwiatka. Zwierzątka ryczały, wspinając się na czerwone piłki, a oszołomiony Marcin obgryzał przestrzeloną kartę i w żaden sposób nie mógł oderwać od niej oczu.

Pewien stary pajac raz mu w sekrecie powiedział, że tę dziewczynę otaczały dziwne tajemnice. Pochodziła ona z dalekich krain i została wygnana stamtąd przez swoją macochę, złą czarownicę – jednak ona jest królowną tych krain i pewnego razu tam znów wróci.

To dlatego Marcin tak nieśmiało z nią rozmawiał.

Kiedy kończył się program, zawsze stawał przy wejściu do namiotu i czekał na Romę. Wokół niego, wiadomo, od razu zbierali się gimnazjaliści, beztroscy uczniowie i drobne opryszki z przedmieść. Pełni bezgranicznego szacunku dla cyrkowego bohatera, z dumą z nim rozmawiali i kaszląc, palili mocne papierosy, butnie wystawiając nogi do przodu i z pogardą spoglądając na swoich młodszych kolegów, obserwujących zaszczyt, jaki ich spotkał, zazdrosnymi oczyma. Dopiero, gdy pokazywał się czarodziej z dziewczyną, opryszki zawstydzwały się i chowały papierosy w rękawach, a Marcin pospiesznie się żegnał i z nieśmiałością odprowadzał dziewczynę, nie ośmielając się powiedzieć do niej ani jednego słowa.

W swoim pokoju przypiął sobie plakat cyrkowy, przedstawiający Romę z lwiatkami i każdego wieczoru idąc spać, włożywszy ręce pod głowę, długo patrzył na nią i pragnął coś jeszcze większego i niezwykłego dokonać, aby odznaczyć się w jej oczach.

\* \* \*

Gdy tak pracował, nadeszła jesień. Wiatr rozsypał spadające liście na cyrku i wilgotny namiot zamienił się w barwny dywan.

Pewnego październikowego wieczoru odbył się szczególnie uroczysty spektakl cyrkowy. Bowiem przybył na niego nie tylko że sam burmistrz z radą miejską Kowna, ale nawet i skąpiec złotnik, który, oszczędzając pieniądze, nigdy nie chodził ani do kina, ani do teatru. W loży widoczny był też żółtolicy konsul Chin z czarnym warkoczem na potylicy i goszczący u niego posłowie z pewnej dalekiej krainy, która jeszcze nie została odkryta i z tej przyczyny nie była zaznaczona na żadnej mapie.

Więc nic dziwnego, że i program tego wspomnianego dnia był bardzo bogaty i ciekawy. Sprężyste leopardy skakały przez płonąca obręcz, ostrożni akrobaci, noszący parasole, spacerowali po linie rozciągniętej między masztami, a wytatuowani Indianie śpiewali pieśni wojenne i tańczyli dzikie tańce, odważnie wymachując toporkami. Publika kołysała się, dzieci pokrzykiwały, bijąc chudymi i brudnymi rączkami o ławki – raz po raz słyhać było śmiech – jednak posłowie nieznaney krainy siedzieli zastygli niczym posągi. Dopiero, gdy na scenie ukazała się Roma, zatopiona w białych woalach, nagle się poruszyli i zaczęli szeptać między sobą w nikomu nieznanym języku. Jeden z nich wyciągnął z szerokiego rękawa tajemniczy wizerunek, wszyscy spojrzeli na niego i uradowani kiwali głową i mrugali oczami. Długo klaskali w ręce, gdy dziewczyna wyprowadziła lwiątko z powrotem i zaraz po tym wyszli z cyrku, co było szczególnie zdumiewającym zjawiskiem, bo program się jeszcze nie skończył. Przeciwnie, właśnie zbliżała się jego najważniejsza część.

Światła namiotu przygasły. Orkiestra zaczęła cicho grać melodię ze Wschodu i na scenę dostojnym krokiem wszedł sam czarodziej z czarodziejską różdżką w ręce. Z tyłu za nim dreptał czarny murzynek, niosąc w rękach stolik. Widzowie ucichli. Czarodziej nakrył stoliczek czerwonym obrusem i, wzięwszy od murzynka czarodziejską skrzynkę, pokazał widzom, że jest ona zupełnie pusta. Wówczas podwinął swoje jedwabne rękawy i, coś mrużąc pod nosem, zaczął wyciągać ze skrzynki złote łańcuchy, kosztowne ozdoby, dziwne bransoletki i wspinałe korale. Na stoliku wyrósł jasno świecący stos skarbów. Wtedy mag się uśmiechnął, wykrzyknął magiczne zaklęcia

i sam wskoczył do skrzynki; tylko błysnęły jego czerwone buty w powietrzu i zniknął. Muzyka ucichła, a klauni, którzy przybiegli, wynieśli skrzynkę i stolik ze sceny.

Publika była niespokojna.

Oczy kieszonkowców zapłonęły, gdy ujrzały takie mnóstwo skarbów, a stary złotnik pobladł i zaczął coś szeptać, szarpiąc rudą brodę. Podniósł się z łoży, nie mogąc ukryć swojego zdenerwowania i pobiegł za scenę. Spiesząc się, wpadł na Marcina, jednak nie rozpoznał go w tych ozdobnych, cyrkowych szatach i pośpiesznie przeprosiwszy, podbiegł do czarodzieja. Ten właśnie wieszał swój płaszcz na rogu łosia.

– Poczekaj! – zawołał Żyd, chciwie wyciągając rękę do stosu kosztowności. – Ile chcesz za te kolczyki?

Mag tajemniczo się roześmiał.

– Moje skarby nie są na sprzedaż – rzekł i prowokując, podniósł czarodziejską różdżkę. Dotknął końcem różdżki złotego stosu i ten nagle zniknął. Skąpy Żyd chwycił drżącymi rękoma czerwoną narzutę i zerwał ją ze stolika, jednak ten był pusty.

Wtedy złotnik zadrzał, coś zawołał przestraszonym głosem i pośpiesznie pokuśtykał do szumiącej sali.

A widzowie wciąż jeszcze tam trajkotali, niezmiernie zaciekawieni oraz zdumieni i ociągali się, opowiadając sobie swoje wrażenia i wciąż jeszcze nie chcąc wyjść z cyrku.

\* \* \*

Następnego ranka niebieskawa mgła osnuwała przysypane liśćmi zaułki i słoneczne parki oraz ogrody. Marcin wstał, szybko się ubrał i wyszedł na ulicę.

Było ciepło. W powietrzu latały pajęczyny, które przybłąkały się z pól, wczepiając się przechodniom w czapki i przysiadając na żółtych skrzynkach pocztowych. Psy drzemały na kamiennych schodach, sprzedawcy gazet rozmawiali z przechodniami, wytknąwszy głowy przez okienka swoich kiosków – nawet i uczniowie nie szli na lekcje, ale położywszy tobołki z książkami na ławkach, strącali kasztany z drzew.

Nagle z głębi ulicy dobiegło dziwne i cudowne brzęczenie dzwoneczków. Marcin obrócił się z zaciekawiony. Między spadającymi liśćmi szybkimi krokami spieszyli długowłosi żołnierze, niosąc zdobnymi baldachimami przykryte lektyki. Małe szklane dzwoneczki na ich szerokich kołnierzach niespokojnie się kołysały i brzęczały, niczym odgłosy niewidzianych ptaków. Pomiedzy powiewającymi woalami jedwabiu siedzieli uśmiechnięci dworzanie, łapali przelatujące liście i sypali garściami pieniądze kłaniającym się bez przerwy żebrakom. Jeden z dworzan trzymał w rękach różową poduszkę, na której błyszcząca złota korona i biała, wykończona czerwonym aksamitem peleryna.

Jadący obok woźnica zatrzymał konia i zdjawszy czarną czapkę, podrapał się po głowie. Potem zerknął na swoją nieco podniszczoną bryczkę, porównał ją z lektyką, pogardliwie machnął ręką i dumnie podniósłszy głowę, pojechał, dudniąc, ulicą.

Pełen dziwnego przecucia chłopak podążył za pochodem, który zatrzymał się przy furcie czarodzieja. Dworzanie zeskończyli na ziemię i uprzejmie ukłoniwszy się jeden drugiemu, weszli do domu maga. Marcin zbliżył się do mosiężnych prętów ogrodzenia i spojrzał na słoneczny park. Między ospałymi drzewami alei jeszcze ukrywały się nocne duchy, które nie zdążyły się rozpuścić. Było cicho. Tylko z gałęzi sypały się niezliczone, zielone i kolczaste kasztany; pękały na ziemi, a wyrwane z rozbitych łupinek jądra, z wolna toczyły się ścieżkami. W mglistej dali parku spacerowała Roma. Jej długa szata rozpościerała się na ziemi, delikatnie wlokąc opadłe liście, a krwawe kasztany turlały się spod jej stóp. Była niezwykle piękna tego niebieskawego jesiennego poranka, a jej słoneczne włosy lśniły niczym złota korona.

Marcin czekał, przycisnąwszy pobladłą twarz do płotu.

Wreszcie z domu wybiegł czarodziej i głośno się śmiejąc, spieszył dróżką, miażdżąc swymi czerwonymi butami łupiny kasztanów.

– Przyjechali! – cieszył się i objawszy dziewczynę, pocałował ją w czoło. Odwróciwszy się, wskazał stojących na schodach posłów, którzy ukłonili się dziewczynie do ziemi. – Chodźmy.

Serce Marcina zamarło. Chciał podnieść rękę i zawołać, jednak nie odważył się i stał zmieszany wobec tych dostojnych dworzan, nie wiedząc co robić. A kiedy czarodziej znikł z dziewczyną w domu, on jeszcze długo patrzył na park. Tam oszalałmijająco migotały złote liście, latały między śpiącymi posągami i spadały na wodę słonecznej fontanny. Marcina przejęła bezgraniczna tęsknota i spuściwszy głowę, począpał dalej.

Chodnikiem spacerowali beztroscy przechodnie. Czasem zatrzymywali się przy niebieskim wózku na rogu ulicy, kupowali lody i liżąc je, szli ulicą dalej.

Rozbrykane urwisy rzuciły kasztanami w wózek z lodami, nie zwracając uwagi, że sprzedawca z irytacją krzychał i groził im palcem, jednak, zobaczywszy sławnego miotacza noży, ucichli i z szacunkiem usunęli się na bok. Marcin szedł chodnikiem całkowicie wyczerpany i bez sił.

W dalekich zaułkach przedmieścia słychać było gwizdzące cyrkowe melodie. Marcina pozdrawiali zakurzeni robotnicy, którzy wpięli sobie w kłapy białe kwiatki, uśmiechały się do niego mijające go dziewczyny, a z daleka machał też widelcem sprzedawca kielbasek. Wróciła skądś drużyna piłkarska, która wygrała mecz i bramkarz, wetknąwszy piłkę pod pachę, głośno opowiadał, jak w decydującym momencie obronił bramkę. Wśród nich plątało się kilku starych koleżków Marcina. Śmiejąc się, zapraszali go, żeby poszedł z nimi wspólnie świętować zwycięstwo, a malutki włóczęga krzychał jego imię cienkim głosikiem. Marcin przystanął i spróbował się uśmiechnąć. Przez chwilę miał wątpliwości, ale w końcu przybity pokręcił głową.

Wkrótce zaczęło się ściemniać i niemrawo mżyć.

Przechodnie stłoczyli się w przedsionku kina i z zaciekawieniem oglądali obrazki reklam, na których uśmiechały się czarujące kobiety z kosztownymi ozdobami na szyi. W miejskim parku smętnie i bezsensownie krakały wrony.

Marcin długo patrzył na przyciągający uwagę plakat. Nagle zrodziła się w nim myśl. On musiał jej coś podarować – coś kosztownego, niezmiernie kosztownego!.. Niespokojnie wy-

biegł z przedsionka kina i nie zwracając uwagi na zimny deszcz, pospieszył przez mokre ulice.

Było pusto. Tylko czarne dorożki przemykały na skrzyżowaniach niczym strachliwe nietoperze. Gdy wchodził na Zieloną Górę, latarnie coraz bardziej rzędyły. W wilgotnych wejściach bram coś jęczało, gdy wiatr skrzypiał niezamkniętymi wrotami, a dziwne cienie poruszały się niczym straszliwe upiory, machające swoimi czarnymi rękoma.

Wreszcie doszedł do ponurego domu złotnika, zatopionego w ciemności i nieprzyjemnym szumie wiatru. W oknie sklepu paliło się jeszcze słabe światło. Marcin uchylił spróchniałe drzwi i wszedł do środka.

Stary złotnik stał pochylony nad szafą i coś szeptał. Marciniowi zdało się, że on się modli. Ujrawszy rabusia, Żyd zadrzał i mocno ścisnął korale w swoich chudych palcach, podobnie jak modlący się ścisną różaniec.

– Chcę kupić diamentowe korale... – zacinając się, powiedział Marcin.

– Nie!.. – wyszeptał Żyd, a w jego oczach zapłonął strach. Przycisnął korale do swej piersi, a one zatopiły się w jego rudej brodzie. – Ja ich nie sprzedam! One są moje!..

– Ja chcę dostać twoje korale, starcze! – jeszcze raz zawołał półprzytomny Marcin i zbliżył się do Żyda.

Skąpiec wyciągnął rękę, jakby broniąc się przed złym snem. Jego małpka, schowana za plecami bożka, przestraszyła się kroków chłopaka i zeskoczyła z szafy, przewracając świecznik. Pokój zatonął w ciemności. Tylko diamenty błyszcząły, rozświetlając straszliwą twarz bożka. Złotnik tchórzliwie wrzasnął i drżącą ręką zadzwonił metalowym dzwonkiem.

Wtedy kilku nowo najętych służących rozdarło szumiącą zasłonę i wbiegło do sklepu, wnosząc czerwoną pochodnię. Żyd wskazał na Marcina, a jego usta drżały, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa.

\* \* \*

Zaświtał złoty jesienny poranek.

Po ulicy Więziennej wałęsali się gapie i ziewając, czytali wyblakły plakat cyrkowy. Na skrzyżowaniu stał obdarty kataryniarz i wolno kręcił katarynką, grając wciąż tę samą nudną melodię.

Marcin patrzył, wspiąwszy się na palce, przez wąskie okno izolatki. Jego ręce były skute okurzonymi kajdanami i słońce rozświetliło tylko czerwony kosmyk włosów na jego potylicy.

Nagle znudzeni gapie ospale się odwrócili, a Marcin ścisnął rękoma wilgotne pręty okna.

Ulicą biegli lekkimi krokami spieszący się słudzy, niosąc wspaniałą lektykę. Białe woale powiewały, szklane dzwoneczki brzęczały, a zaciekawieni gapie długo śledzili oczami przyozdobioną w złotą koronę dziewczynę, dopóki ostatnie odgłosy dzwoneczków nie ucichły w oddali, tonąc we mgle i w spadających, więdnących liściach.

# Uczta czarownic na ulicy Górskiej





Jeśli jakiegoś ciepłego letniego wieczoru spacerowałyby się po ulicy Górskiej<sup>47</sup> delektując się zapachem kwitnących kasztanów, to, odszedłszy jakieś sto kroków od Muzeum Wojska<sup>48</sup>, zawsze spotkałoby się dyrygenta z teatru stale wystającego przy pewnym białym domu i szybko kreślącego nuty w swoim notesiku.

Spoglądając razem z nim na najwyższe piętro tego i tak już niemałego domu, zobaczyłoby się doktora Krztynę, stawiającego lamkę w otwartym oknie i gwizdzącego na fujarce. Czerwone promienie lampki oświetlały ciężkie kwiaty kasztanów zatopionych w nocy, a przez uspięne liście lały się tak wspinała dźwięki, że nawet i złodzieje, którzy wracali z wyprawy, stawiali worki na ziemi i przez chwilę wsłuchiwali się przyłożywszy rękę do ucha.

– Tak, tak – mawiali do dyrygenta, ocierając łzę rękawem – doktor też nie wypadł sroce spod ogona. – Potem znów zarzucali sobie worki pełne łupów na plecy i rozkołysanym krokiem szli w kierunku swoich spelun.

To pokazuje, jaki słynny był doktor Krztyna w owych czasach.

Kiedy wrócił z piekła, jego sława naprawdę osiągnęła wprost nieprawdopodobny poziom. We wszystkich kowieńskich gazetach widniało jego szlachetne oblicze, jego głębokie i trudne do zrozumienia pisma zostały przetłumaczone na arabski oraz chiński, bowiem manuskrypt dotyczący choroby Belzebuba, wprost zadziwiał cały naukowy świat. Sam doktor Krztyna jako niezastąpiony w tej dziedzinie znawca, wkrótce został zaproszony na wydział medyczny, by wykładać choroby diabelskie.

Teraz w jego pokoju mieszkają już inni, mniej sławni ludzie, a ulica Górka jest już inaczej nazywana, ale stare powyginane blachy z wypisaną czarnym kolorem jej nazwą troskliwie chronione są jeszcze w szufladach wszystkich badaczy starożytności. Bowiem owej wiosny na tej ulicy działały się takie dziwne

<sup>47</sup> Przypomnijmy, że dziś to ul. Putwińskiego (lit. Putvinsko g.).

<sup>48</sup> Zob. przypis nr 30 w bajce *Czarodziejski zegar Tykalskiego*.

i niezwykle rzeczy, że doprawdy nie będzie przesadą raz jeszcze opisać je na tych pożółkłych stronicach.

Nasza historia zaczyna się pewnego bezchmurnego, czerwcowego popołudnia. Wówczas kilku chłopców wystrojonych w indiańskie pióropusze, siedziało na brudnych deskach przy drewnutni i paliło fajkę pokoju. Odbywały się tam tajne obrady rady szczeputy.

– Trzeba zacząć jakąś poważną robotę, panowie! – Przemówił przywódca szajki nabijając swoją fajkę zrobioną z łupiny kasztana.

Wszyscy członkowie rady w napięciu myśleli. Na ulicy Górskiej słychać było głośne kroki przechodniów, stukot wozów i wabiące pokrzykiwanie sprzedawcy lodów. Z dalekich ogrodów płynęła niespokojna muzyka harmonii, gdzieś rozlegał się jasny i czysty śmiech dziewcząt. Wszyscy chłopcy czuli, że czegoś niezwykłego trzeba dokonać, czegoś naprawdę wielkiego i z pogardą przypomnieli poplamiony atramentem podręcznik do łaciny.

– Wiecie co! – nagle zakrzyknął Wicek i przestał drapać kijem deski. Na jego umorusanym węglem obliczu zajaśniała wielka myśl. – Zbudujmy szałas!

– Gdzie? – wolno powiedział Wiktor i zwlekał doskonale znając wagę swoich decydujących słów.

– No w kącie! – roześmiał się Wicek – Czyż nie wiesz?

Oczywiście wszyscy znali to miejsce. Natychmiast zgramolili się z desek i wdrapali na najwyższe miejsce w ogrodzie, gdzie w gęstwinie splecionych krzaków, bielił się mały placyk. Chłopcy z powagą go obejrzeliby taksującym wzrokiem i rozważali. Miejsce naprawdę było dosyć wygodne. Gęste krzaki skrywały je przed niepożądanymi wrogami i oczami samego stróża – niemniej jednak, na nieszczęście, placyk był za mały.

Położenie było kłopotliwe. Michaś jako najodważniejszy, poruszył mokry i podgniły płot sąsiedniego ogrodu.

– Przewróćmy, panowie, to barachło na bok! – powiedział ze znanstwem.

– Poczekaj – nieśmiało wtrącił się Romek (on przecież jeszcze nie był przyjęty do tajnej rady Indian i nie miał prawa palić

fajki, bo do sadu mógł przychodzić tylko za pozwoleniem matki). – Po co wywracać, chłopaki?

Wszyscy popatrzyli na niego pogardliwym wzrokiem.

– Ty, smarkaczu, milcz – wyniośle rzekł Wiktor – i rób, co ci się każe.

Nieznający strachu Indianie dzielnie wczepili się w deski. Zardzewiałe gwoździe zaczęły zgrzytać i wkrótce spróchniała belka trzasnęła. Przez szparę powiał zimny wiatr, niosąc wilgoć i dziwny zapach. Chłopcy wydali okrzyk zwycięstwa, jednak natychmiast po tym ucichli nie mając odwagi wleźć do tego nieprzyjemnego ogrodu. Czerniły się w nim spleśniałe ubiegłoroczne liście, obrosłe pokrzywami i łożuchem; pośród nich walały się zielone odłamki rozbitych butelek, stare kartki z kalendarza i podarte karty. Pośród pokrytych porostami drzew ciągnęły się pełne żdźbeł pajęczyny, w których wisały gąsienice i nieżywe muchy. Poprzez dzikie krzaki widać było podpróchniałe schodki, rozpadające się ruiny i przekrzywioną ścianą budę z drzwiczkami pomalowanymi na niebiesko.

Chwilę się naradziwszy, chłopcy wybili kołkami pokrzywy i wyrwali łożuchy niwelując teren dla swego szałas.

– Ty zgarnij te śmieci w dół – w końcu nakazał wódz Romkowi – a my zaczniemy budować fundamenty.

Zostawiwszy Romka, żeby wykonał tę czarną, odpowiednią tylko dla służby robotę, godniejsi Indianie zbiegli w dół. Schwyciwszy się w kilku zaczęli ciągnąć deski spod ściany drewnutni na zawojowaną ziemię.

Pracowali w pocie czoła do samego zmroku.

Wreszcie na niebo wszedł księżyc. Na ulicy zapaliły się światła, dało się słyszeć również łagodne gwizdanie doktora Krztyny. Zgrzani chłopcy usiedli na skrzynkach i z dumą obejrzeni wykonaną pracę. Podłoga budy bielila się w blasku księżycy niczym stronica dziennika, otoczona zakurzonymi pokrzywami i pajęczynami.

Trzeba przyznać oczywiście, że w Kownie znaleźć można i paradniejsze pałace od tej budy z desek, jednakże z drugiej strony, nie można zapominać, że ani jeden z nich nie był budo-

wany z takim zapalem jak ten. Zachwyceni chłopcy uroczyście przysięgli swój szafas trzymać w najgłębszej tajemnicy, wszakże za zdradę – jeśli by się taka zdarzyła, jak rzekł Wiktor, bacznie patrząc na Romka – jako jedyna pasująca odpłata, przewidziana była śmierć.

Tej nocy chłopcy spali niespokojnie.

Michaś śnił szklany zamek, który połyskującymi basztami wspinał się ciągle w górę poprzez chłodną noc i ginął w nieprzeniknionej ciemności. Nawet w czasie lekcji siedział on w ławce i drapał ją piórem, ciągle marząc o szafasie i za to dostał uwagę od nauczyciela geometrii.

Wróciwszy z gimnazjum, chłopiec wlaźł przez okno do warsztatu ojca i zaczął szperać wśród pił i wiórów. Wreszcie odnalazł skrzynkę gwoździ z młotkiem i schowawszy ją za pazuchę, pobiegł do sadu.

Plac był jeszcze pusty. Jedyne Romek siedział na starej skrzynce owoców i nudził się.

– Jeszcze nikomu nie opowiadałem o naszym szafasie – pochwalił się zobaczywszy Michasia.

– Dobrze – odrzekł ten wyciągając z kieszeni drobne pieniądze. – Zmykaj do Kiełbasińskiego i kup sobie cukierków.

Wkrótce zebrała się cała szajka i chłopaki zabrały się do roboty. Trzeba było zacząć stawiać ściany budy. Do tego celu, jak się okazało, bardzo dobrze nadawał się przewrócony narożnik płotu i chłopcy przymocowali go gwoździami do belki. Postawienie drugiej ściany było o wiele bardziej skomplikowanym zadaniem, ponieważ składała się ona z pustych skrzynek po piwie i z kolorowych kawałków desek, które trzeba było zbić gwoździami.

– Ej, poczekajcie – nagle przyszło do głowy Michasiowi.  
– Przecież koniecznie trzeba zrobić okienko do obserwacji! Chodźcie ze mną!

To była całkowicie rozsądna i ostrożna myśl.

Indianie przeczołgali się przez szumiące łopuchy do tego zagadkowego sadu. Ciągnąc pajęczyny podpełzli do psiej budy. Była pusta, już od dawna nieużywana – ponieważ jej właściciel

widocznie już nie żył – i zupełnie przegniła. Chłopcy ją rozbili, wysypali jakieś uschłe liście i jej niebieskie drzwiczki wynieśli do swojego szałas. Okazało się, że to rzeczywiście było wygodne okienko obserwacyjne.

Kiedy zatrzymali się, by odpocząć, Michasiowi przyszło do głowy, że te wysypane liście wspaniale nadałyby się do jego fajki, jako tytoń i wrócił znów do sadu.

Jednakże, gdy schylony zaczął zbierać je do czapki, z tyłu za nim dało się słyszeć ciche kasłanie. Odwrócił się wystraszony. Na grząskiej grządce tupąła wsparta na laseczce straszna staruszka, otulona obrzydliwie brudną chustą i ubrana w pończochy w czarne i czerwone pasy. Na jej krzywym nosie sterczały ciemne okulary, a z rozczochranych włosów zwisała polatana chustka.

– He! – charknęła staruszka skrzypiącym głosem – Kto zniszczył moje zioła? – i groźnie podniosła łaskę swoją kościstą ręką.

Gdy Michaś ją ujrzał, aż dreszcz po plecach mu przeszedł. Nawet podskoczył wystraszony i natychmiast przelazłszy przez płot, wpadł z hałasem na dach drewni. Dopiero tu oprzytomniał i spojrzał w tył. Staruszka ze złością drapała łaską liście i rozglądała się niedowidzącymi oczami wokoło, szukając psiej budy, która zniknęła. Podniosła nawet i czapkę Michasia, która mu spadła – jakby buda mogła się pod nią kryć! Wówczas, coś zrzedząc, zawinęła porozrzucane zioła do chusty i stękając pokuśtykała omszałymi schodkami do swojej chatki. Michaś pognął do swoich kolegów. Usłyszawszy hałas, zaprzestali wbijać gwoździe i bojaźliwie nasłuchiwali. Jeszcze pół biedy, że staruszka nie zauważyła w krzakach ich ukrytego szałas!

– To stara Burczyńska zabrała twoją czapkę! – roześmiał się dodając sobie otuchy Wiktor. Michaś nic nie odpowiedział i pracował bez humoru dalej.

Do wieczora ostatecznie odgradzili się od tego niebezpiecznego sadu.

– Teraz, panowie, chodźmy na zwiady – trochę nieśmiało zaproponował Michaś, bo bardzo go martwiła porzucona czapka.

Wziąwszy łuki i strzały, chłopcy rozbiegli się po sadzie. Było już ciemno. Nawet księżyc zakryły gęste atramentowe chmury. Czapki Michasia nigdzie nie było widać. Wówczas, chowając się za krzakami i za kupą bierwion, zbliżyli się do domu Burczyńskiej. Uczepiwszy się rynny wdrapali się na beczkę pełną wody, a z niej przeleźli na dach składziku. Podpełznąwszy po dziurawych dachówkach do płonącego na czerwono okna, wielkimi oczami zajrzeli do środka.

Izba Burczyńskiej była cała zagracona nastroszonymi, wypchanymi sowami. Z wyłożonych czarnym papierem ścian, wytrzeszczały ślepia zwierzęce głowy, a z rogu kozła zwisała też czapka Michasia. W kącie palił się piec i z syczących kotłów unosiła się ciężka para, tworząc nieprzyjemne upiory w powietrzu. Na zapiecku, obok zabłoconej miotły, drzemał czarny kot.

Przy brudnym stoliku siedziała stara Burczyńska i tłusty sklepikarz Kielbasiński. Staruszka uważnie wpatrywała się w jego dłón przez swoje okulary i coś tłumaczyła tak strasznie chichocząc pod nosem, że przestraszony sklepikarz tylko ocierał spoczone czoło.

Nagle Burczyńska ucichła coś wyczuwając i zaczęła węszyć w powietrzu. Puściła rękę sklepikarza, ze złością krzyknęła i małymi kroczkami podreptała do okna. Wystraszeni chłopcy zeskoczyli na ziemię, a Romek ze strachu o mały włos nie chlupnął do beczki. Na szczęście, tuż obok była brama i chłopcy uciekli na ulicę. Schowawszy się za opuszczonym kioskiem z łękiem spoglądali na dom Burczyńskiej.

Wreszcie przez drzwi wyszedł zmartwiony sklepikarz. Zatrzymawszy się na chodniku, popatrzył na swoją dłoń, długo wodził po niej palcem, potem smutnie pokiwał głową i poczłapał w kierunku cmentarza. Zaciekawione dzieci poszły za nim. Kielbasiński szedł ulicą coś wzdychając i wreszcie dotarł do warsztatu z trumnami. Kiedy sklepikarz na chwiejnych nogach wszedł przez drzwi, dzieci przykleiły nosy do szyby i popatrzyły przez pełne wieńców okna do środka.

Kielbasiński zatrzymał się przy największej trumnie i puknął w nią tłustym swoim palcem. Zdziwiony właściciel warsztatu

zaczął się śmiać. Niedowierzając machnął ręką, jednak Kiełbasiński ciągle kiwał głową i na koniec wysunął mu swoją dłoń, coś wyjaśniając i ocierając gorzką łzę z oczu.

Chłopcy dłużej nie czekali i po krótkiej naradzie, pospieszyli do kina obejrzeć film o dzielnych bohaterach Dzikiego Zachodu.

Kiedy chłopcy, radośnie gwizdząc wracali do domu z płonącymi męstwem twarzami i strzelali z korkowych rewolwerów do szyldów, na ulicy Górskiej przechodniów już nie było widać. Tylko przed zamkniętym sklepikiem Kiełbasińskiego poruszał się jakiś dziwny cień. Chłopcy ostrożnie podkradli się bliżej i w świetle ledwo żarzącej się latarni zobaczyli starą Burczyńską. Paliła przed drzwiami jakieś zioła dziwnie drepzcząc swoimi zadartymi butami, szepcząc niezrozumiałe słowa i machając rękami we wszystkie strony. Usłyszawszy dzieci, zadrżała, popatrzyła na nie czerwonymi oczami i wyrzuciwszy tłące się liście z palców, ze złością uciekła do swojej krzywej chatki.

Pomijając wszystkie te straszne wydarzenia, w następnych dniach szafas był budowany dalej. Ostatecznie wzniesione zostały ściany, drzwi, znalezione w kącie drewnitni wstawione, a ławki sklecone. Nie brakowało nawet stołu, który tworzyła okrągła pokrywa studni położona na becze. Nad drzwiami chłopcy zawiesili srebrny talerz skradziony późnym wieczorem znad drzwi pewnego fryzjera.

Kolorowe deski budy tak bajecznie migotały w południowym słońcu, że nikt nie mógłby uwierzyć, że wcześniej sterczały tu kretowiska i wały się stare szmaty. Kiedy wiał wiatr, lekki talerz fryzjera kołysał się i drgał dzwoniąc niby łagodny gong, a nocą tak jasno świecił w świetle gwiazd, że nawet czarny kot Burczyńskiej, przechadzając się skrajem płotu, nie jeden raz wziął go za księżyc i zapatrzony stoczył się w pokrzywy.

Wreszcie nadeszła i owa głośna w historii Kowna sobota. Tego dnia Michaś siedział po lekcjach i wrócił do domu szczególnie późno. Kiedy wspiął się do sadu, znalazł swoich kolegów zaniepokojonych i o czymś dyskutujących.

– Ej, Michaś, chodź tu szybciej! – wołał Wicek.

Wyczuwszy coś złego, Michaś usiadł na szafasowej ławce, wszelako koledzy, przerywając jeden drugiemu, opowiedzieli mu straszną swoją przygodę.

Weszli w najdalszy kąt sadu Burczyńskiej chcąc przeszukać ruiny. W środku znaleźli starą stertę kości i czarny kocioł. Podeszli bliżej. Tylko nagle z kotła wyskoczyła stara Burczyńska upiornie chichocząc i chciała ich złapać. Ledwo zdążyli uciec. Romka nawet dzieliła laską przez nogę, gdy wlaził przez ukryte drzwi budy. Jednak to wszystko nic – ważne, że Burczyńska wysłodziła szafas i zatrzymawszy się pod okienkiem, wygrażała, że zetrze go na proch.

Sytuacja rzeczywiście była poważna.

– Trzeba, panowie, wykopać topór wojenny – rzekł Michaś – i pilnować szafasu.

– To się wie – wolno powiedział wszystko przewidujący Wicek. – Ale wtedy trzeba by najbardziej pilnować w nocy. Kto może wiedzieć, kiedy...

Wszyscy ucichli. Słyszać było tylko nieprzyjemny szelest badyli w sadzie Burczyńskiej.

Wtedy Wiktor jako przywódca, zaczął objaśniać sławetny swój plan, od tamtego momentu znany wśród kowieńskich chłopców pod nazwą „Plan Wiktora”.

– No i będziemy pełnić straż, panowie, ot co! – rzekł. – Jest nas sześciu, prawda? Straż pełnimy każdej nocy po dwóch, a pozostali śpią ubrani i uzbrojeni przy otwartym oknie. Wicek da patrolom swój gwizdek. Zauważywszy cokolwiek podejrzanego zagwiżdżą, a wszyscy jak błyskawica biegniemy do szafasu. He! Wtedy, panowie, biada każdemu nikkczemnemu wrogowi!

Wszyscy jednogłośnie przytaknęli temu odważnemu pomysłowi.

Pierwszej nocy podjęli się stać na straży Michaś i Romek.

Być może dlatego tego dnia Michaś był taki zdenerwowany, że w czasie obiadu nawet i ulubionego kapuśniaku ledwo kilka łyżek zjadł.

Ojciec łakomie siorbał zupę, ruszając rudymi swoimi wąsami i głośno czytał gazetę. Tego dnia wiadomości były takie ciekawe, że nawet i matka zapomniała skarcić go, że jedząc czyta.

W teatrze miejskim, okazało się, miał miejsce uroczysty koncert. Dyrygent z takim natchnieniem dyrygował ostatni swój utwór spisany w notesiku, że nawet jego batuta się złamała. Zakład Medycyny donosił, że sklepikarz Kiełbasiński już kilka dni choruje na jakąś nieznaną i tak ciężką chorobę, że nawet i najstłynniejsi kowieńscy doktorzy nie mogą go wyleczyć.

Nagle ojciec odłożył łyżkę z nadgryzionym ziemniakiem na talerz i zaczął się śmiać.

– Patrz, cóż tu za ogłoszenie! – wykrzyknął, palcem pokazując dużymi literami napisaną wiadomość i zaczął czytać na głos:

„Do wiadomości wszystkich czarownic. Tej nocy z góry Szatria<sup>49</sup> do Kowna przylatuje naczelna czarownica. Z tej okazji zorganizowane będzie uroczyste przyjęcie, na które zaproszone są wszystkie czarownice z Kowna. Uczta odbędzie się o północy w umówionym miejscu.”

Czytając to, ojciec tak rechotał, że ledwo całej swojej zupy na stół nie wylał. I Michaś próbował się uśmiechnąć, tylko śmiech z jakiegoś powodu utknął mu w gardle.

Po obiedzie usiadł przy oknie i zaczął odrabiać lekcje.

Otworzył brudną od atramentu książkę Cezara o wojnie galijskiej, długo patrzył na nagryzmołone na marginesie ludziki. Gorące promienie świeciły przez okno. W słońcu błyszcząły i okrągła kopuła kościoła garnizonowego<sup>50</sup>, i migoczące liście kasztanów. Jakiś natrętny biały piesek szczekał na grubego i dostojnego przechodnia, chcąc ugryźć go w nogę, a ten ze złością go strofował i usiłował uciec. Na dachu Burczyńskiej leżał czarny kot i obserwował kominiarza, gorliwie czyszczącego komin usmoloną szczotką.

W pokoju bzycały muchy. Michaś zamknął książkę.

<sup>49</sup> Wzgórze na Żmudzi w rejonie telszewskim. Góra ta (lit. Šatrijos kalnas), jak się przypuszcza, była miejscem pogańskich obrzędów. Podania głoszą, że na Górze Szatria odbywały się sabaty czarownic.

<sup>50</sup> Chodzi o kościół stojący na osi Al. Wolności w jej wschodniej części. Zbudowany został w latach 1891-1893 jako garnizonowy sobór św. Piotra i Pawła, w neobizantyńskim stylu, na planie krzyża greckiego z centralną kopułą i czterema mniejszymi kopułami w narożnikach, krytymi cynkową blachą. W 1919 r. stał się świątynią katolicką pod wezwaniem św. Michała (lit. šv. Mykolo), nadal jednak pełnił funkcję kościoła garnizonowego (lit. įgulus bažnyčia). Zwyczajowo nazywany jest Soboras. Zob. *Kauno architektūra*, s. 188-190.

Było wykluczone, by pracować dzisiaj. Raz jeszcze spojrzął przez okno i zobaczył, jak Burczyńska wyniosła na podwórze wiadro wody. Zaczęła dokładnie myć starą miotłę, coś mówiąc do siebie, obracała ją, oglądała pod światło, potem wzięła między nogi i zakołysała, jakby sprawdzając jej moc.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Michaś zadrżał. Do pokoju wszedł Wicek.

– Przyniosłem ci gwizdek... i to... – powiedział, wyciągając z kieszeni pudełko świeczek – Wiesz...

Tu się zatrzymał, potem dodał:

– Będziemy w sadzie do wieczora...

Po kolacji Michaś zebrał cały do wojny potrzebny rynsztunek i poszedł do Romka.

Ten siedział przy stole jeszcze z mokrymi włosami, widać, dopiero co wykąpany i jadł jajecznicę.

– To jak? – cicho zapytał Michaś, nieśmiało przysiadłszy na krawędzi krzesła.

Romek potrząsnął głową i ukradkiem pokazał widelcem na mamę, ścielącą mu łóżko.

– Nic z tego... – rzekł.

Michaś zastanawiał się.

Na piecu usypiająco szumiały garnki. Na ścianie wolno i leniwie kołysało się wahadło zegara.

– Wiesz – wreszcie rzekł – daj mi swoją książkę z bajkami.

Chwilę zabawiwszy u swojego kolegi, włożył książkę pod pachę i wyszedł do sadu. Na niebie świecił księżyc w pełni. Lekkie i bojaźliwe chmurki fruwały ponad pociemniałymi drzewami, niby przezroczyste dusze. Zegar Muzeum Wojska głucho bił godzinę dziewiątą.

Michaś wdrapał się do szafasu i otworzył skrzypiące drzwi. Szafas był już pusty. Michaś zapalił świeczkę. Na ścianie bielił się nożem przybity liścik:

„Wyszliśmy do domu. A wy szczęśliwie stojcie na straży. Śmierć wrogom!”

Chłopiec uśmiechnął się i postawił świecznik na stole. Potem założył swój indiański pióropusz i spojrzął na sad Burczyńskiej.

Drzewa nieprzyjemnie szeleściły na wietrze, niczym czarnymi chustami otuleni czarownicy. Między poruszającymi się gałęziami jabłoni latały nietoperze. Gdzieś jęczał kawałek blachy, żałośnie uderzający w kamienie.

Michaś usiadł na ławce i zapaliwszy fajkę, zaczął wertować książkę z bajkami, z ciekawością oglądając kolorowe obrazki. Pograżony w lekturze, zapomniał o wszystkim wokół siebie. W oddali dało się słyszeć cichnący hałas ulic i ochryple głosy jakichś tam pijaków, idących chwiejnym krokiem do następnej oberży. Wkrótce wszystko ucichło. Zaczęły gasnąć ostatnie światła okien. Jednak wiatr ciągle się wzmagał i dmąc przez szpary szalasu, ciągle zagrażał zgaszeniem chwiejącego się płomienia świeczki.

Wreszcie wybiła północ. Czarne krzaki zaczęły głośniejszurać o ścianę szalasu i Michasiowi przeszedł po ciele lekki dreszcz. Wstał i przez okienko spojrzął na dom Burczyńskiej. Z popękanego komina buchały ciemne kłęby dymu i straszliwie się wijąc, wznosiły się w czyste niebo, zatapiając gwiazdy. Nagle zadrżał. Przez komin trysnął czerwony płomień, a razem z wybuchającymi iskrami na miotle wyleciała stara Burczyńska. Jedna jej ręka trzymała trzon miotły, wszakże w drugiej kołysało się czerwone światło. Zatoczywszy koło wokół straszliwego sadu przysiadła na najwyższej jabłoni, poprawiła okulary i zaczęła się rozglądać przysłoniwszy ręką oczy.

Michaś spojrzął na niebo i dostrzegł tam poruszające się czarne punkciki, takie małe, że z początku pomyślał, że to tylko nietoperze, które wzbily się wysoko. Ujrzawszy je, Burczyńska zaczęła wrzeszczeć, machać ręką i zakreślać swoim światłem koło. Wówczas punkciki zaczęły opuszczać się niżej i wkrótce w sadzie zaczęły lądować straszne staruszki z tortami w pudełkach, pieczystym i ciastem w dłoni. Coś robiły w krzakach, naradzały się, słychać było dzwonięcie talerzy z widelcami. Jedna czarownica przysiadła na jabłoni obok Burczyńskiej i zaczęła o coś pytać, jednak ta pokręciła głową i pokazała na zegar.

Wkrótce od strony Starego Miasta między gwiazdami rozbrły małeńkie światełko.

– Już nadlatuje! – zakrzyknęły czarownice.

Radując się, wzniosły się w powietrze i przycupnęły na drzewach, a Burczyńska to poleciała aż do samego Muzeum Wojska i opuściwszy się na blankowaną jego wieżę<sup>51</sup>, machała czerwonym światłem.

Po jakimś czasie na niebie pokazała się rojąca się horda. Na jej przedzie leciało kilku służących z kozimi brodami, którzy oświetlali drogę płonącymi, smolnymi pochodniami. Z tyłu za nimi leciało jakieś dwadzieścia czarownic. Wszystkie one siedziały na przystrojonych kokardami miotłach i trzymały w rękach zielonkawy dywan, uszyty z jaszczurczej skóry. W jego środku, wygodnie wsparta na małym futrze, wylegiwała się tłusta i straszna czarownica, której nieczesane włosy, przysypane połyskującymi robakami, dyndały w powietrzu. Ona dumnie wachlowała się wachlarzem zrobionym z palców nieboszczyków.

Kowieńskie czarownice wleciały z wygaszonych kominów i wykrzykując piszczącymi głosami, zaczęły latać wokół, radośnie machając chustkami. Wielka czarownica z trudem stanęła na dywanie, wspierając się na lasce i uśmiechając się swoimi tłustymi ustami, kłaniała się na wszystkie strony.

– Tutaj, prosimy, tutaj! – zawołała Burczyńska, wskazując na swój sad, a horda czarownic z trzaskiem wylądowała na krzakach. Zniknęły w gąszczu. Jednakże doskonale słychać było cienki ich chichot, hałaśliwe rozmowy, drapanie noży w talerze i przekrzykiwania. Michaś czekał z bijącym ze zdenerwowania sercem.

Wreszcie rozległy się piszczące głosy:

– Cyt! Cyt! Cisza!

Czarownice ucichły, jednak wkrótce zaskrzeczał drżący głos Burczyńskiej, wygłaszający, widać, jakąś uroczystą mowę powitalną, bowiem przerywały go stale głośnie oklaski i stukanie widelcami w stół.

Zaciekawiony Michaś wyciągnął dolną skrzynkę budy i wychował się do sadu Burczyńskiej.

<sup>51</sup> Chodzi o wieżę starego budynku Muzeum Wojska, zob. przypis nr 30.

Rozchyliwszy krzak porzeczek, zobaczył dziwną scenę.

W ruinach bielił się nakryty stół, przystrojony pokrzywami wetkniętymi w skorupy wazonów. Na ławach roily się stłoczone czarownice i jadły gotowane sobie jajka razem z łupinami. Były tak nisko pochylone nad talerzami, że nawet nosy wsadzały do potraw. Jednym uchem słuchały podniosłej mowy.

– Nieźle mówi Burczyńska! – szeptała najbliższa czarownica do swojej sąsiadki i uprzejmie zaproponowała jej marynowanego nietoperza w panierce ze startych kopyt czarnych koni.

Burczyńska mówiła swoim świszczącym głosem dalej, chwając gotowany w kotle napój, w przerwach wciąż odkaszlując, jednak Michaś usłyszał tylko ostatnie jej słowa:

– Cha, cha, cha!

Natychmiast po przemówieniu czarownice trajkocząc wskoczyły na ławy i wzniosły kielichy zrobione ze skóry arbuza z nóżkami ze świńskich piszczeli, a tak mocno stukwały nimi, że bulgoczący czarny napój wręcz zaczął lać się na ziemię. Czarownice połknęły go z zamkniętymi oczami, a z ich gardeł zaczął wydobywać się czarny dym.

Wypiwszy kielich, naczelną czarownicę zamilkła i zaczęła nasłuchiwać, wachając powietrze. Również Burczyńska przyłożyła rękę do ucha.

– Gdzieś czuję nieprzyjemny zapach człowieka – odezwała się naczelną czarownica. – Natychmiast przyprowadźcie go tutaj!..

Przeżalone staruszki rozpierzchły się po krzakach, wodząc palcami po ziemi i wkrótce wyciągnęły drżącego Michasia spod krzaka porzeczek.

– Cha, cha, cha! Wreszcie i ty, ptaszku, wpadłeś! – zaczęła złośliwie chichotać Burczyńska bezzębą swoją gębą. – Ja ci dam mój sad tratować!.. Z przyjemnością byśmy ciebie zjadły, jeśli tylko dziś nie byłby dzień postu od ludzkiego mięsa.

Chwilę pomyślawszy, odwróciła się do tłustej czarownicy i uniżenie spytała:

– A może mimo wszystko?

Ta spojrzała na Michasia zaczerwienionymi oczami i tak gwałtownie się rozdziawiła, że nawet spróchniałe jej zęby się

pokazały, potem złożyła straszny swój wachlarz i wskazała palcami nieboszczyków na kocioł.

– Nie, rzućcie go tam!..

– Wbijemy Indianina w ziemię! – zaczęły radować się czarownice i wczepiwszy się w wierzgającego chłopca, zanurzyły go w bulgoczącym kotle.

Wystraszony Michaś wyciągnął gwizdek z kieszeni i dmuchnął w niego ze wszystkich sił, jednakże jego gwizdanie utnęło w gęstym napoju. Ledwo kilka bąbelków wydostało się do atmosfery. Czuł, jak jego stawy zaczęły zastygać, jak bicie jego serca ucichło i jak on, straciwszy siły, już nie może nawet i głowy podnieść. Wszelako czarownice złapały się za ręce i coś śpiewając, radośnie tańczyły wokół kotła.

Wreszcie wyciągnęły ociekającego Michasia i wbiły zdrewniałe jego nogi w wilgotną ziemię. I tak stał on z rozłożonymi na boki rękami, nie mogąc się ruszyć, zastygłymi oczami gapiąc się na ucztę czarownic.

Po jakimś czasie zapał kogut Kiełbasińskiego. Naczelną czarownica spojrzała na mapę i dopytywała się o najkrótszą drogę do Wilna. Potem czarownice objęły przyjaźnie jedna drugą i pożegnawszy się, wsiadły na miotły i wyleciały.

Sad opustoszał. Hałas ucichł. Wokół Michasia walała się tylko kupa ogryzionych kości, w ruinach stygł czarny kocioł. Wiatr wichrzył słomiane włosy chłopca i szarpał podarte jego ubrania, ponuro rozciągające się na pękających rękach. Nietoperze usiadły Michasiowi we włosach, nocne chrząszcze ryły koło wilgotnych jego nóg, a żaby skakały po jego cieniu i ze smutkiem rechotały patrząc w szklane jego oczy.

Tylko w oddali dźwięczał kołyszany przez wiatr srebrny talerz. Przez szpary szafasu wdzierało się jasne światło świecy, oświetlając pokryty pokrzywami kąt sadu. Och, jak pragnął on uciec do budy, zapalić kasztanową fajkę i znów wertować stronicę książki z bajkami! Jednak teraz tylko zimna rosa padała na nieżywą jego twarz, wyrysowaną węglem na starym worku po soli.

Wreszcie wzeszło słońce. Złote promienie wyraźnie oświetliły wybladłe policzki Michasia, takie straszne, że ptaki, które

się obudziły, lękliwie uciekły od niego we wszystkie strony. Jedynie odważne pająki wdrapywały się po jego rękach, rozciągając swoje sieci. Wkrótce do uszu chłopca dotarł poranny hejnał z wieży Muzeum Wojska i szumiący harmider rozbudzonych ulic. Dzwony wszystkich kościołów biły, budując niedzielny nastrój w mieście, jednak Michaś sterczał smutny i przez wszystkich opuszczony, wbity w tym strasliwym sadzie.

Koniec końców w szafasie dało się słyszeć łoskot niespokojnych kroków i głosy zdenerwowanych chłopców. Oni dopiero co wrócili z kościoła i szukali swego kolegi, który przepadł.

– Ale gdzie jest Michaś? – dało się słyszeć rozkazujący głos Wiktora i natychmiast w okienku ukazała się nieufna jego twarz.

– Michaś był wieczorem u mnie – wtrącił się Romek – a potem wyszedł pełnić straż do szafasu.

W budzie słyhać było szeptanie i długie naradzanie.

Potem tajne drzwi się otwały i przez otwór ostrożnie wypełzli koledzy uzbrojeni w srebrne toporki. Rozpierzchli się po sadzie. Jasne pióra pióropuszy lśniły w słońcu, od czasu do czasu rozbłyskały między zakurzonymi liśćmi oślepiającym płomieniem. Ucieszony Michaś chciał krzyknąć do nich i zamachać ręką, jednak z jego wypchanej słomą piersi wypłynął tylko słaby i niesłyszalny pisk.

– Ale tu naśmiecono przez noc! – otrząsnął się Wiktor, szturchając dzidą na zdeptanej ziemi walające się kości i ogryzione rybnie głowy. – Nie zdziwiłbym się, gdyby i Michaś...

Ale tu jego słowa przerwał przerażony Romek.

– Patrzcie chłopaki! – powtarzał zdenerwowany, pokazując na stracha na wróble – Gwizdek...

Rzeczywiście! Strach na wróble trzymał w wyblakłych swoich ustach patrolowy gwizdek Wicka. Dzieciaki otoczyły stracha na wróble i niesłuchanie się przeraziły, gdy przypatrzawszy się mu lepiej, ostatecznie rozpoznały zastygłego swego kolegę. Szybko wykopały go z ziemi i wzięwszy pod pachy, ostrożnie zaniósły do szafasu. Chłopcy położyli Michasia na stole i przyrzekli mu się nie wiedząc, co tu dalej robić.

– Natychmiast zawołaj doktora Krztynę! – wreszcie rozkazał Wiktor Romkowi, a ten pobiegł, ile sił w nogach przez sad.

Dzieciaki czekały niecierpliwie.

– Panowie, niebezpieczeństwo! – nagle wyszeptał Wicek.

Wszyscy spojrzeli przez okienko zwiadowcze i zadrżeli. Po schodach wspinała się, z ukontentowaniem podskakując i zacierając ręce, stara Burczyńska niosąca niebieską czapkę Michasia, najwyraźniej zamierzająca założyć ją na głowę stracha. Zatrzymawszy się przed grządką, na której jeszcze niedawno sterczał Michaś, zaczęła rozglądać się wokół zdumiona. Upewniwszy się, że po Michasiu rzeczywiście nie ma ni śladu, wrzasnęła rozsierzdona i zaczęła obwąchiwać miejsce.

– Aha! – nagle roześmiała się i złapawszy brzegi spódnicy swoimi długimi palcami, zaczęła przedzierać się przez wczepiające się trawy w kierunku szałasu.

Jednakże chłopcy tym razem się nie przestraszyli.

– Otworzyć ogień! – rozkazał dowódca, a Indianie zaczęli ciaskać w straszną staruchę długie dzidy i tak mocno strzelać w nią zielonymi jabłkami ze swoich gumowych proc, że wiedźma, broniąc się przed nimi, nawet swoje okulary zgubiła. Straszliwie ich rugając, zaczęła grzebać w trawie, jednak wkrótce jedno z jabłek trafiło wiedźmę prosto w czoło i przewróciła się do tyłu na krzak jałowca. Podskoczyła i bezustannie ze złością wygrazając palcem, pokuśtykała do swojej chatki.

Wtedy dzieciaki dumnie rzuciły broń na stół i wyczyściły ręce.

Wkrótce w sadzie ukazał się również zadyszany doktor Krztyna. Tak prędko wspinał się na schody, trzymając w ręce ów znany swój kuferek z medykamentami, że nawet poły jego doktorskiego fartucha łopotwały w powietrzu niczym dwa białe skrzydła.

Wbiegłszy do szałasu pospiesznie rzucił kuferek z medykamentami obok książki z bajkami, okiem znawcy obejrzał zastygłego Michasia i chwilę drapał się w głowę. Potem wyciągnął gumowy młotek i dokładnie wymierzywszy, uderzył w jego kolano. Jednakże noga, niestety ani nie drgnęła. Jeśli ktoś z czy-

telników swego czasu interesował się naukami medycznymi, to dobrze wie, jaki to niebezpieczny objaw.

– Hm! – zamruczał doktor Krztyna – Takie nikłe odruchy widziałem jeszcze tylko u jednego chorego – ale ten był już nieżywy...

To mówiąc, schwycił drewnianą trąbkę i przyłożywszy do piersi Michasia, nasłuchiwał zmarszczywszy czoło jakieś dziesięć minut. Bicia serca nie było słyhać.

– Hm! – raz jeszcze wykrzyknął zaniepokojony Krztyna – To dziwactwo chorobowe! – i wyciągnąwszy z kieszeni kalendarz lekarski, otworzył pierwszy rozdział. Były tam szczegółowo wyluszczone wszystkie znane światu naukowemu zaklęcia i uroki czarownic. Ale, widocznie, to szczególne schorzenie nawet i tam nie było wspomniane, bowiem Krztyna odrzucił kalendarz w ką. Koniec końców otworzył swój kuferek. Woń niezwykłych leków rozpostarła się w powietrzu.

Krztyna długo szperał pośród różnokolorowych buteleczek. Potem, mówiąc coś po łacinie, wyjął bursztynowe pudełko z maścią rtęciową i mocno natarł nią zdrewniałe stawy Michasia. Moc tego cudownego balsamu rzeczywiście była niezwykła, bowiem stawy zaraz zrobiły się elastyczne.

– Serce Michasia już bije, doktorze! – uradowany wykrzyknął Wicek, przyłożywszy ucho do piersi kolegi.

– Aha! – powiedział lekarz, poprawiwszy okulary i roześmiał się zadowolony. – Aha! – raz jeszcze powtórzył – tym razem już naukowym tonem – i zapalił świeczkę.

Poszukawszy jakiejś silnie pachnącej buteleczki podgrzał ją nad płomieniem i przyłożył do papierowego nosa Michasia. Tenże tylko kichnął – tak mocno, że o mało co świeczka nie zgasła – i skoczył na równe nogi.

Koledzy zaraz otoczyli ożywionego druha, zaczęli pozdrowiać go i poklepywać go po ramieniu. Ostrożny Krztyna na wszelki wypadek jeszcze włożył pod pachę chorego termometr i czekał dostojnie obracając złoty łańcuszek zegarka.

Jednak nagle stała się straszna rzecz. Przez okienko obserwacyjne, złośliwie prychając, wskoczył czarny kot Burczyńskiej

i tak mocno wczepił się pazurami w ramię Krztyny, że doktor z ledwością strząsnął go na stół. Jednak kot nie poddał się i jeszcze natrętniej wczepił się i wspinał po jego długim płaszczu. Wówczas Krztynie zaświtał doskonały pomysł. Chwycił z kuferka biały proszek, przygotowany dla przewodniczącego Towarzystwa Dobroczynności, który nieustannie skarżył się na potężny swój brzuch i w jednej chwili wysypał całe pudełko na nastroszony grzbiet kota. Ten zaraz zaczął robić się cieńszy i po jakiejś pół minuty stał się mały jak mysz. Kiedy bez przerwy ze złością prychał, zrobił się wkrótce ledwo widoczny i na koniec zupełnie znikł chłopcom z oczu.

Zajęty tą niebezpieczną walką Krztyna nawet nie zauważył, jak przez drzwi wskoczyła czarownica Burczyńska, schwyciła Michasia za włosy i pstryknąwszy palcami przed nosem doktora, wybiegła z szałas. Dzieciaki chciały złapać czarownicę za poły, jednak nie zdążyły: wskoczyła na miotłę i wesoło się śmiejąc, wzniosła się w powietrze. Wkrótce dotarła nawet do wierzchołka gruszy.

– Tym razem niedoczekanie twoje! – pogroził Krztyna swojej przeciwniczce gumowym młotkiem i zachęcił Michasia: – Termometrem! Wal termometrem!

Wreszcie Michaś zrozumiał myśl doktora i szybko wyciągnąwszy termometr, z całych sił zdzielił czarownicę w głowę. Szkło pękło, a rtęć posypała się po zmierzwionych włosach czarownicy. Twarz Burczyńskiej tylko pozieleniała, zapiszczała nie swoim głosem i zaczęła ręką łapać powietrze, jakby chciała chwycić się jakiejś niewidzialnej pajęczyny. Utraciwszy siły, upadła z powrotem w dół i przebiwszy dach budy, gruchnęła na stół.

Brudne jej szmaty zakryły płomień świecy i cała czarownica zajęła się płomieniem, niczym słoma. Złośliwie zasyczała i puściwszy Michasia, raz jeszcze wzbiła się w powietrze, płonąć i paląc się trzaskającym ogniem.

Dzieciaki skakały i cieszyły się pokazując rękami niebo, a Krztyna obserwował poważnie czarownicę przez okulary i coś kreślił ołówkiem na marginesie swego kalendarza.

Czarownica tak mocno skwierczała, że nawet sklepikarz Kiełbasiński, schwyciwszy ręką kołnierz nocnej koszuli, wybiegł na bosaka do swego ogródka. Zobaczywszy dymiącą czarownicę szczerze się roześmiał, uderzył bosą stopą w ziemię i natychmiast ozdrowiał.

Niebawem po Burczyńskiej został tylko czarny obłok, który, dziwnie się wijąc, wznosił się wciąż w górę. Powoli nabrał kształtu siedzącej na miotle czarownicy. Z obłoku błyskały i uderzały pioruny. Wkrótce zaczęło z niego tak mocno lać, że dzieciaki wbiegły do budy, a wystraszeni przechodnie musieli rozłożyć parasole.

Czarownica, która się spaliła, popłynęła po niebie i gdzie przelatywała, jak twierdzą gazety z owego roku, wszędzie powstawały burze, które narobiły niemało szkód gospodarzom w sadach.



# Jak profesor Mruczysław do karczmy w Krakowie jechał





Rozpościerając ostatnie arkusze kroniki, poczuliśmy wraz z ratuszowym stróżem nieopisany smutek. Były one trudne do odszyfrowania. Wielkie krople wody w wielu miejscach rozmyły litery i czasami bardzo kłopotliwe było odgadnięcie myśli kronikarza. Wyraźnie widać było, że bałwan pisał topniejącą ręką, z której spływały ciężkie krople na ten postrzępiony pergamin. W ostatnich linijkach atrament jest zupełnie rozcieńczony. Płynąca strużka wody odbarwiła najpierw pojedyncze litery, dalej wszak już całe słowa. Jeszcze czuje się, że bałwan ostatkiem sił próbował gryzmolić bajkę dalej, jednak jego pismo stawało się coraz mniej widoczne, coraz bardziej bezsilne, ostatecznie kronika definitywnie urywa się i kończy czarną plamą atramentu, tworzącą mglistą sylwetkę bałwana. Widać, że w tym miejscu pióro wypadło z pozbawionej sił ręki kronikarza.

Wypełnienia tych smutnych luk podjął się sam stróż ratuszowy, który ma dość bujną wyobraźnię i w podobnych sprawach o wiele więcej domyślał się niż ja. Rozparł się w miękkim i zakurczonym fotelu, w którym po bałwanie jeszcze nikt nie siedział, zanurzył pióro w atramencie i, nieco ogryzłszy koniec pióra, uzupełnił brakujące słowa. Tylko w jednym miejscu, w którym była rozmyta cała linijka, dłużej się męczył i wyciągnąwszy z kieszeni szkło powiększające, przez które zwykle oglądał znaczki pocztowe, długo badał wyblakłe litery. Ostatecznie – widać od zbyt wytężonego patrzenia – w jego oczach rozbłysła łza.

– No, co ci jest? – zapytałem sam zaintrygowany.

– Pomyśl, czy to nie dziwne – mówił, melancholijnie pociągając fajkę – tu zapisano: „...a z topniejącego bałwana po prostu spływały krople wody...”.

To mówiąc, wypuścił obłok dymu z ogryzionego ustnika fajki, otarł oczy rękawem i zamyślił się.

\* \* \*

Do Kowna przyszła wiosna.

Brudny śnieg stopniał i spłynął szumiącymi potokami przez ulice na Górze Witolda, unosząc ze sobą pudełka od zapalek, pia-

nę i skorupki jajek. W wirach na skrzyżowaniach ulic kręciły się wilgotne i oblepione bąblami łódeczki, zrobione z oberwanych stron brudnopisu. Surowe okna uniwersytetu<sup>52</sup> zaczęły radośniej błyszczeć w słońcu, a duszne audytoria zaczęły pomалу pustoszeć. Nawet pilni medycy, siedzący w nieprzyjemnej sali, z ciemnych kątów której gapiły się stare i straszne szkielety, często podnosili głowy znad pożółkłych kości, przestawali szeptać tacińskie słowa i wsłuchiwali się w szum wiatru za słonecznymi oknami. Taka widać odurzająca wiosna panowała owego roku w Kownie.

W te cudowne dni również stary profesor nauk przyrodniczych Mruczysław nagle zwrócił na siebie uwagę studentów. Prawda, już zimą zaczął trochę dziwnie się zachowywać i prawie każdego wieczoru chadzać do teatru<sup>53</sup>, co nie bardzo przecież pasuje do takiego sławnego uczonego jak on, szczególnie gdy się pamięta, że siadywał on na najwyższym z balkonów. Nierzadko opowiadał też bajki dzieciakom woźnicy, który mieszkał na tym samym podwórku. Mówiło się szeroko, że on nawet i wiersze zaczął pisać. Niemałą ich część wysłał był do redakcji jednej z gazet, jednakże podpisywał się nie szanowanym przez wszystkich nazwiskiem prof. Mruczysława, ale jakimś skromnym i mało znaczącym pseudonimem, co, zapewne, było powodem tego, że nie zostały one wydrukowane.

Jednak wszystko to jeszcze pół biedy. W Kownie przecież jest więcej poetów, którzy, choć nie mają żadnych szczególnych dokonań, jednak, ogólnie rzecz biorąc, dla społeczeństwa są zupełnie nieszkodliwi.

Całe nieszczęście zaczęło się, gdy wiosną profesor zapoznał się z Muszką.

<sup>52</sup> Na ul. Donelaitisa w dwu gmachach zlokalizowany był Uniwersytet Litewski. Centralny gmach, z charakterystycznym wejściem głównym w narożniku, znajdował się pod nr 20. To tam mieściło się pierwsze Muzeum Przyrodnicze, zob. *Tarpukario Lietuva*, I. Adomavičiūtė (et al.), Kaunas: Šviesa, 2007, s. 86-89. W 1933 r. oddano do użytku gmach Wydziału Medycznego, który zlokalizowany został przy ul. Mickiewicza nr 9, niedaleko kościoła Karmelitów, zob. *Kauno architektūra*, s. 167-168.

<sup>53</sup> Teatr, jak już wcześniej wspomniano, znajduje się w Ogrodzie Miejskim przy Al. Wolności. Gmach istniał już w latach 90. XIX w., ale dopiero w niepodległej Litwie, w roku 1922 rozpoczęto remont zmieniający zupełnie widownię i scenę, zob. *Kauno architektūra*, s. 146-151.

To był ruchliwy, nie wiadomo czym trudniący się włóczęga, z małym nosem i odstającymi uszami, chodzący w butach związanych popękanymi sznurkami, jednak zawsze wystrojony w niebieskiej barwy krawat, kupiony niedawno w najlepszym sklepiku na Alei Wolności. Przesiadywał on stale w małej, wysuniętej na chodnik herbaciarni naprzeciwko domu Mruczysława i postawiwszy przed sobą kufel piwa, zapisywał bajki do zatłuszczonego zeszytu. Nikt, niestety, tych jego utworów nie drukował. Toteż nie trzeba się dziwić, że pewnego dnia, kiedy Muszka miał uregulować rachunki właścicielce, bardzo tym zmartwiony opróżniał już którąś z kolei butelkę wina, opowiadając zgromadzonemu słuchaczom o swoim rodzinnym miasteczku Krakinowie<sup>54</sup>, o swoich twórczych zwyczajach w różowej karczynie i o miłym karczmarzu, który pisarzy o wiele lepiej rozumie i daleko bardziej ceni. To mówiąc, rzucił pełne pogardy spojrzenie na właścicielkę, która jednak udała, że nie słyszała tych jego słów wyrzutu i dalej czyściła lustro fartuchem.

Mruczysław, przez przypadek do herbaciarni zaszedłszy, już wówczas bardzo zainteresował się ciekawymi opowieściami włóczęgi.

Natychmiast zapłacił wszystkie jego rachunki, a poczciwy Muszka nie pozostał dłużny i od tego momentu stał się najlepszym druhem profesora. Wiosną często spacerowali piaszczystymi brzegami Wilii lub zasiadłszy pod ogromnymi drzewami dąbrowy, opowiadali bajki nie zwracając uwagi na chrapiących w dziuplach pijaków. A ten włóczęga umiał tak żywo, jak jeszcze nikt przed nim, opowiadać o słonecznym Krakinowie, legendarnej jego gospodzie, młodości minionej i kulawym cmentarnym stróżu.

– Pewnego pięknego dnia znów tam wrócę – do błękitnego pokoju... – z rozmarzeniem mawiał kopiąc nogą wywró-

<sup>54</sup> Krakinów (lit. Krekenava), to miasteczko położone w okręgu poniewieskim. W kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Maryi znajduje się cudami słynący wizerunek Madonny z Dzieciątkiem. Obraz ten, malowany na desce, trafił na Żmudź z Krakowa, zob. A. Fridrich, *Historje cudownych obrazów Najświętszej Maryi Panny w Polsce*, t. IV, Kraków: Nakładem Wydawnictwa Tow. Jez., 1911, s. 212-217.

coną i błyszczącą w słońcu butelkę i zapraszał Mruczysława do wspólnej podróży – Wówczas to zobaczysz... – obiecywał.

Pewnej wonnej, majowej soboty, profesor Mruczysław stał w rozświetlonym audytorium oparłszy się na poplamionej atramentem katedrze i rozpostarłszy książkę, czytał nudny wykład. Przez otwarte okno wiał ciepły wiatr, słońce złociło rozpuszczone dziewczęce włosy i pokryty czerwonymi żyłkami nos profesora. Mruczysław prowadził wykład o pewnym dziwnym rodzaju myszy, mieszkającej gdzieś na północy. Każdej wiosny myszy te nerwowo opuszczają swoje nory, gigantycznymi stadami zbierają się na brzegu morza, wypływają daleko na zimne wody i giną w falach, widać szukając jakiejś bogatej, dawno już zatopionej wyspy.

W czasach, kiedy profesor jeszcze wciąż cieszył się sławą poważnego naukowca, w tym miejscu wykładu zdejmował okulary i dumnie czyszcząc je kolorową chusteczką, żartobliwie zauważał:

– Niewykluczona rzecz, koledzy – mawiał usiłując się uśmiechać w miarę możliwości jak najmądrzejszym uśmiechem – niewykluczona rzecz, koledzy, że również ludzie należą do wspomnianego rodzaju myszy, ponieważ i oni często giną, poszukując bezustannie baśniowych krain, które dawno przepadły.

Potem zwykle milkł i kasłał lub wydmuchiwał nos, dając czas studentom pojąć głębię jego spostrzeżenia.

Jednak tego majowego dnia student Wawrzyniec, który brał udział w tym kursie już drugi rok z rzędu, zauważył, że profesor tę normalną dla siebie uwagę wypowiedział o wiele czulszym, cieńszym i bardziej drżącym głosem. Wyciągnąwszy zaś kraciatą chusteczkę do nosa z kieszeni, nie wytarł nią okularów jak zawsze, ale przyłożył do rozrzwiniętych oczu, uciął i sam się zamyślił. Jego siwa bródka trzęsła się, jego pomarszczona twarz dygotała, a jego drżące palce nie były w stanie przewrócić następnej stronicy książki. Spojrzawszy w słońce gwałtownie kichnął, szybko zamknął książkę i zmieszany, chwiejnym krokiem wyszedł z audytorium nie ukończywszy wykładu.

Wybladły wkroczył on do sali Muzeum Przyrodniczego. Śpiący na ławce chudy i leniwy człowieczek szybko podskoczył i zaczął pilnie ścierać kurz ze szkła, lęklwym okiem obserwując profesora. Starosta roku natomiast zatrzymał się przed wypchanym niedźwiedziem, chrząknął i nieco się skłoniwszy, czekał na wskazówki profesora. Jednak Mruczysław tylko przybliżył się do okna i o bożym świecie zapomniawszy, zerkał na ulicę.

Stał tam Muszka wsparty o pochyłą latarnię i z wielkim zaciekawieniem śledził zajmującą zabawę dzieci na ulicy. Niebieski jego krawat beztrudnie powiewał na wietrze, a jego sflaczały od deszczu kapelusz był ekstrawagancko nasunięty na ucho. Zobaczywszy w oknie twarz profesora, wesoło pomachał złożoną gazetą. Ten ukradkiem dał mu znak ręką i założywszy ciasny płaszcz, z hukiem wypadł przez drzwi. Starosta widział przez okno, jak Muszka uprzejmie zdjął kapelusz pozdrawiając profesora i żywo gestykulując, poszedł z nim zalaną wiosennym wiatrem ulicą Donelaitisa.

Przy Zielonym Moście<sup>55</sup> Muszka podał Mruczysławowi swoją umorusaną rękę i wśliznął się przez drzwi do herbaciarni, a ten, nawet nie spojrzawszy na pomstującego policjanta, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Mieszkał on, jak wielu profesorów, w starym i ponurym domu, ze ścian którego wionął tak uroczysty chłód, że we wszystkich przechodniach budził podziw i szacunek dla nauki. Profesor otworzył szklane drzwi. Z pokojów popłynął zapach wysuszonych roślin, na ścianach dało się widzieć pełne kurzu futra zwierząt i błyszczące skóry krokodyli.

Powiesiwszy płaszcz, podreptał do gabinetu i rozsiadł się w skórzanym fotelu przy biurku.

Ciemny mikroskop tajemniczo błyskał w słońcu, już od jakiegoś czasu nieruszany ze swojego miejsca. Uczone podręczniki spały pokryte kurzem i martwymi muchami, a poźółka czaszka

<sup>55</sup> Nazwa nadana ze względu na kolor przeseł. W okresie międzywojennym most ten, jako jeden z dwu kowieńskich mostów na Niemnie, był mostem kolejowym, ale jednocześnie używany był do transportu kołowego.

wprost z wyrzutem spoglądała czarnymi oczodołami na twarz profesora spod kolorowej sterty książek z bajkami. Uczony łagodnie się uśmiechnął i otwartszy jedną z bajek, zaczął czytać, podkreślając co ciekawsze miejsca czerwonym ołówkiem i cały czas cicho nucąc, choć głos, wypada napomknąć, miał on przecież nienajlepszy.

Czytał pogrążony w lekturze do samego wieczora.

Zaczął kropić deszcz. Kwiaty pokrytych rosą sadów zapachniały upajającą wonią, a Mruczysław zaczął drzemać.

Z jakiejś przyczyny jego uwagę przyciągnęło śpiące w świetle lampy kartonowe jajko wielkanocne. Wczoraj dzieci woźnicy je obdarły, wybrudziły i zostawiły zapomniawszy na stole. Teraz ta łupina zaczęła pomału rozszerzać się i rozrastać, i lśnić wciąż wspanialszymi barwami. Profesorowi wydawało się, że galopuje on na rumaku po zielonym suknie stołu w naciśniętym na głowę srebrnym hełmie, ku dalekiej krainie czarów. Nagle mikroskop zaczął nieswojo skrzypieć. Zaśniedziałe śruby zaczęły się obracać, a mikroskop, przemieniwszy się w dyszący parowóz, zaczął brnąć przez stół głucho dudniąc i roztańczając wokół siebie czarny dym. Ciężkie podręczniki zmieniły się w zakurzone, sadzą pokryte wagony i potoczyły się, sypiąc iskry spod kół, przed samym pyskiem konia. Przypatrzwszy się lepiej czerniejącym muchom, przestraszony profesor zauważył, że są to opatulone brudnymi chustami baby. Śmiały się one natrętnie spróchniałymi zębami, pokazując na niego palcami przez zamknięte okna wagonów. Golibroda Mruczysława mydlił tam brodę i zapraszał go do siebie, czerwonolicy rzeźnik machał toporkiem coś rąbiąc, a uniwersytecki pisarz ogryzał ołówek, obojętnie licząc rachunki. Kilkoro kpiących studentów przyskoczyło do okna i wbiwszy wzrok w Mruczysława, tak rechotało, że aż cały pociąg się trząsał. Pomiedzy wilgotnymi i sfatygowanymi wagonami wciąż błyskały w oddali płonące papierki jajka, a Mruczysław, coraz bardziej zniecierpliwiony, ścisnął rumaka ostrogami.

Nagle z komina parowozu wyrwał się obłok dymu, pociąg zawył, wyskoczył z torów i zmieniwszy się w straszliwego smo-

ka, rzucił się na Mruczysława. Rozwarł się jego zębaty pysk, z dymiącej gardzieli tryskały języki ognia, jednak Mruczysław odważnie wyjął miecz i zrobił zamach. Wrzasnął i obudził się oblany potem ściskając w drżących palcach czerwony ołówek.

Kpiąco gapiły się na niego brodate portrety uczonych.

W pokoju żałośnie bzyczała zabłąkana mucha, uwięziona w ściennym zegarze i niemająca siły wyrwać się spod grubego szkła. Wolno i jednostajnie tykało jego wahadło.

Mruczysław długo wsłuchiwał się w natrętne bzyczenie muhy, kartkując poplamiony atramentem harmonogram wykładów.

Wreszcie otworzył okno. Coś rozważając, zaczął drżącymi palcami obracać na cienkiej szyi zawieszony złoty medalik.

Zimne cegły jego domu mieniły się w blasku okien herbarciarni. Płynęły stamtąd rubaszne i pijane głosy, z rozmarzeniem ciągnące starą, mierną i oklepaną przyśpiewkę:

*Tam, gdzie stary Krakinów, oj!*

*Stoi różowa karczma, oj!..*

Od czasu do czasu przebiegał się wysoki głos Muszki, zagrzmiął grubiański śmiech woźnicy, potem znów wszystko cichło i jedynie deszcz rozpryskiwał się na kałużach wody i bębnił na blaszanych dachach.

Mruczysław zatrzasnął okno. Wypił filizankę mocnej kawy i wzięwszy parasol, wyszedł na ulicę.

Na wilgotnym chodniku igrały niebieskawe refleksy neonów, rowkami na łeb na szyję płynęły kolorowe papierki i opadły płatki. Dwie młode gimnazjalistki przebiegły obok, szepcząc o czymś bardzo sekretnym. Siwa broda profesora wichrzyła się w wiosennym wietrze. Rozłożył parasol i nieco się pochyliwszy, ruszył ulicą skrzypiąc nieprzemakalnymi butami.

Było już pusto.

Wokół słyszało się przytłumione bulgotanie strug deszczu o becзки. Wilgotne łuki Zielonego Mostu błyszczały w rzadkim świetle, zatopione w potokach płynącej wody. Kiedy profesor, głęboko zamyślony, kroczył obok lamentujących drzew cmentarza, kilka wyblakłych widm szybko zeskokczyło z omsza-

łych pomników<sup>56</sup> i roześmiewszy się przeraźliwie, zapadło się pod mokrą ziemię.

Dotarliśmy do szwalni Haczykiewicza, skrzesał zapałkę i nachylił się do okna, chcąc spojrzeć na zegarek, jednak jego ręce tak drżały, że zapałka wypadła mu z palców i zgasła.

Wreszcie dotarł do białego gmachu uniwersytetu, który spał zamknięwszy czarne oczy okien. Deszcz zwolna ucichł. Na niebie roz błysnął ledwo widoczny księżyc, a splecione cienie gałęzi rozpostarły się od chodnika do zgasłych okien uniwersytetu, zasłaniając je niczym prześwitujące kratki. Tylko ciężkie kiście bzu zwisające przez drewniany parkan introligatora, wyraźniej zaświeciły w blasku księżyca. Mruczysław, ukradkiem rozejrzawszy się czy nikt go nie widzi, zerwał sobie kilka kwiatów i wpiął w klapę. Wówczas zamknął parasol i wspierając się na nim, energicznie zawrócił.

W herbaciarni wciąż jeszcze rozbrzmiewały pijackie pieśni.

Uczony z chrzęstem wszedł przez drzwi i skinąwszy palcem, zaprosił Muszkę do najbardziej ustronnego kąta.

Włóczęga natychmiast wytrzeźwiał – mimo że jego uszy od piwa i hulanki wciąż płonęły – i zmarszczywszy czoło, zaczął słuchać słów profesora, zrywając obdartą tapetę ze ścian.

O czym oni tam rozprawiali, historia nie wspomina, jednakże owoce tej rozmowy objawiły się już następnego ranka, gdy obaj druhowie radośnie wkroczyli do już nie raz w naszej bajce wspomnianego woźnicy.

– No, pokaż swoją szkapę, bracie! – zachęcił go Muszka, ledwo zdążywszy przekroczyć próg. – I powiedz amen czarnej swojej dorożce!

Woźnica właśnie jadł śniadanie zwrócony plecami do drzwi. W rękę trzymał solniczkę, szykując się do posypania solą jajka.

Rozpoznawszy głos Muszki serdecznie się roześmiał i odwrócił, ale ujrzawszy profesora, natychmiast spowaźniał, kiwnął głową i odłożył nadgryzione jajko na stół.

– Aha! – rzekł wytarłszy usta czapką i ściągnął wyrobiony klucz z gwoźdźca. – To już jedziecie!.. Tam?

<sup>56</sup> Bohater bajki musiał z okolic Zielonego Mostu podążać Prospektem Witolda (lit. Vytauto pr.), koło Cmentarza Karmelitów.

– A jakże, sam wiesz – dostojnie rzekł Muszka, oglądając wystrzępiony swój mankiet. – Tam.

Poszli do stajni.

Woznica po ojcowsku pogładził pysk konia, jakby go żałował i targował się, ale włóczęga opukał knykciem palca koła dorożki i obojętnie potrząsnął głową. Profesor wyciągnął portmonetkę.

Chwilę po tym Muszka włożył klucz do kieszeni.

Tego wieczora Mruczysław z dbałością spakował walizki, odszukał siatkę na motyle, wszystkie książki z bajkami i szkło powiększające. Nawet i podarowaną przez studentów szpadę z aksamitną rękojeścią na wszelki wypadek zdjął ze ściany. Z tego widać było, jak wiele wyjątkowej nadziei pokładał w tej podróży.

Strasznie niespokojnie rzucał się nocą przez sen, jednak mimo to nie był w stanie przebudzić zwiniętego na sofie Muszki, który chrapał niefrasobliwie zrzuciwszy buty na kudłatą niedźwiedzią skórę.

Zjedli śniadanie szczególnie wcześnie.

Muszka zaprzągnął konia i wciągnął ciężkie walizki do dorożki, profesor zamknął na klucz drzwi, klucz wrzucił gospodyni do skrzynki na listy i obaj koledzy wesóło wytoczyli się przez wąską, popisaną przez dzieciaki bramę podwórza. Okna domów płonęły w słońcu, gałęzie drzew drżały na wietrze, a profesor głęboko wciągał w płuca rześkie wiosenne powietrze.

Okrążyli kościół Karmelitów i z łoskotem pojechali nabrzeżem przystani. Prawdopodobnie drogę tę wybrali dlatego, że Mruczysław kompletnie nie miał zamiaru spotkać swoich kolegów, którzy w tym czasie z powagą spieszyli na wykłady. W brudnej wodzie portu ryby kłębiły się, węsząc za dryfującymi ogryzkami jabłek, kawałkami desek i poszarpanymi kwiatami. Biały statek parowy, głucho poświstując, podnosił ociekającą kotwicę, robotnicy pokrzykując ciągnęli kłody do tartaku Trociny & Co, a spóźnione do szkoły dzieci, urządzając zawody, rzucały kamykami w świecącą w słońcu puszkę po konserwie.

Jakiś opalony wędkarz, który do łocki podwinął ceglaste rękawy, po szelmowsku pomachał ręką do Muszki i mruknął okiem.

Wreszcie, kiedy przejechali Stare Miasto i Wilię, wijącą się drogą zaczęli wspinać się na górę.

Profesor rozpiął kołnierzyk koszuli, w słońcu błysnął jego medalik, a on zaczął wesoło pogwizdywać sentymentalną piosnkę założywszy nogę na nogę.

Tak ciekawie zaczęła się ich niezwykła podróż.

Jednak błędem byłoby sądzić, że przytrafiły się im jakiegokolwiek niebezpieczne i godne uwagi przygody. Toczyli się przez zielone pagórki, przejeżdżali koło chłodnych jezior i niezwykłych grodzisk, od czasu do czasu pogrążając się w migoczących brzeźniakach czy kładąc się na łąkach między rumiankami, gdzie Mruczysław zaczynał pieczołowicie przeglądać i poprawiać swoje wiersze.

Późnym wieczorem rozpalali sterczące z boku dorożki światło i toczyli się z turkotem dalej, opowiadając jeden drugiemu przypadki swojego życia. Różni przechodnie, idący w tym czasie mimo, wpatrywali się w światło i nierzadko trwożyli, biorąc je za błędny ognik. Wiele legend i podań zrodziło się wówczas w okolicznych wioskach oraz miasteczkach.

Jedynie z natrętnymi komarami nierzadko przychodziło im się zmagać w wilgotnych i bagnistych puszczech. To właśnie, jak widzimy, zostało przedstawione na narysowanym tu obrazku, gdzie profesor Mruczysław wyskoczywszy z dorożki, bohaterko macha szpadą, usiłując ściąć głowę niewidocznemu na obrazku komarowi, jednakże, skoro podobne bitwy rzadko kiedy kończą się zwycięstwem i zawsze brakuje w kronikach oczekiwanego majestatu, my ich tu szerzej również nie opisujemy.

Pewnego słonecznego dnia wreszcie ujrzeni między lipami sterczącą wieżę kościoła w Krakinowie. Przejechali jeszcze kawałek i dotarli w końcu do samego miasteczka.

Były Zielone Świątki. Minęło już południe. Jasne liście brzołek szeleściły poruszane wiatrem nad drzwiami domów. W bramach mieniły się wystrojone wozy z usmolonymi kołami, na chodnikach gapili się kmiecie, którzy krzywym węzłem zawiązali krawaty i tak ciasno zapięli czarne marynarki, że po rozpalonych ich twarzach strumieniami lał się pot.

Niedawno skończyło się nabożeństwo. Teren wokół kościoła iskrzył się w promieniach słońca wysypany mnóstwem płatków piwonii. Głuchy włóczęga podjadał coś, rozścielwszy czerwoną chustę w cieniu jarzębiny. Dwaj w białe komże ubrani chłopcy, położywszy łokcie na kościelnym parkanie, opierali się i obserwowali przechodniów, chełpiąc się przed kolegami szerokimi i połączanymi kołnierzami.

Mruczysław popatrzył na zegarek i ze smutkiem przeciągnął ręką po bródce, jakby żałując uroczystości, które go ominęły, natomiast Muszka wesoło rozglądał się po pozamiatanych ulicach, strzelając z bata.

– Prrr! – wreszcie krzyknął ochryplym głosem, starając się zwrócić uwagę gapiów i ściągnął lejce.

Dorożka stanęła przed zapadłą w ziemię karczmą. Stare jej ściany były poczerniałe, tylko przy drzwiach tynk poodpadał i tam czerwieniły się opromienione słońcem cegły. Pod strzechą siedział brudny Żyd i puszczał bańki mydlane, które, lekko drżąc, wznosiły się ponad ulicami i pękały nie osiagnawszy jeszcze osmalonych kominów. Przez okno kuchni płynęły zapachy smakowitych potraw, a Muszka niecierpliwie poruszył nozdrzami. Natychmiast przywiązał konia do kopniakami wyłamanego płotu i obaj podróżnicy, strzepawszy pył, weszli do izby.

W środku było chłodno.

Grube słupy wspierały niski i chylący się strop karczmy. Pośrodku sterczał zielony kaflowy piec, zdaje się, specjalnie tak postawiony, żeby jak najbardziej plątał się gościom pod nogami. Na ścianach wisiały rogi łosi i osobliwy obraz – najwyraźniej dzieło jakiegoś artysty z Krakinowa – przedstawiający sarny przypominające psy. To świadczyło o wielkim zainteresowaniu karczmarza sztuką. Muchy, przylepione do żółtawego lepu, bzycały pod powałą.

Włóczęga uroczysto klasnął w dłonie i zadowolony zatarł ręce. Przez drzwi kuchni natychmiast wyskoczył drżący Żyd, zarośnięty, bo już od kilku dni nie golił brody. Chwilę milczał, przewracając oczami.

– Oj, to pisarz wrócił – wreszcie uśmiechnął się na ile potrafił gościnnym uśmiechem, jednak mimo wszystko całą uwagę skupiając na o wiele szlachetniej wyglądającym Mruczysławie.

– Zamilcz, matole! – przerwał mu Muszka. – Lepiej nieś walizki do środka! I przygotuj najlepszy pokój – ten niebieski – dla pana profesora!..

Ostatnie dwa słowa szczególnie podkreślił, patrząc z góry na zgiętego wpół Żyda i po przyjacielsku położył brudne palce na rękawie Mruczysława. Żyd dreptał i kłaniał się gorliwie, pocierając ucho.

– No, szybciej, ty leniu! – zachęcił go włóczęga, a przestraszony karczmarz w te pędy wbiegł z powrotem do kuchni.

Wkrótce piegowata Żydówka, wystrojona w staroświecką sukienkę z kwiatami z materiału na biuście, powiodła ich stromymi i skrzypiącymi schodami na górę. W końcu korytarza ukazało się bosc dziecko jedynie w koszuli i zaczęło uparcie wpatrywać się w gości dłubiąc w nosie. Żydówka pogroziła mu palcem, a dziecko natychmiast schowało się za wiadrami. Wtedy uśmiechnęła się odsłaniając złoty ząb w ustach i otworzyła białe drzwi, których klamka ledwo trzymała się na poluzowanym gwoździu.

Profesor nieśmiało obejrzał pustawy pokój, w którym nudziły się dwa łóżka, szafa i chyba nie do odpoczynku przeznaczone krzesła. W słońcu unosił się słup drgającego kurzu.

Uczony zwlekał mając jakieś wątpliwości. Z lękiem odkasznął, Muszka wszak szeroko otworzył okno, z radością wciągnął krakinowskie powietrze i wsadziwszy ręce do kieszeni, pokiwał głową.

– Ach, miły mój pokoiczku! – z rozmarzeniem rzekł, pełen wspomnień i każąc na obiad upiec kurczaka, przegonił Żydówkę z pokoju.

Ogarnąwszy się i odświeżywszy, zeszli do karczmy i zasiedli przy ustronnym stoliku. Mruczysław poprawił sobie krawat i badawczym wzrokiem rozejrzał się po wszystkich kątach sali. Goście zaczęli się już zbierać. Słychać było wciąż potęgujący się szum, pokrzykiwania i z początku nieśmiało nucone pieśni.

– Wkrótce będzie pieczeń!.. – rzekł Żyd, który szybko przyczłapał i brudną szmatą przetarł stół, choć ten przed przetarciem był bez wątpienia bardziej czysty. Mruczysław przeczyścił okulary i zamówił kilka butelek wina.

Na stole natychmiast błysnęły zimne butelki.

Muszka ze znuwstwem nalał wina na dno szklanki, spróbował przymknąwszy oczy i cmoknął ustami.

– Mmmm! – zauważył wówczas i pocałował końce palców, uniósł je w powietrze.

Obaj zaczęli sączyć wino.

Bardzo prawdopodobne, że karczmarz ma inną miarę czasu, ponieważ wspomniane przez niego „wkrótce”, jak się okazało, trwało zaskakująco długo. W karczmie zbierali się niemrawi kmiecie, spluwali w dłonie z odciskami i z przyzwyczajenia rugali usłużnego Żydka. Postawiwszy baty w kącie, rozprawiali o niezłym urodzaju żyta, szum wciąż się wzmagał, pieśni coraz głośniejsze, czasem dało się już słyszeć dźwięki rozbijanego szkła spadającej butelki. I przy stole podróżników stłoczyło się kilkoro starych przyjaciół Muszki, wycelowali się z nim i zaczęli skręcać mocny tytoń w bibułki, a Mruczysław, chcąc się przypodobać, nieśmiało zaproponował im papierosa ze swojej srebrnej papierošnicy.

W tym momencie jękający się starzec z brodawką na nosie wyciągnął wytłuszczone karty i wszyscy zaczęli z przyjemnością grać, opowiadając zabawne historyjki, a stróż cmentarny – Siwy – wesoło grał na ustnej harmonijce, stukając butem w ziemię do taktu. Nastroj Mruczysława stale się poprawiał. Śmiał się ze wszystkich grubiańskich dowcipów, śpiewał ze swoimi nowymi kumplami i wesoło kołysał nogą, położywszy rękę na oparciu krzesła. Niemniej najwyższy stopień jego natchnienie osiągnęło w tym momencie, gdy Żyd przyniósł roz-taczające smakowitą woń kurczaki, zatopione w żółtym sosie, otoczone pieczonymi ziemniakami, kawałkami marchwi i gotowanym grochem.

– Aha! – wykrzyknął roześmiewszy się. – Tego nam właśnie brakowało!

Wszyscy czytelnicy pochodzący z Krakinowa mogą potwierdzić, że w tamtej karczmie przygotowywane potrawy niezadko budziły w gościach drzemiące i szerszemu gronu jeszcze nieznanne moce. Tak i Mruczysław, który już i przed tym momentem kilkakrotnie nieśmiało sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki, w tej wzniosłej chwili wyciągnął stamtąd zeszyt z wierszami i przeczytał zainteresowanemu audytorium głośne swoje dzieło, zatytułowane „Elegia o motyłu szpilką przybitym”. Wypada, wiadomo, tylko żałować, że ten wcale niekrótki poemat nie dotrwał do naszych czasów, bowiem, jak zawsze dowodził w podobnych sprawach niezłe zorientowany Muszka, wywołał on falę głośnych braw w tej karczmie i doczekał się ogólnego uznania. Szczególnie zachwycił się nim sam karczmarz i uporczywie chwalił Mruczysława dowodząc, że w jego karczmie jeszcze nigdy nie były odczytane tak doskonałe wiersze. Uczony skromnie się uśmiechał, machał ręką nie chcąc zgodzić się i z zażenowaniem owijał zeszyt wokół palca.

Słońce już dawno zaszło, kiedy do karczmy zaszedł wysuszony policjant, który, co prawda, niezbyt dawno został tu przeniesiony, ale już zdążył zdobyć serca wszystkich, bo umiał nader interesująco opowiadać o różnych włóczęgach i obieżyświatach ze żmudzkich miasteczek. Zerknąwszy na Muszkę, przymknął jedno oko i przyłożył palec do skroni jakby chcąc coś sobie przypomnieć, jednakże, widząc, w tym momencie sobie nie przypominał, bo szeroko ziewnął i zaczął bębnić palcami po stole. Dostrzegłszy go, włóczęga szepnął profesorowi, że już czas byłby się położyć i oni, choć niepewnym krokiem, ale na ile mogli szybko wytoczyli się przez drzwi.

Rozweseleni tułacze wkrótce położyli się do zdezelowanych łóżek. Profesor powiesił zegarek na zardzewiałym gwoździu i okrywszy się nienową kołdrą, zasnął głębokim snem.

W tym miejscu wypada, ku wielkiemu ubolewaniu czytelnika, opowieść na chwilę przerwać i wtrącić, że już w czerwcu Muszka przeniósł się na powrót do Kowna. Dzięki listowi rekomendacyjnemu profesora Mruczysława został on sprzątaczem w Muzeum Przyrody, ponieważ wspomniany jedynie na po-

czątku bajki chudy człowieczyzna swoim lenistwem przełożonym dopiekl do żywego. Prawda, również nowy pracownik nie odznaczył się większą gorliwością, ale za to był on jedynym świadkiem następujących i – jak zobaczymy – dość zadziwiających przeżyć Mruczysława, a poza tym, potrafił je tak żywo przedstawić, że złośliwe usiłowania starego sprzątacza, by go zniesławić, były funta kłaków warte.

– Tak – często powtarzał wspomniany człeczyna z lekką kpina w głosie. – Hm! Hm! Rzeczywiście ciekawe... To bez wątpienia najlepsza bajka Muszki – i wytykał temu pomysłowemu i wiarygodnemu włóczędze, że te niezwykle wydarzenia za każdym razem odmalowuje w coraz bardziej wyszukanych barwach.

Samo przez się się rozumie, że ten jego wyrzut bierze się nie tyle z umiłowania prawdy, ile z niskiego uczucia zazdrości, dlatego też nie trzeba ani trochę wątpić w słowa Muszki. Najwyraźniej, stale myśląc o uczonym swoim dobroczyńcy, z czasem przypominał sobie coraz więcej i więcej zapomnianych niechący szczegółów.

Po tym może i nieciekawym, ale koniecznym wtręcie, ciągniemy zadziwiającą swoją historię dalej – dokładnie tak, jak ona dotarła do naszych uszu ostatnimi czasy.

Muszka mocno chrapał w tę wspomnianą noc Zielonych Świątek, błogo się uśmiechając i śniąc nader przyjemne sny.

Hałas ucichł w karczmie. W końcu i ostatni, biedny pijaczyna, chcąc, nie chcąc poczłapał do domu odebrać swoją zapłatę od rozsierzdzonej żony. Jedna tylko Żydówka bez przerwy przewracała się za ścianą, marząc w skrzypiącym łóżku i jasny miesiąc bezgłośnie płynął ponad pociemniałymi drzewami Krakinowa.

Przyszła północ.

Igrające promienie wlały się przez otwarte okno karczmy, posrebrzając najpierw bródkę Mruczysława, potem i rozrzucone rzeczy Muszki, wkrótce strumień promieni dosięgnął zamkniętych oczu włóczęgi. Ten przebudził się zasłaniając twarz dłonią i usiadł na łóżku.

Pokój błyszczał niczym kryształ.

W promieniach lśnił złoty medalik na piersi profesora. Jego wieczko się otworzyło. Po koszuli Mruczysława biegały, wylaźszy nie wiadomo skąd, spiczastonosie krasnale z niebieskimi od jedzenia jagód zębami i gorliwie go budziły, ciągnąc za brodę. Jak dowodził Muszka, były one strasznie podobne do tego małego, kamiennego człowieczka, który sterczy pośrodku fontanny przed Muzeum Wojska<sup>57</sup>, tylko, wiadomo, jeszcze o wiele mniejsze. Wreszcie Mruczysław otworzył oczy i przetarł je z niedowierzaniem. Przecież ten dawno temu подарowany przez matkę medalik nosił on wytrwale na szyi od samego dzieciństwa zupełnie nie mając pojęcia, że może się on otwierać.

– Chodźmy! Chodźmy! – zachęcały krasnale Mruczysława, pokazując palcami przez okno – Nie ma tu na co czekać!..

Muszka natychmiast wyskoczył z pościeli i zaczął ubierać profesora, a ten z pośpiechu zapomniał nawet zdjąć z gwoźdźcia swój zegarek.

Ostrożnie wymknęli się przez drzwi, starając się nie rozdeptać tupoczących dębowymi drewniakami ludzików.

Ciepła i pełna tajemnic noc otuliła śpiące miasteczko. Głuche ściany karczmy lśniły jasnoczerwoną barwą i błyszcząca rynna bezgłośnie spływała z dachu niczym srebrny wąż. Na podniszczonym szyldzie sklepu mięsnego uśmiechał się świniński ryj ze sznurem kiełbasek w zębach i zagadkowo spoglądał na nich wiele obiecującymi oczkami. Cisza panowała wokół. Tylko ich szkapa, nie wiadomo przez kogo zaprzęgnięta, już niecierpliwie rozgrzebywała kopytem trawę. Krasnale pokrzykując pobiegły przez żółte mlecze i wdrapały się po szczebelkach na siedzisko.

Pośrodku ulicy czekali dziwni jeźdźcy, odziani w starożytne różnobarwne stroje; głęboko się skłonili ujrzawszy obu podróżników. Muszka badawczo zmarszczył czoło, bowiem ta wspa-

<sup>57</sup> Chodzi o fontannę z figurą Skrzata (lit. Nykštukas), którą подарował miastu Alfred Tyszkiewicz. Postawiono ją w 1923 r. na placu przed starym budynkiem Muzeum Wojska, zob. S. Krūminaitė, *Vienybės aikštės Nykštukas: paveldosaugos aspektas*, „Kau-no istorijos metraštis“ 2007 nr 8, s. 267-278.

niała eskorta od pierwszego wejrzenia wydała mu się znajoma. Wreszcie mlasnął językiem: ach tak! Wszak byli oni narysowani na kartach owego jąkały, którymi on tego wieczoru wszystkich ograł!

Przytrzymywany przez usługujących żołnierzy Muszka wdrapał się na kozioł, szarpnął lejce i razem z Mruczysławem potoczył się przez opustoszałe ulice, odprowadzany radosnym dźwiękiem rozbudzonych brzózek.

Przejechawszy z łoskotem przez pełen cieni most na Niewiaży, wjechali wijącą się dróżką na wzgórze i kierując się zarosłą zielem ścieżką, oddalili się z szelestem ku jeszcze niezbadanym czeluściom krakinowskiego lasu.

Wkrótce dotarli do szumiącego w letnim wietrze zagajnika. W miękkich mchach płaśły zające i wyprostowawszy się spoglądały na dorożkę, strzygąc uszami i gryząc zajęczy szczawik<sup>58</sup>. Pomiedzy paprociami i omszałymi kamieniami jarzyły się olśniewające robaczki świętojańskie, a na żywicznych sosnach drzemały stare niedźwiedzie, obejmujące łapami gałęzie pokryte porostem, by przypadkiem przez sen nie spaść w poziomki.

Powoli las zaczął się rozrzedzać.

Gdy skończyły się ostatnie zarośla, jeźdźcy zadęli w dźwięczne trąby i wkrótce zatrzymali się przed obwieszonymi dębowymi liśćmi wrotami wspaniałego miasta. Roilo się tu niezliczone mrowie ludzi i niespokojnie trajkotało. Wszyscy zamilkli, gdy zobaczyli podróżnych, jednak potem zaczęli jeszcze głośniej wykrzykiwać, machać białymi, jeszcze ni razu nieużyтыми chusteczkami i klaskać w dłonie, a poruszeni żołnierze zaczęli wystrzeliwać w powietrze rakiety.

Smukłe dziewczęta przystroiły głowy obydwu bohaterów wieńcami, dowódca, który zbliżył się pobrzękując, wpiął im w klapy po ciężkim medalu dwukrotnie większym, aniżeli nosili najznacniejsi kowieńscy generałowie podczas najwięk-

<sup>58</sup> Szczawik zajęczy (*Oxalis acetosella* L.), nazwa lit. *Paprastasis kiškiakopūstis* – jego liście są trójlistkowe, cienkie, długoogonkowe, przypominają swym wyglądem liście koniczyny.

szych świąt. Stary dziadunio z wąsami sięgającymi ziemi wręczył profesorowi Mruczysławowi złoty klucz do bram miasta, który ten uroczyście włożył – jak to zawsze podkreślał Muszka – do prawej kieszeni spodni i jeszcze poklepał, jakby chcąc upewnić się, czy jest on tam dostatecznie bezpieczny. Natychmiast wzięto ich na ramiona i przy głośnych dźwiękach orkiestry, wniesiono przez bramę do miasta. Dzieci w samych koszulach wypuszczały przez okna kolorowe balony, a Muszka, z godnością mnący swój kapelusz, z ciekawością śledził, jak lecą one między ostygłymi kominami i pomiędzy powiewającymi sztandarami.

Gdy tłumy wciąż wiwatowały, zostali oni uroczyście wniesieni do czerwonego pałacu z drzwiami o srebrnych klamkach i przez służbę, która się zbiegła, położeni do miękkich łóżek z czystą pościelą.

Od tej chwili zamieszkali w tym, jak czytelnicy być może już zauważyli, dość niezwykłym mieście i zaczęli nim sprawiedliwie rządzić oraz w nim panować.

– Ha! – zawsze wykrzykiwał Muszka w tym miejscu tej bajki i pociągał nosem. – Gdybyście widzieli jaka jest ta kraina, to z pewnością byście nie uwierzyli, że taką można znaleźć w krakinowskim lesie! Już następnego dnia my z Mruczysławem rzuciliśmy okiem na wszystkie kramy. A one, wiedzcie, były pełne wędek, czapek, samych najmędrszych książek – takich, jakich nawet sam profesor nie był czytał – i ani trochę gorszych od mojego krawatów. Cukiernie to już z daleka pachniały orzechowymi tortami i piernikami, które ja, jak wszyscy wiecie, ogromnie lubię. A karczmy tam były otwarte przez całą noc. I wszystko było rozdawane za darmo. Tam, widzicie, wisiał taki rozkaz, który zakazywał sprzedawcom nie tylko że wchodzić do sklepu, ale nawet i zerkać przez dziurkę od klucza do środka.

Ubodzy byli tam traktowani z największym szacunkiem – skromnie podkreślał włóczęga – ponieważ byli oni najbogatszymi mieszkańcami. Kulawe kuternogi jeździły w wygodnych karetach, jałmużnę gromadziły w złotych skrzyniach i w każ-

dą sobotę urządzały uroczyste przyjęcia, na które zapraszały oprócz Mruczysława, tylko Muszkę i innych nie mniej szacownych czy w jakikolwiek inny sposób zasłużonych mieszkańców.

I natrętnych policjantów tam wcale nie było. Wszyscy złodzieje byli przecież porządni i bardzo uczciwi. Więzielnik nikt nie pilnował, a więźniowie zawsze sami zamykali się od środka. Nic dziwnego zatem, że najbogatszy kupiec w mieście, wybrawszy się w podróż, powierzył klucz do swojej skrzyni z pieniędzmi jednookiemu rabusiowi, najsłynniejszemu w mieście. Muszka natychmiast sam tak zaprzyjaźnił się z tymi interesującymi i szanowanymi przestępcami, że często zachodził do więzienia i grywał przez całą noc w karty. Tamże również jadał, a nierzadko zapraszał Mruczysława, bo więzienna kuchnia uważana była za najlepszą w całym mieście.

Gdy tak przyjemnie im się żyło, przeszła niejedna zima.

Kiedy zaczęły się mrozy, profesor Mruczysław wymyślił taki piec niemal wielkości wieży kościoła Karmelitów. Każdego ranka słudzy przywozili pięć wozów narąbanego drewna i nasyrywali do środka, a rozpalał to sam Muszka, bo palić w piecu nawet i w tym mieście nikt nie potrafił lepiej od niego.

– Ot, widzicie – twierdził on, pokazując brudne swoje rękawy, – to od tego rozpalania zrobiły się takie czarne. A ten piec to bez żadnego problemu ogrzewał całe miasto. Od niego na ulicach było tak ciepło, że w grudniu przyleciały bociany i uwiły gniazda w kasztanowcach na placu. Wokół pieca latały motyle i bzyczały owady, a z topniejącego bałwana to wprost płynęły krople wody. – Tak, tak – kontynuował on swoją opowieść przy studentach, którym zapierało dech. – Dość niezwykle to było miasto!..

I zastanawiał się usiłując przypomnieć sobie więcej pamiętnych szczegółów.

– A ty tak się nie spiesz! – zawstydził ostatnimi czasy jednego niecierpliwego, który już brał teczkę pod pachę. Tu przyszło mu coś do głowy i dodał on: – A tam, widzisz, spieszyć się to nigdzie nie trzeba było, bo zegar wieży kościelnej był jedynym zegarem w całym mieście i wcale nie miał wskazówek.

(Pamiętając, że i zegarek Mruczysława wisiał zapomniany w karczmie, zrozumiałym staże się, że Muszka rzeczywiście mógł w owej krainie niejedną zimę spędzić, choć do Kowna przeniósł się on, jak już można się było przekonać, jeszcze w czerwcu tego samego roku.)

Ten kościół, jak się okazuje, był o wiele większy nawet i od kowieńskiej katedry. Dzieci codziennie paliły wokół kościoła kadzidło, a wokół organów fruwały anioły i grały na harfach lub dęły w ustne harmonijki. W niedzielę całe miasto – z samym Mruczysławem na czele – wspinało się kręconymi schodami wieży do nieba i oglądało Pana Boga, zasiadającego na złotym tronie i pogodnie słuchającego, jak św. Piotr, założywszy okulary na nos, czyta ciekawą księgę dobrych uczynków ludzkich. W dni powszednie Pan Bóg przemieniał się w biednego bezdomnego i błądząc po mieście, wystawiał na próbę dobre serce ludzi.

– Jednego wieczoru, wiecie – tajemniczym głosem wyszeptał Muszka, chwyciwszy łokieć pewnego studenta – jednego wieczoru taki siwy staruszek zaszedł do więzienia i grał z nami w karty. I Mruczysław też grał. W środku gry jednooki nie wytrzymał i ukradkiem zerknął w karty staruszka. Zauważywszy jeden słaby kolor, zaczął śmiać się w kułak i zadowolony wyrzucił asa trefl. Jednak staruszek surowo podniósł rękę, a my patrzymy – karta od razu zmieniła się w siódemkę! W tym momencie wszyscy zrozumieliśmy, że to był sam Pan Bóg. Zawstydzony rabuś zaczął z żalu bić się w pierś i potem nigdy więcej już w karty nie grał. Tak widzicie! Taka jest kraina profesora!.. – skończył Muszka, głęboko się zamyślił i spoglądał przez okno w dół.

Na samym skraju uniwersytetu kuśtykał siwy żebrak, uderzając laską o chodnik.

– Tak widzicie! – raz jeszcze powtórzył Muszka i wziął szmatę.

– No, a jak – przebiegle zapytał z tamtej okolicy – dokładnie mówiąc to ze wsi Gudele – pochodzący Wawrzyniec (ot, trzeci już rok powtarzał on ten sam kurs) – a jak tam, powiedz, z Krakinowa to nikt tam do was nie zaglądał?

Muszka przerwał odkurzenie gabloty z motylami, zdmuchnął suchy listek ze swego krawata i chytrze zerknął na studenta spode łba.

– A jakże! – z kpina zauważył ten dowcipny mężczyzna – Przez naszą krainę codziennie przejeżdżała kolejka wąskotorowa – wręcz nabita – ale nikt u nas, widzisz, z jakiejś przyczyny nie wysiadał. I ciebie raz widziałem drzemiącego w wagonie.

Wszyscy zaczęli się śmiać, tylko jeden Wawrzyniec nie wiedzieć czemu poczuł się urażony. Na drugi dzień opowiadał kolegom, którzy zebrali się w gabinecie kości, jakoby on nie raz słyszał od aptekarza z Remigoły<sup>59</sup> o mieszkającym w krakinowskiej karczynie dziwnym uczonym, który w dzień uganiania się z siatką za motylami, a wieczorami czytuje wiersze zebranych w karczynie gościom. Wawrzyniec wyraził błędną myśl, że to być może jest zaginiony profesor Mruczysław.

Oczywiście, trzeba tylko żałować, że i wspomniany kolega poszedł w ślady owego chudego człowieczka i zaczął wątpić w to, w co wątpić nie wypada, mianowicie w taką nie budzącą kontrowersji historię jak ta. Całe szczęście, że poważniejsi studenci, całkowicie przekonani, mieli duże wątpliwości, czy owym uczonym mógłby być profesor Mruczysław.

To zapewne był, mówili oni, jakiś inny uczony mąż.

<sup>59</sup> Remigoła (lit. Ramygała) – miasto na Litwie w okręgu poniewieskim.



Ewa Stryczyńska-Hodyl

## Julius Kaupas i jego bajki



Źródło: <https://maironiomuzejus.lt/post-t-exhibitions/julius-kaupas-1920-1964-virtuali-paroda/>



Alfonsas Nyka-Niliūnas (1919-2015), przyjaciel Juliusa Kaupasa, w przedmowie do wydanego na emigracji tomu, w którym zebrano pisma pisarza, określił go mianem człowieka, który nigdy całkowicie nie przystawał do obcego mu świata dorosłych<sup>60</sup>. Wielu bliskich mu ludzi – przyjaciół i znajomych, którzy zetknęli się z nim jeszcze w czasach kowieńskich – wspominało go jako człowieka w jakimś sensie odklejonego od rzeczywistości, pełnego dziecięcej naiwności, wiary w cuda, żyjącego pomiędzy rzeczywistością a fantazją. Wydaje się, że wszystko co o Kaupasie powiedziano przyjmuje specyficzną formę anegdoty, która zastępuje garść suchych faktów, jakie zazwyczaj podaje się, gdy chce się czytelnika zapoznać z postacią pisarza. Odnieść można wrażenie, że w przypadku Kaupasa, takie suche ujęcie jego sylwetki nic by nie znaczyło, w jakimś sensie nie byłaby to historia pełna. Jak to ujął Nyka-Niliūnas, „Kaupas był człowiekiem, o którym trudno nie tworzyć legend. W rzeczywistości one [legendy] same powstawały”<sup>61</sup>. Rzecz w tym, że trzeba jednak spróbować, przynajmniej w skrócie, przedstawić ważne dla biografii autora fakty z jego życia.

## Julius Kaupas – biografia

Julius Kaupas (1920-1964) należy do pokolenia tych pisarzy litewskich, którzy urodzili się, wzrastali i odebrali wykształcenie w odrodzonej, przedwojennej Litwie. W odróżnieniu jednak od swych najbliższych przyjaciół, całe swoje dzieciństwo i młodość spędził w Kownie, które stało się w międzywojniu tzw. tymczasową stolicą Litwy. Nie ulega wątpliwości, że środowisko, w którym kształtowała się jego wrażliwość, miało na niego wpływ. Mimo zatem wielu zbieżności, czynniki jakie na niego oddziaływały w znaczącym stopniu różnią się od tych, które

---

<sup>60</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Pratarmė pavėlavusiai knygai*, W: J. Kaupas, *Raštai*, Chicago: Algimanto Mackaus Knygų Leidimo Fondas, 1997, s. 10.

<sup>61</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Dienoraščio fragmentai. 1938-1975*. Vilnius: Baltos lankos, 2002, s. 485.

wpływały na jego przyjaciół. Kaupas bowiem, jak to dobrze ujmuje Tidikytė<sup>62</sup>, od momentu narodzin „otoczony był kulturą miasta”, co w biografiami litewskich twórców jest zjawiskiem niezwykle rzadkim. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę fakt, że Kowno, z prowincjonalnego w jakimś sensie miasteczka, stać się musiało stolicą, w której od podstaw trzeba było pomieścić wszelkiego typu urzędy, instytucje (nie tylko państwowe) czy placówki dyplomatyczne, to możemy powiedzieć, że Kaupas wzrastał razem z modernistyczną tkanką współczesnego miasta, które stanowić miało (i w międzywojniu stanowiło) polityczne i kulturalne centrum Litwy.

Instytucje i urzędy to nie tylko mury, ale przede wszystkim ludzie – znane i ważne w historii litewskiej postacie, z którymi Kaupas od dzieciństwa się stykał. Wydaje się przecież, że to, iż członkowie rodziny Kaupasa (ojciec i jego rodzeństwo) nie należeli do ludzi przeciętnych<sup>63</sup>, miało znaczenie niebagatelne. Trzeba podkreślić, że w większości zdobywali oni wykształcenie i doświadczenie zawodowe i życiowe<sup>64</sup> poza granicami Rosji, w granicach której znajdowała się Litwa aż do 1918 r., a po proklamowaniu przez Litwę niepodległości, brali czynny udział w budowie niepodległego państwa. Wystarczy wspomnieć ciotkę Kazimierę Kaupaitė (1880-1940), czyli bło-

<sup>62</sup> L. Tidikytė, *Julius Kaupas. Gyvenimas ir kūryba*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2004, s. 8; jest to najpełniejsze opracowanie życia i twórczości Juliusa Kaupasa.

<sup>63</sup> Stryj autora Vincentas Kaupas (1872-1935) m.in. kolportował w młodości zakazane pisma, był delegatem na tzw. Wielki Sejm Wileński; pracował w banku spółdzielczym, potem w zarządzie powiatu, a w swoim domu założył szkołę, zob. L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 10.

<sup>64</sup> Siostry Juliusa Kaupasa starszego – Bronislava i Katarina – wyjechały pobierać nauki do Szwajcarii, a potem do USA, zob. tamże. Natomiast brat – ks. Antanas Kaupas (1870-1913) – usunięty z Seminarium Duchownego w Kownie za rozposzczehnianie zakazanych przez władze carskie pism, wyjechał do USA w 1892 r. i ukończył Polskie Seminarium Duchowne w Detroit (święcenia odebrał w 1896 r.); w USA brał czynny udział w życiu społeczności litewskiej – publikował artykuły, redagował czasopisma, tłumaczył na litewski m.in. *Potop* H. Sienkiewicza, *Robinsona Kruzoe* D. Defoe, niektóre utwory M. Rodziewiczówny; wydał też własne, dydaktyczne utwory: *Upytė ir Cicinsko (Čičinsko) kalnas* (Upita i góra Sicińskiego), *Ieškok aukso širdyje* (Szukaj złota w sercu), zob. *Lietuvių literatūros enciklopedija*, Kubilius Vytautas et al. (red.), Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2001, hasło: *Kaupas Antanas*, s. 227.

gospławioną Matkę Mariję<sup>65</sup>, która była założycielką, a od 1913 przełożoną generalną zgromadzenia Sióstr św. Kazimierza (Kazimierzanek) w Chicago, ale także założycielką tegoż konwentu w Pożajściu na Litwie w 1920 roku<sup>66</sup>. Ojciec pisarza natomiast, Julius Kaupas (1890-1945) studiował w USA (m.in. chemię i biologię na Uniwersytecie w Valparais oraz socjologię na Katolickim Uniwersytecie w Waszyngtonie) i działał w litewskich organizacjach, a także współpracował z litewskimi tygodnikami<sup>67</sup>. Po powrocie wraz z żoną na Litwę w 1920 r. został wybrany do Sejmu Ustawodawczego, potem do Zarządu Banku Międzynarodowego (1922 r.), a następnie przeniósł się do Banku Litewskiego, gdzie do lata 1940 r., a zatem do momentu, w którym rozpoczęła się I okupacja sowiecka na Litwie, pełnił funkcję dyrektora kowieńskiego oddziału tegoż banku<sup>68</sup>.

Dzięki wysokiej pozycji jaką ojciec zajmował w banku, rodzina zamieszkała w okazałym, wielopiętrowym Domu Bankowca przy dawnej ul. Górskiej (dzisiejsza ul. Putwińskiego<sup>69</sup>), która w międzywojniu była ulicą ambasad (!). Ojciec pochłonięty był pracą, a jego żona Emilia brała udział w życiu elit Kowna (świadczą o tym choćby wspólne zdjęcia z dygnitarzami, czy cenionymi twórcami, takimi jak Maironis<sup>70</sup>). Dzieci<sup>71</sup> natomiast żyły każde we własnym świecie, samodzielnie, czasem nawet swawolnie<sup>72</sup>, nikt bowiem nie tłamsił ich dziecięcej otwartości i ciekawości. Przeciwnie, raczej stwarzano im warunki do poszerzania wiedzy, stymulowano dociekliwość, kładziono nacisk na wszechstronność wykształcenia i naukę języków (po angielsku czy niemiecku porozumiewano się w domu, jeśli

<sup>65</sup> W poczet błogosławionych zaliczona została w 2010 r.

<sup>66</sup> L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 12.

<sup>67</sup> Nie bez znaczenia wydaje się tu rola starszego brata ks. Antanasa Kaupasa, zob. przypis nr 64.

<sup>68</sup> L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 14-15.

<sup>69</sup> Putvinskio gatvė.

<sup>70</sup> L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 17.

<sup>71</sup> Poza pierworodnym Julusem, Julius starszy i Emilia mieli córkę Birutę i syna Algisa, zob. tamże, 17-18.

<sup>72</sup> Podczas jednej z wizyt w Pożajściu, dzieci się znudziły czekaniem na matkę. Julius odesłał kierowcę, który przywiózł ich służbowym samochodem; Emilia Kaupienė wraz z dziećmi musiała wrócić do Kowna autobusem. Zob. tamże, s. 18.

np. gość po litewsku nie mówił, dzieci miały korepetytorów do angielskiego i francuskiego; niemieckiego Kaupas nauczył się w gimnazjum). W domu m.in. czytano książki w językach oryginalnych i regularnie zamawiano amerykańskie gazety i czasopisma, takie jak choćby „National Geographic”. I chociaż Kaupas uwielbiał mawiać o sobie, że jest „jednym z urwisów z ulicy Górskiej”<sup>73</sup>, posiadał dużą wiedzę i umiejętności, które wyniósł z domu rodzinnego, lecz którymi nigdy się nie chlępił przed rówieśnikami<sup>74</sup>.

Poza domowym, odebrał też doskonałe wykształcenie w Gimnazjum Jezuickim w Kownie (1929-1938), po ukończeniu którego przez rok był słuchaczem Szkoły Wojskowej (w ten sposób, jak wielu innych młodych, odrobił obowiązkową służbę wojskową). Następnie podjął studia medyczne na Uniwersytecie Witolda Wielkiego (1939-1944). Jego rocznik był ostatnim, który otrzymał dyplom na Wydziale Medycznym tego uniwersytetu.

Krótko po ukończeniu studiów, latem 1944 r., Kaupas, jak wielu Litwinów (nie tylko jego rówieśników), w obawie przed zbliżającą się armią sowiecką opuścił Litwę i podążając za wycofującymi się Niemcami, wraz z Dalią Galaunyte (przyszłą żoną)<sup>75</sup>, dotarł do Wiednia. Tam udało mu się zatrudnić w pogotowiu ratunkowym, jednak w listopadzie 1944 r. został odelegowany do Prus Wschodnich by, jak to sam określił, pełnić „jakieś niejasne obowiązki doktorskie”<sup>76</sup>. Trafił najpierw do małej osady Pettelkau (pol. Pierzchały), gdzie był lekarzem dla Polaków, Rosjan, kilku Litwinów i ludzi innych jeszcze narodowości, którzy kopali okopy, potem do Bartenstein (pol. Bartoszyce), jeszcze później do jakiegoś małego szpitala posadowionego w lesie. Otrzymałszy kilkudniową przepustkę, pojechał do Wiednia i 13 stycznia 1945 r., potajemnie, bowiem obowiązywał zakaz zawierania małżeństw przez obcokrajow-

<sup>73</sup> Tamże.

<sup>74</sup> Tamże, 20-21.

<sup>75</sup> Tamże, 40-42.

<sup>76</sup> „Šeši laiškai”, II laiškas, 1944 m. lapkričio 22 d., Viena, W: J. Kaupas, *Raštai*, s. 602; zob. też „Metmenys” 1971, nr 21, s. 31; L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 43.

ców, wziął ślub z Dalią Galaunytė, po czym powrócił do Prus Wschodnich. Zbliżał się jednak front, rozgorzały walki (Kaupas o mały włos nie wpadł w ręce Sowietów), sytuacja stawała się katastroficzna, więc z przygodami, drogą morską przedostał się do Danii, a stamtąd do Niemiec, gdzie koniec końców w marcu 1945 r., wraz z żoną zamieszkał w Tübingen (pol. Tybinga).

Po ustaleniach w Poczdamie, Tybinga, a także Freiburg, do którego Kaupas przeniósł się wraz z rodziną w 1947 r., znalazły się we francuskiej strefie okupacyjnej, gdzie uchodźcy z krajów bałtyckich żyli swobodniej niż np. Rosjanie i Polacy, których osiedlono w koszarach. Litwini często wynajmowali prywatne mieszkania lub pokoje, co dawało im więcej wolności. Stąd pewnie strefa francuska stała się miejscem ożywionej działalności kulturalnej Litwinów. Wychodziły m.in. czasopisma takie jak „Šviesa” dla młodzieży, czy kulturalno-literackie „Aidai” oraz „Literatūros lankai”, z którymi Kaupas współpracował. Pisał artykuły i eseje, podejmował się redakcji, współpracował przy redagowaniu książek. Miał też możliwość, jak wielu innych, kontynuować naukę, a także podjąć studia na innych, nowych kierunkach. Dlatego w 1946 r. Kaupas na uniwersytecie w Tybindze studiował farmakologię i obronił doktorat, a w kolejnych latach (1947-1949) filozofię i literaturę na uniwersytecie we Fryburgu. Uczęszczał również do Szkoły Sztuk i Rzemiosł założonej i prowadzonej przez Vytautasa Kazimieras Jonynasa (1907-1997).

Od 1949 r. zaczęto likwidację stref okupacyjnych. Wiązało się to oczywiście z koniecznością znalezienia nowego miejsca dla tysięcy uchodźców. Większość Litwinów, którzy od 1944 do 1949 r. znaleźli schronienie w strefach angielskiej, amerykańskiej i francuskiej, zdecydowała się osiedlić w USA<sup>77</sup>. Również Kaupas, wraz z rodziną znalazł się w 1950 r. w Ameryce. W porównaniu z innymi, był w dość dobrej sytuacji. Po pierwsze, na początku wsparli go mieszkający w Ameryce krewni. Po drugie, jako lekarz mógł pracować w swoim zawodzie (naj-

<sup>77</sup> To wiązało się oczywiście z wieloma warunkami, jakie trzeba było spełnić; zob. L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 110-112.

pierw jako lekarz internista, a później, po zrobieniu specjalizacji, jako psychiatra).

Zmarł nagle 1 marca 1964 r. w Chicago. Pochowany został w Detroit.

## Zbiorek bajek Kaupasa

### Wydania zbioru

Zbiorek powstał w Niemczech, a zatem na emigracji, w tej dziwnej atmosferze zawieszenia, kiedy litewscy emigranci, zwłaszcza we francuskiej strefie okupacyjnej, prowadzili ożywioną działalność kulturalną. Pośród różnych obowiązków kwitło życie towarzyskie, a w trakcie spotkań bardzo często czytano własne utwory, dyskutowano, planowano kolejne przedsięwzięcia związane z publikacją własnej twórczości. Również Kaupas czytał swoje bajki i konsultował z przyjaciółmi kolejne wersje tekstu, nie zawsze jednak biorąc pod uwagę ich zdanie<sup>78</sup>. Koniec końców, w 1948 r. składający się z jedenastu bajek zbiór *Doktor Krztyna w piekle i inne nie mniej ciekawe bajki, spisane w tajnych kronikach miasta Kowna (Daktaras Kripštukas pragare ir kitos nemažiau įdomios pasakos, surašytos slaptose Kاونo miesto kronikose)* wydany został we Freiburgu przez Povilo Abelkio lituviškę knygų leidyklą<sup>79</sup> w 3000 egzemplarzy (100 z nich było numerowanych)<sup>80</sup>. Ilustracje do zbioru wykonał Adolfas Vaičaitis (1915-2015).

Książkę przyjmowano różnie. Kaupas otrzymał nagrodę literacką Litewskiego Czerwonego Krzyża za debiut. Vincas Kazokas (1919–1984) napisał niezwykle przychylną recenzję *Knyga apie kasdieniškus daiktus, kurie nėra kasdieniški* (Książka o codziennych rzeczach, które nie są codzienne, 1949<sup>81</sup>), w któ-

<sup>78</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Dienoraščio fragmentai...*, s. 198.

<sup>79</sup> Wydawnictwo litewskich książek Povilas Abelkis (1906-1957) założył w 1946.

<sup>80</sup> L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 72.

<sup>81</sup> V. Kazokas, *Knyga apie kasdieniškus daiktus, kurie nėra kasdieniški*, „Šviesa“ 1949, nr 7, s. 26-27.

rej zwrócił uwagę na jedność świata rzeczywistego i magicznego w bajkach i ich oryginalny, żywy styl. Alfonsas Nyka-Niliūnas w swojej recenzji „*Daktaras Kripštukas pragare*”, arba pasikalbėjimas apie pasakų knygas („Doktor Krztyna w piekle”, albo rozmowa o księgach bajek, 1948<sup>82</sup>) pozytywnie wyraził się o książce przyjaciela, choć zawarł kilka krytycznych uwag na temat bajek, które uważał za słabsze. Natomiast Jonas Mekas (1922-2019), jeden z najbardziej awangardowych twórców litewskich, później plasujący się w czołówce awangardowego kina amerykańskiego, nie omieszkał w swoich dziennikach wyrazić absolutnego rozczarowania książką<sup>83</sup>.

Wydanie z roku 1948 nie było ostatnim. W roku 1984 pojawiła się w Litwie radzieckiej książka pt. *Daktaras Kripštukas pragare*<sup>84</sup> (Doktor Krztyna w piekle). Jej tytuł jest nieco mylący, bo sugeruje, że oddaje się w ręce czytelnika zbiorów bajek Kaupasa. Tymczasem opublikowane w nim bajki zostały okrojone, dodano za to kilka późniejszych opowiadań (dosłownie cztery) i ważny z punktu widzenia twórczości oraz postawy życiowej Kaupasa artykuł z 1963 roku *Pasaka ir realybė*<sup>85</sup> (Bajka i rzeczywistość). W tym wydaniu zabrakło dwóch bajek, mianowicie wypadły z niego *Czarodziejski zegar Tykalskiego (Tuktuko burtų laikrodis)* i *Korale rudobrodego Żyda (Raudonbarzdžio žydo karoliai)*. Usunięcie pierwszej z punktu widzenia radzieckiej cenzury wydaje się zupełnie jasne – mówi ona o pokłonie Trzech Króli Jezusowi w betlejemskiej stajence – biblijne odniesienia, wiadomo, mogły budzić wątpliwości, albo wprost były niemożliwe do zaakceptowania. Zastanawia natomiast brak tej drugiej bajki, trudno bowiem powiedzieć, co mogło w niej przeszkadzać cenzurze. Że wydanie to jest okrojone nie wspomniano, przeciwnie – in-

<sup>82</sup> A. Nyka-Niliūnas, „*Daktaras Kripštukas pragare*”, arba pasikalbėjimas apie pasakų knygas, „*Aidai*” 1948/12/21, s. 520-523; recenzja napisana pod pseudonimem Leonas Miškinas.

<sup>83</sup> Pod datą 30 stycznia 1949 roku krótkie zdanie: „Tak, przeczytawszy rozbiłem i drugą iluzję, iluzję *Krztyny w piekle* Juliusa Kaupasa...”, J. Mekas, *Žmogus be vietos. Nervuoti dienoraščiai*, Vilnius: Baltos lankos, 2000, s. 230.

<sup>84</sup> J. Kaupas, *Daktaras Kripštukas pragare. Pasakos. Apsakymai. Esė*, Vilnius: Vaga, 1984.

<sup>85</sup> J. Kaupas, *Pasaka ir realybė*, „*Metmenys*” 1963, nr 7, s. 15-30; J. Kaupas, *Daktaras Kripštukas pragare. Pasakos...*, s. 216-232; J. Kaupas, *Raštai*, s. 579-592.

formacja o zamieszczonych bajkach sugeruje, że zbiorek jest przedrukowany w całości. Warto zaznaczyć w tym miejscu, że jego pojawienie się zdemotywowало przyjaciół, którzy planowali wydanie pism Kaupasa od dnia jego pogrzebu (4 marca 1964 r.)<sup>86</sup>.

Po trzydziestu dwu latach w Chicago, w roku 1997, wydawnictwo Algimanto Mackaus Knygų Leidimo Fondas wydało dość pokaźny tom pism Kaupasa<sup>87</sup>. W tomie tym, poza otwierającym go zbiorkiem bajek *Doktor Krztyna w piekle*<sup>88</sup>, zamieszczono zbiór opowiadań *Saulėgrąžos mėnulio šviesoj*<sup>89</sup> (*Słoneczniki w poświęcacie księżycy*), publikowane w czasopismach i niepublikowane teksty i eseje dotyczące nie tylko literatury<sup>90</sup>. Można tam również znaleźć listy – *Šeši laiškai*<sup>91</sup> (*Sześć listów*) – pisane do Nyki-Niliūnasa z Wiednia i Prus Wschodnich w latach 1944-1946, a także *Varia*<sup>92</sup>, oraz bajki publikowane od 1943 do 1944 na Litwie w czasopiśmie „*Žiburėlis*”<sup>93</sup> umieszczone w tak zwanym *Dodatku (Priedas)*. Znamienity tytuł nosi przedmowa, którą skreślił Nyka-Niliūnas: *Pratarmė pavėlavusiai knygai (Przedmowa do spóźnionej książki)*. Nyka-Niliūnas tłumaczy w niej m.in. okoliczności powstania pomysłu i przyczyny, dla których ukazała się ona tak późno.

W roku 2022 Muzeum Literatury Litewskiej im. Maironisa (Maironio lietuvių literatūros muziejus) wydało ponownie zbiór bajek Kaupasa z 1948 r. z ilustracjami Adolfa Vaičaitisa, uzupełniony o bajki z czasopisma „*Žiburėlis*”<sup>94</sup>. W książce zamieszczono również krótkie wspomnienia o Juliusie Kaupasie, napisane przez żonę Dalię Galaunytė-Kaupienė-Adaugunas

<sup>86</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Pratarmė pavėlavusiai knygai*, s. 7.

<sup>87</sup> J. Kaupas, *Raštai*, Chicago: Algimanto Mackaus Knygų Leidimo Fondas, 1997, ss. 725.

<sup>88</sup> Tamże, s. 11-139.

<sup>89</sup> Tamże, s. 141-239.

<sup>90</sup> Tamże, s. 241-592.

<sup>91</sup> Tamże, s. 593-612.

<sup>92</sup> Tamże, s. 613-672.

<sup>93</sup> Tamże, s. 673-708.

<sup>94</sup> J. Kaupas, *Daktaras Krištukas pragare. Pasakos iš „Žiburėlio“*, Babonaitė-Paplauskienė Virginija (red.), Kaunas: Maironio lietuvių literatūros muziejus, 2022.

(ur. 1923) oraz dzieci pisarza – Algisa i Jūratė. Znajduje się w niej także stylizowana mapa Kowna z zaznaczonymi (niektórymi) miejscami akcji bajek. Książka sfinansowana została przez żonę Dalię oraz syna i córkę, którzy w ostatnim dziesięcioleciu nawiązali współpracę z Muzeum Literatury Litewskiej im. Maironisa oraz z Narodowym Muzeum Sztuki im. M. K. Čiurlionisa (Nacionalinis M. K. Čiurlionio dailės muziejus) i m.in. przekazali pamiątki związane z Kaupasem, jak również rękopisy i dokumenty. Można powiedzieć, że podjęty przez nich trud pozwolił „symbolicznie” autorowi bajek, których akcja dzieje się w przedwojennym Kownie, powrócić do rodzinnego miasta.

### Unikalność bajek Kaupasa

Zbiorek *Doktor Krztyna w piekle* (*Daktaras Kripštukas pragare*) jest w literaturze litewskiej pod wieloma względami wyjątkowy. Jak to ujął Nyka-Niliūnas, ten zbiór bajek jest pierwszym przykładem ironii romantycznej (*romantische Ironie*)<sup>95</sup> w litewskiej literaturze. Ze względu na tę ironię (albo groteskę<sup>96</sup>) romantyczną, bajki Kaupasa często określane bywają mianem mistrzowskiej syntezy realizmu i romantycznej fantazji<sup>97</sup>. Warto w tym miejscu podkreślić, że stykanie się realności z fantazją znalazło swoje odzwierciedlenie nie tylko w twórczości literackiej Kaupasa (bajka *Słowo wstępu*<sup>98</sup>), ale również w jego teoretycznych rozważaniach, czemu dał wyraz we wspomnianym już wyżej eseju *Pasaka ir realybė* (*Baśń i realność*). Na marginesie można zaznaczyć również, że Nyka-Niliūnas określił samego Kaupasa, jako człowieka, który pod wieloma względami przypominał Anzelma, jednego

<sup>95</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Pratarmė pavėlavusiai knygai*, s. 10.

<sup>96</sup> Zob. hasło: *ironia romantyczna*, W: M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*, Wrocław 2000, s. 222.

<sup>97</sup> Zob. hasło: *Kaupas Julijus*, W: *Lietuvių literatūros enciklopedija*, s. 227; V. Kubilius, *XX amžiaus literatūra*, Vilnius: alma littera, 1996, s. 469-471.

<sup>98</sup> Takie podejście do rzeczywistości, zdaniem wielu przyjaciół Juliusa Kaupasa, charakteryzowało samego autora tych bajek: „bajki, tę jedyną rzecz, dla której warto żyć”.

z bohaterów bajki *Złoty garnek* E.T.A. Hoffmanna (1776-1822), którym Kaupas był zafascynowany – jak Anzelm bowiem „nie czuł granicy pomiędzy fantazją a rzeczywistością”<sup>99</sup>. To m.in. sprawiło, że „był jednym z tych nielicznych ludzi, z którymi można było głośno marzyć, nie bojąc się śmieszności”<sup>100</sup>. Być może dlatego, że Kaupas żył stale w „innym” świecie, tak doskonale sprawdził się jako autor utworów, w których te dwa porządki – fantastyczność i realność – mieszają się ze sobą.

Same bajki nie są pozbawione wpływów europejskiego romantyzmu. Poza motywami i poetyką, która charakterystyczna jest dla E.T.A. Hoffmanna, dostrzec można oddziaływanie twórczości H.Ch. Andersena czy O. Wilde’a. Podkreślić też należy, że bajki Kaupasa są współczesne, zupełnie nieosadzone w litewskiej tradycji ludowej, choć oczywiście w przypadku dwu bajek *Daktaras Kripštukas pragare*<sup>101</sup> (*Doktor Krztyna w piekle*) i *Kaip velnias Juoduodegis blogais keliais nuėjo*<sup>102</sup> (*Jak diabeł Smolichwost zszedł na złą drogę*), wpływ litewskich ludowych wyobrażeń o diable jest widoczny<sup>103</sup>, stanowi on jednak kwestię drugorzędną. To, co odróżnia bajki Kaupasa od tradycji ludowej, to przede wszystkim wyraźnie widoczna indywidualizacja postaci, wszechobecna ironia, zabawa, estetyzacja, jak również niekonwencjonalne traktowanie relacji między rzeczywistością a fantazją, oraz skupienie na problemach ludzkiej egzystencji<sup>104</sup>.

Wyjątkowość bajek Kaupasa wynika przede wszystkim z tego, że są one przykładem bajki urbanistycznej<sup>105</sup>, która – co trzeba wyraźnie podkreślić – przed Kaupasem w literaturze litewskiej nie występowała. Rzeczywiście niemal wszystkie bajki, które weszły do zbioru *Doktor Krztyna w piekle*, charakteryzują się tym, że niecodzienne i fantastyczne wydarzenia osadził

<sup>99</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Dienoraščio fragmentai...*, s. 423.

<sup>100</sup> Tamże, s. 486.

<sup>101</sup> J. Kaupas, *Daktaras Kripštukas pragare ir...*, s. 21-31; J. Kaupas, *Raštai*, s. 23-30.

<sup>102</sup> J. Kaupas, *Daktaras Kripštukas pragare ir...*, s. 33-49; J. Kaupas, *Raštai*, s. 31-41.

<sup>103</sup> Zob. E. Stryczyńska-Hodyl, *Diabeł w literaturze litewskiej i łotewskiej od połowy XIX do połowy XX wieku*, Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM, 2008, s. 79-87; s. 134-138.

<sup>104</sup> Zob. L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 108.

<sup>105</sup> Zob. hasło: *Kaupas Julijus*, W: *Lietuvių literatūros enciklopedija*, s. 227.

autor w realiach przedwojennego Kowna, które stało się dla nich wspólnym mianownikiem. Wyjątek stanowią *Bajka o miłości arlekina i o czarodzieju bez imienia* (*Pasaka apie arlekino meilę ir apie burtininką be vardo*), oraz *Bajka o niespokojnym rybaku Sylwestrze* (*Pasaka apie neramų žveją Silvestrą*). Pierwsza z nich nie jest osadzona w konkretnym czasie (choć ważną rolę w niej pełni „ciężki, marmurowy zegar”), a wydarzenia rozgrywają się w przestrzeni „ciemnego i cichego pokoju”, w którym „siedział dziwny i tajemniczy czarodziej, tak stary, że nawet imienia jego nikt nie znał”. Druga natomiast łączy się z Połagą. Wyjawszy te dwa teksty, całość zbioru to historie osadzone w szczególnych miejscach, znajdujących się w przedwojennej stolicy Litwy, charakterystycznych dla tego miasta.

W otwierającym zbiór tekście (*Słowo wstępu*) narrator podkreśla, że składająca się z bajek – „tej jedynej rzeczy, dla której warto żyć” – a spisana przez Bałwana zagadkowa kronika miasta Kowna „[n]apisana została, jak się wydaje, przed wielu laty, wtedy, kiedy nawet ratuszowy stróż był jeszcze zupełnie mały”. Powstaje zatem pytanie kiedy? Co znaczy owo „przed wielu laty” i skąd właściwie mamy pewność, że akcja toczy się w przedwojennym Kownie? Odpowiedź znajduje się w kolejnych bajkach. Akcja bajek rozgrywa się nie wcześniej niż w 1924 i nie później niż w 1931 r. Wskazują na to betonowe sowy, wspomniane w bajce *Korale rudobrodego Żyda*, które na parkanie Szkoły Plastycznej zostały posadowione w 1924 r., a także nazwa ul. Górskiej (*Uczta czarownic na ulicy Górskiej*), którą w 1931 r. przemianowano na ul. Putwińskiego (Putvinskio g.).

## Kowno – magia miejsc realnych

Wędrownka z bohaterami bajek Kaupasa od pierwszego tekstu zanurza czytelnika w tkance miasta – Kowna. Ratusz, Plac Ratuszowy i kręte uliczki Starego Miasta, ul. Górska<sup>106</sup> czy Gro-

<sup>106</sup> Od 1931 r. ulica nosi nazwę Putvinskio – Vladas Putvinskis (1873-1929) był działaczem społeczno-kulturalnym, kolporterem litewskich pism.

dzieńska<sup>107</sup>, betonowe sowy na parkanie Szkoły Plastycznej<sup>108</sup> i wiele innych miejsc, to nie jest *licentia poetica*, miejsca te są jak najbardziej realne, w wielu przypadkach łatwe do odnalezienia, w innych wymagają zanurzenia się w stare dokumenty lub mapy. Z bohaterami bajek Kaupasa trafić można do miejsc oczywistych, znanych, np. takich jak kościół garnizonowy z charakterystyczną kopułą<sup>109</sup>, ale też można (często warto) z nimi się zagubić.

Szereg wspomnianych w bajkach instytucji, domów czy ulic ma związek z ważnymi dla samego autora miejscami. Przede wszystkim jest to Dom Bankowca, w którym Kaupas mieszkał, a który wspomniany jest jako stojący niedaleko Muzeum Wojska „niemały budynek”, na ostatnim piętrze którego mieszka dr Krztyna (*Uczta czarownic na ulicy Górskiej*). Pojawia się też kościół Jezuitów i nawiązanie do Gimnazjum Jezuickiego, do którego Kaupas uczęszczał i które ukończył. W kościele tym „na marmurowych schodkach [...] przy samym ołtarzu” obudzili się gimnazjaliści, po tym jak „w jezuickich czapkach i z pudełkami cukierków w rękach” wraz z trzema królami pokłonili się Dzieciątku Jezus w Betlejem (*Czarodziejski zegar Tykalskiego*). Kościół Karmelitów z kolei, w którym Kaupas został ochrzczony, jest tym miejscem, w którym diabeł Smolichwost otrzymał pracę (*Jak diabeł Smolichwost zszedł na złą drogę*). Wreszcie trzeba wspomnieć o Wydziale Medycznym Uniwersytetu Witolda Wielkiego, gdzie Kaupas studiował, który to wydział pojawia się w ostatniej bajce – *Jak profesor Mruczyszta do karczmy w Krakowie jechał*. Mniej oczywiste są takie banalne miejsca, jak ogród Burczyńskiej (*Uczta czarownic na ulicy Górskiej*), czy lodziarnia przy Teatrze<sup>110</sup> (*Doktor Krztyna w piekle*). W lodziarni tej ponoć Kaupas często bywał, a ogród czarownicy Burczyńskiej, znaj-

<sup>107</sup> Dziś są to ulice: Celnicza, Szewska, Garncarska – Muitinés Kurpių Puodžių.

<sup>108</sup> Ogrodzenie Szkoły Plastycznej (lit. Meno mokykla) powstało w 1924 r., a siedzące na nim betonowe sowy zaprojektował Vincas Grybas (1890-1941).

<sup>109</sup> Chodzi o tzw. Soboras – kościół pod wezwaniem św. Michała (lit. šv. Mykolo), kościół garnizonowy (lit. Įgulos).

<sup>110</sup> Lodziarnia znajdowała się przy dzisiejszym teatrze lalek (Lėlių teatras), zob. L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 24; że we wspomnianej bajce chodzi o tę właśnie lodziarnię wynika z topografii, zob. przypis nr 9.

dujący się tuż przy Domu Bankowca, był miejscem zabaw, gdy Kaupas był jeszcze dzieckiem. Do nieoczywistych miejsc związanych z autorem należy również biały domek na skraju dąbrowy, przy furtce którego diabeł Smolichwost spotkał „szanowanego profesora wracającego z muzeum z drogocennymi obrazami pod pachą”. Ów profesor to zapewne Paulius Galaunė – historyk sztuki, założyciel i kierownik Galerii Čiurlionisa, który został teściem Kaupasa<sup>111</sup>. Zatem Kowno w bajkach Kaupasa w oczywisty sposób pojawia się jako miasto rodzinne, w którym autor się urodził, został ochrzczony, chodził do szkoły, dojrzewał, studiował, zakochał się.

### Zejście do piekieł i wejście do nieba

Do szczególnych miejsc w zbiorze należą jeszcze dwie inne lokalizacje. Ich wyjątkowość polega na tym, że wskazane zostały jako miejsca, z których można dotrzeć do piekieł lub do nieba. Obie po raz pierwszy pojawiają się w bajce *Doktor Krztyna w piekle*. Pierwsza to ul. Grodzieńska (Gardino g.) i znajdujący się przy niej „ponury dom [...] z czerwonych cegieł z mosiężnymi kratami w oknach”, w którego wnętrzu są schody prowadzące w dół, do piekła. Druga to stojąca w narożniku Placu Ratuszowego katedra<sup>112</sup> z wysoką wieżą, z której „można dotrzeć do raj, a stamtąd, jak wiadomo, już i niebo nie tak daleko”. Katedrę łatwo zlokalizować, to jeden z ważniejszych turystycznych obiektów kowieńskiej starówki. Natomiast dawna ul. Grodzieńska, może stanowić problem. Nazwa bowiem, jak wspominaliśmy wyżej, zniknęła już z map miasta, a dodatkowo ustalenie, w którym miejscu tej ulicy miał się znajdować ów „ponury dom”, nie jest możliwe. Warto natomiast zaznaczyć,

<sup>111</sup> Dom Pauliusa i Adelė Galaunė znajduje się na skraju Dąbrowy, przy al. Vydūnasa 2 (lit. Vydūno al.). Dziś jest to muzeum, które wchodzi w skład Narodowego Muzeum Sztuki im. M. K. Čiurlionisa (lit. Nacionalinio M. K. Čiurlionio dailės muziejaus Galaunių namai-muziejus).

<sup>112</sup> Chodzi o bazylikę archikatedralną Św. Apostołów Piotra i Pawła w Kownie (Kauno šv. apaštalų Petro ir Povilo arkikatedra bazilika).

że ul. Grodzieńska, podobnie jak ul. Niemeńska i odchodzące od nich pomniejsze uliczki i zaułki tworzą kwartał przylegający do rzecznego portu na Niemnie. Tajemnicą tego zakątka Kowna jest to, że w okresie międzywojennym znajdowały się tam domy uciechy, co opisał Juozas K. Beleckas w książce pt. *Nuodėmių gatvė (Ulica grzechu*<sup>113</sup>). Być może dlatego właśnie w tym kwartale „czerwonych latarni” Kaupas umieścił główne wejście do piekieł. Wypada w tym miejscu dodać, że w bajce *Jak diabeł Smolichwost zszedł na złą drogę* pojawiają się jeszcze „tylne drzwi piekła”, do których można dotrzeć włączając do pieczary, której ciasny korytarz wił się i wznosił, aż do znajdującej się na Zielonej Górze (Žaliasis kalnas) Dąbrowy (Ažuolynas), której częścią jest Dolina Mickiewicza, z płynącą przez jej środek rzeczulką Girtupis wpływającą do Niemna. Wszystkie te miejsca rozpoznać można w poniższym fragmencie:

Wreszcie dotarł do zardzewiałych drzwi. Otworzywszy je, diabeł trafił do szumiącej dąbrowy. Świeciło tutaj osłepiające słońce, w drzewach śpiewały ptaki o czerwonych podgardlach, a w głębokim rowie, wśród dzikiej koni czyny, szemrała niebieska rzeczka.

Świat przedstawiony w zbiorze Kaupasa jest zatem światem, w którym współegzystują ziemia, piekło i niebo – trzy sfery, pomiędzy którymi przemieszczanie się jest możliwe (wszak dr Krztyna schodzi do piekieł, aptekarz Siciuski wstępuje do nieba po stopniach wieży archikatedry, a diabeł Smolichwost – nieważne, że tylnym wyjściem – ucieka z piekła na ziemię!). Można zatem w tym dostrzec ślady idei *Axis Mundi*. Skoro założymy, że oś świata wyrasta w Kownie, to Kowno, w myśl tradycyjnych wyobrażeń, stanowić musi centralny punkt świata.

Świat w bajkach Kaupasa zamyka się zatem w obrazie Kowna jako „pępka świata” (*Umbilicus Mundi*). Całe życie autora bajek, aż do momentu opuszczenia Litwy w 1944, było z miastem tym związane. Warto zatem zadać pytanie, czy Kowno

<sup>113</sup> J. K. Beleckas, *Nuodėmių gatvė*, Kaunas, 1931.

stało się dlań „rajem utraconym”, który uwiecznił na kartach swego zbioru? Biorąc pod uwagę fakt, że wydał on zbiorek w pierwszych latach emigracji, teza taka zdaje się być prosta do udowodnienia. Dodatkowo, dobre przyjęcie zbioru przez przebywających na emigracji Litwinów może wskazywać, że tak właśnie przez tę społeczność pozostającą w pewnym zawieszeniu została odczytana książka Kaupasa<sup>114</sup>.

Jednak warto raz jeszcze podkreślić, że Julius Kaupas często (nie tylko w pierwszej bajce) dawał wyraz przekonaniu, że magiczność, cudowność, fantastyczność jest równoznaczna z realnością, a każdy człowiek nosi ją w sobie. Stąd Nyka-Niliūnas często zarzucał przyjacielowi, że jest człowiekiem niepraktycznym, oderwanym od rzeczywistości, naiwnym może, i robiącym interesy z góry skazane na niepowodzenie<sup>115</sup>. Właściwie można powiedzieć, że dzięki tej niepraktyczności, bujaniu w obłokach, Świat-Miasto-Dom miał Kaupas zawsze w/przy sobie. Jak nomada, który swoją *Axis Mundi* stawia tam, gdzie rzuci go los. Z tego powodu bajek Kaupasa raczej nie należy traktować w kategoriach nostalgii – tęsknoty za krajem czy też rajem utraconym. W tym sensie Kowno – Dom-Miasto-Świat wędrowało razem z nim do Niemiec, a potem za ocean.

## Bohaterowie bajek

Kowno uwiecznione na kartach książki tętni życiem, bowiem Kaupas wypełnił je ludźmi różnych profesji i różnych stanów. Pojawiają się jako postaci pierwszo- i drugoplanowe, czy w końcu jako ludzie tworzący wielobarwny tłum, obserwujący wydarzenia lub mijający je obojętnie. Są tu zatem czcigodni sędziowie, naczelnik więzienia, policjanci, studenci,

<sup>114</sup> J. Aputis, *Šimtai Juliaus Kaupo kūrybos puslapių*, „Metai” 1998, nr. 4; L. Tidikytė, *Julius Kaupas...*, s. 82. Na temat Kowna, jako „raju utraconego”, zob. V. Šeina, *Laikinoji sostinė lietuvių literatūroje*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2014, s. 172-176.

<sup>115</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Šeši Juliaus Kaupo laiškai – įvadas*, „Metmenys”, s. 21; A. Nyka-Niliūnas, *Dienoraščio fragmentai...*, s. 424.

profesorowie, zegarmistrz, piekarz, ksiądz, kominiarz, sprzedawcy, karczmarze, rabusie i rozbójnicy, bezdomni czy pijacy. Wszyscy oni dopełniają obrazu stołecznego miasta, bogatego swą różnorodnością.

Niektóre z pojawiających się postaci mogą być postaciami historycznymi, jak wspomniany wyżej Paulius Galaunė. Podobnie burmistrz, który „zatrzymał się w drzwiach z sercem przepelnionym smutkiem”, gdy ujrzał w miejskim archiwum roztopionego Bałwana-kronikarza (*Słowo wstępu*), wydaje się historyczną postacią – był nim zapewne Jonas Vileišis (1872--1942), pełniący obowiązki burmistrza Kowna w latach 1921-1931, co zbiega się z czasem akcji bajek.

Wielu bohaterów bajek nosi imiona znaczące. Szereg postaci otrzymało nazwiska urobione od słów pospolitych. Jedne, jak w przypadku zegarmistrza Tykalskiego (lit. Tuktukas od *'tuksėti'* 'pukać') czy piekarza Ciastowicza (lit. Tešlėnas od *'tešla'* 'ciasto') związane są z ich rzemiosłem, inne dotyczą charakterystycznej dla fizjonomii cechy – jak broda w przypadku rozbójnika Brodacza (lit. Barzdocius od *'barzda'* 'broda'), albo właściwego dla bohatera sposobu bycia – prof. Mruczysław (lit. Murmilius od *'murmėti'* 'mrużyć'). Znaczącym jest również imię tytułowego doktora Krztyny (lit. Kripstukas od *kripstas* 'źdźbło, słomka; drobiazg'<sup>116</sup>), jednak o tej postaci trochę szerzej powiemy za chwilę. Ciekawy jest przypadek aptekarza Siciuskiego (lit. Čičiukas), który znalazł się w piekle na skutek pomyłki – jego bowiem nazwisko pomyłono z nazwiskiem posła z Upity Władysława Wiktoryna Sicińskiego (ok. 1615-72; lit. Čičinskas), który jako pierwszy zastosował *liberum veto*.

Pośród bohaterów bajek jest kilka postaci, które zwykło się łączyć z samym autorem zbioru. Do nich należy np. rybak Sylwester – tułacz gnany wieczną tęsknotą, który nie wiedząc „co robić ze swoim szczęściem”<sup>117</sup>, poddał się wywołującym go z domu niespokojnym snom, opuścił rodzinę i wyruszył w mo-

<sup>116</sup> Wybór trafnego imienia tego bohatera w języku polskim, wbrew pozorom, nie należał do łatwych; Krztyna mieści się w zakresie semantycznym litewskiego *kripstas*.

<sup>117</sup> *Pasaka apie neramų žveją Silvestrą*, W: J. Kaupas, *Daktaras Kripstukas pragare ir...*, s. 104.

rze, „by swoje sny ściagać”<sup>118</sup>. Niewątpliwie podobnym tułaczem bywał i Kaupas, który nie tylko w *Bajce o niespokojnym rybaku Sylwestrze* napisał, że „może przeznaczeniem szczęścia jest tylko tęsknić”<sup>119</sup>, podobną myśl zawarł również w bajce *Student z brązowej apteki*, w której Karol opuścił ukochaną Wirgilię i zamek wiecznej szczęśliwości, by odczuwać za nimi tęsknotę. Podobny wydzźwięk mają słowa Kaupasa z listu do Nyki-Niliūnasa:

Dlaczego podróżuję? I dlaczego nie wysiedzę w domu dłużej niż kilka tygodni? (...) dlatego, że jestem za bardzo szczęśliwy w domu. (...) I jeśli po śmierci byłbym w niebie, i byłbym okryty złotym szczęściem, i jeśli poczułbym, że umiera moja tęsknota – wyszedłbym z nieba i błąkałbym się po ponurym i pustym kosmosie, tęskniąc za Bogiem (...) <sup>120</sup>.

Do postaci, które można utożsamić z autorem, należy również spisujący bajki Bałwan-kronikarz. To ta właśnie postać jest wyrazicielem przekonania, któremu Kaupas hołdował, że bajki są jedyną rzeczą, dla której warto żyć. Takie podejście do rzeczywistości przecież, zdaniem wielu przyjaciół, charakteryzowało samego Kaupasa. Ponadto Bałwan-kronikarz, podobnie jak Kaupas, nie rozstawał się ze swoją fajką. We wspomnieniach bliskich zachował się obraz pisarza, który spowity obłokami dymu pracował, trzymając w jednej ręce pisak, a w drugiej fajkę<sup>121</sup>. Podobnie Vytautas Majauskas, pracujący z Kaupasem w szpitalu psychiatrycznym Wayne County General w Detroit, wspomina, że wśród wszelkiego rodzaju dokumentów, książek i pudełek na tytoń leżały również fajki<sup>122</sup>. Fajka, na większości zdjęć Kaupasa jest jego atrybutem.

Jednak jeśli chodzi o utożsamienie bohaterów z autorem, to kluczową postacią wydaje się być tytułowy doktor Kripštukas, czyli dr Krztyna. W zbiorku, poza faktem, że ta postać wymyślona

<sup>118</sup> Tamże, s. 107.

<sup>119</sup> Tamże, 109.

<sup>120</sup> Kaupas J., „VI laiškas“, [w:] Kaupas J., *Raštai*, s. 612.

<sup>121</sup> Tidikytė L., *Julius Kaupas...*, s. 122-123.

<sup>122</sup> Tamże, s. 117-118.

przez Kaupasa była tak jak i on lekarzem, to mieszkała na najwyższym piętrze<sup>123</sup> „niemałego domu” na ul. Górskiej, czyli w Domu Bankowca (!). Czytywał dr Krztyna bajki (także o diabłach), a Kaupas bajki tworzył. Warto w tym miejscu zwrócić jeszcze uwagę na tworzone przez Kaupasa diabełki – nie tylko jako postacie literackie, z którymi schodząc do piekła dr Krztyna się przecież zetknął. Nagys wspomina, że odwiedził Kaupasa podczas ostatnich egzaminów na studiach medycznych. Jego uwagę zwróciły postacie diabłów powieszono nad biurkiem i kilkanaście leżących na blacie. Kaupas ze śmiechem wyjaśnił, że:

każdy diabeł reprezentuje jeden z jego egzaminów. Większy diabeł – trudniejszy egzamin. Mniejszy – łatwiejszy. Te na blacie – już pokonane diabły. Zdane egzaminy. Te na ścianie – czekają jeszcze na swoją kolej<sup>124</sup>.

Słabość do postaci diabelskich, rysowanie ich, również na ścianach, Kaupas „uprawiał” w okresie niemieckim w wynajętych mieszkaniach, pokrywając całe ściany i sufit różnymi obrazkami. Jak wspomina Nagys „jeden diabeł nawet wystawił rękę przez drzwi do sieni”<sup>125</sup>.

Dr Krztyna bez uprzedzeń i lęku, ale z pewną dezynwolturą podszedł do „ciężkiego” przypadku – spleśzczonego ogona Belzebuba, dzięki czemu „jako niezastąpiony w tej dziedzinie znawca, wkrótce został zaproszony na wydział medyczny, by wykładać choroby diabelskie”. Kaupas też wykazywał się swego rodzaju dezynwolturą:

[s]wojej praktyki lekarskiej, jak się mówi, nie brał bardzo poważnie i był nie tyle doktorem Juliuszem Kaupasem, ile doktorem Krztyną, z usług którego korzystały obie strony rzeczywistości. To jego „nie branie na poważnie” czasami przekraczało granicę odpowiedzialności. Recepty wypisywał, jakby się bawił i myślał zupełnie o czymś innym<sup>126</sup>.

<sup>123</sup> Tamże, s. 19.

<sup>124</sup> H. Nagys, *Keliolika puslapių iš nerašyto dienoraščio*, „Metmenys” 1971, nr 21, s. 46.

<sup>125</sup> Tamże, s. 51.

<sup>126</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Dienoraščio fragmentai...*, s. 486

Należy zaznaczyć, że postać dr Krztyny pojawiła się w jednej z bajek publikowanych jeszcze na Litwie w czasopiśmie „Žiburėlis” w 1944 r. – *Senė Brumbienė ir daktaras Kripštukas* (Stara Burczyńska i doktor Krztyna). Niezwykle istotne wydaje się jednak to, że dr Kripštukas (Krztyna) w pierwszym z listów pisanych do Nyki-Niliūnasa z Wiednia<sup>127</sup>, posłużył jako postać, za którą Kaupas się schował, gdy opisywał wydarzenia w drodze z Kowna do Wiednia, a także swoją służbę w pogotowiu ratunkowym w tym mieście. Pozwoliło mu to na ujmowanie często strasznej, przynębiającej rzeczywistości z przymrużeniem oka, z humorem i charakterystyczną ironią: „Dr Kripštukas [Krztyna] przybył do Wiednia i nazwał się doktorem. I zaczął leczyć”<sup>128</sup>. Nie powinno więc dziwić, że we wspomnieniach przyjaciele często używają tego właśnie miana, jak np. Nyka-Niliūnas, który o pogrzebie Kaupasa napisał: „ceremonia odejścia doktora Kripštukas [Krztyny] do wieczności na cmentarzu w Detroit”<sup>129</sup>. Zdarzało się też, co warto w tym miejscu podkreślić, że używali oni nie tylko formy zdrobniałej – Kripštukas, ale również Kripštas (czyli wspomniane już ‘żdźbło, słomka; drobiazg’), które odpowiednio możemy przełożyć jako Krzta<sup>130</sup>. Tak nazywa Kaupasa, współpracujący z nim w szpitalu w Detroit Majauskas<sup>131</sup>, czy wreszcie Henrikas Nagys, który w jednym z listów do Nyki-Niliūnasa pisze:

Również Twój pomysł, by zaprosić do kolegium redakcyjnego Juliusa, podoba mi się. Może rzeczywiście nasz Kripštas (Krzta) bardziej się włączy i zacznie, poza le-

<sup>127</sup> I laiškais, 1944. XI. 2, J. Kaupas, *Raštai*, s. 595-601.

<sup>128</sup> I laiškais, Antras straipsnelis, „Metmenys” 1971, nr 21, s. 26.

<sup>129</sup> A. Nyka-Niliūnas, *Šeši Juliusa Kaupo laiškai – įvadas*, „Metmenys”, 1971, nr 21, s. 20.

<sup>130</sup> Czy wybór takiego właśnie imienia, poza tym że jest adekwatne do znaczenia słów ‘drobiazg’, ‘żdźbło’ czy ‘okruszek’, jest właściwy? Zapewne nie oddaje cech czy nawyków, jakie właściwe były i dla autora bajek – Kaupasa – i stworzonej przez niego postaci doktora, za którą Kaupas lubił się skrywać. Pomysły, jakie pojawiały się podczas pracy nad tłumaczeniem, nie były niestety w pełni satysfakcjonujące. Wybrana więc została ostatecznie owa archaiczna nieco *krzta/krztyna*.

<sup>131</sup> V. Majauskas, *Didijį Kripštą prisimenant*, „Medicina. Pasaulio lietuvių gydytojų sąjungos žurnalas” 1984, nr 1 (63), s. 29.

czeniu bezrozumnych, więcej pisać, a pisać przecież może<sup>132</sup>.

\* \* \*

Biorąc pod uwagę utrwalone w zbiorze miejsca związane z życiem pisarza, jak również bohaterów bajek, którzy pod wieloma względami dają się utożsamić z autorem, trudno nie zauważyć, że niesamowity, pełen dziwnej cudowności świat z bajek Kaupasa, sprawia wrażenie jakby w centrum tego świata był sam autor przebrany w różne maski – jakby ten świat był „kaupocentryczny”. Dla nomady, który DOM-MIASTO-ŚWIAT, czyli Kowno – miasto swojego dzieciństwa i młodości – nosi w sobie, wydaje się to zupełnie naturalne. Czytelne to było – jak się zdaje – dla Kostasa Ostrauskasa (1926-2012), w którego dramacie *Paskutinis kvartetas ir dr Kripštukas. Post mortem* (2004, Ostatni kwartet i dr Krztyna [Kripštukas]. Post mortem), Kaupas, będący jedną z czterech postaci dyskutujących na temat literatury, Algimantasowi Mackusowi wypowiadającemu przypuszczenie, że mający w oddali doktor Kripštukas „nie może znaleźć sobie miejsca”, odpowiada: „Och, doktor Kripštukas [Krztyna] jest wszędzie i zawsze na swoim miejscu”<sup>133</sup>.

<sup>132</sup> H. Nagys, list do Nyki-Niliūnas pisany z Montrealu 13 czerwca 1953, zob. V. Babonaitė-Paplauskienė, *Pralaužti platesnį dangaus skliautą: Henriko Nagio laiškai Alfonsui Nykai-Niliūnui*, „Metai” 2020, nr 20.

<sup>133</sup> „O, dr Kripštukas visur ir visada savo vietoj.” K. Ostrauskas, *Paskutinis kvartetas ir dr Kripštukas. Post mortem*, W: K. Ostrauskas, *Paskutinis kvartetas. Du dramų ir dar ko rinkiniai ir drama*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2014, s. 237.

## BIBLIOGRAFIJA

- Aputis Juozas, *Šimtai Juliaus Kaupo kūrybos puslapių*, „Metai“ 1998, nr. 4.
- Babonaitė-Paplauskienė Virginija, *Pralaužti platesnį dangaus skliautą: Henriko Nagio laišakai Alfonsui Nykai-Niliūnui*, „Metai“ 2020, nr 20.
- Beleckas Juozas K., *Nuodėmių gatvė*, Kaunas, 1931.
- Fridrich Alojzy, *Historye cudownych obrazów Najświętszej Maryi Panny w Polsce*, t. IV, Kraków: Nakładem Wydawnictwa Tow. Jez., 1911.
- Kaunas: Istorija fotografijose*, Vilimas Aldas, Kaunas: VĮŠ Vizija LT, 2014.
- Kauno architektūra*, Jankevičienė Algė (red.), Vilnius: Mokslas, 1991.
- Kaupas Julius, *Daktaras Kripštukas pragare ir kitos nemažiau įdomios pasakos, surašytos slaptose Kauno miesto kronikose*, Freiburg: Povilo Abelkio lietuviškų knygų leidykla, 1948.
- Kaupas Julius, *Daktaras Kripštukas pragare. Pasakos. Apsakymai. Esė*, Vilnius: Vaga, 1984.
- Kaupas Julius, *Daktaras Kripštukas pragare. Pasakos iš „Žiburėlio“*, Babonaitė-Paplauskienė Virginija (red.), Kaunas: Maironio lietuvių literatūros muziejus, 2022
- Kaupas Julius, *Pasaka ir realybė*, „Metmenys“ 1963, nr 7, s. 15-30.
- Kaupas Julius, *Raštai*, Chicago: Algimanto Mackaus Knygų Leidimo Fondas, 1997.
- Kazokas Vincas, *Knyga apie kasdieniškus daiktus, kurie nėra kasdieniški*, „Šviesa“ 1949, nr 7.
- Kiaupa Zigmantas, *Kauno istorija*, t. I, Vilnius: Versus aureus, 2010.
- Korzon Tadeusz., *Wewnętrzne dzieje polski za Stanisława Augusta*. Kraków, 1896, t. 2.
- Krūminaitė Sabina, *Vienybės aikštės Nykštukas: paveldosaugos aspektas*, „Kauno istorijos metraštis“ 2007 nr 8, s. 267-278.

- Kubilius Vytautas, *XX amžiaus literatūra*, Vilnius: alma littera, 1996.
- Lietuvių literatūros enciklopedija*, Kubilius Vytautas et al. (red.), Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2001.
- Majauskas Vytautas, *Didįjį Krištą prisimenant*, „Medicina. Pasaulio lietuvių gydytojų sąjungos žurnalas“ 1984, nr 1 (63), s. 28-29.
- Mekas Jonas, *Žmogus be vietos. Nervuoti dienoraščiai*, Vilnius: Baltos lankos, 2000, s. 230.;
- Miškinis Algimantas, *Kaunas: Laisvės aleja*, Vilnius: Savastis, 2009.
- Morkūnaitė-Lazauskienė Aistė, *Kauno turgaviečių bruožai (1919-1940 m.)*, „Kauno istorijos metraštis“, 2011, nr 11, s. 55-72.
- Nagys Henrikas, *Keliolika puslapių iš nerašyto dienoraščio*, „Metmenys“ 1971, nr 21, s. 44-55.
- Nyka-Niliūnas Alfonsas, „Daktaras Krištukas pragare“, arba *pasikalbėjimas apie pasakų knygas*, „Aidai“ 1948, nr 21.
- Nyka-Niliūnas Alfonsas, *Dienoraščio fragmentai. 1938-1975*, Vilnius: Baltos lankos, 2002.
- Nyka-Niliūnas Alfonsas, *Pratarmė pavėlavusiai knygai*, W: Kaupas Julius, *Raštai*, Chicago: Algimanto Mackaus Knygų Leidimo Fondas, 1997, s. 7-10.
- Nyka-Niliūnas Alfonsas, *Šeši Juliaus Kaupo laišakai – įvadas*, „Metmenys“ 1971, nr 21, s. 20-22.
- Ostauskas Kostas, *Coppeliūs*, „Metmenys“ 1971, nr 21, s. 11-18.
- Ostauskas Kostas, *Paskutinis kvartetas ir dr Krištukas. Post mortem*, W: Ostauskas Kostas, *Paskutinis kvartetas. Du dramų ir dar ko rinkiniai ir drama*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2014.
- Słownik terminów literackich*, Sławiński Janusz (red.), Wrocław: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 2000.
- Stryczyńska-Hodyl Ewa, *Diabeł w literaturze litewskiej i łotewskiej od połowy XIX do połowy XX wieku*, Poznań: Wydawnictwo Naukowe UAM, 2008.
- Šeina Viktorija, *Laikinoji sostinė lietuvių literatūroje*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2014.

- Tarpukario Lietuva*, Adomavičiūtė Indrė et al., Kaunas: Šviesa, 2007.
- Tidikytė Laimutė, *Julius Kaupas. Gyvenimas ir kūryba*, Vilnius: Lietuvių literatūros ir tautosakos institutas, 2004.
- Valančius Motiejus, *Pastabos pačiam sau*, Vilnius: Baltos lankos, 1996.

### **Ūródła internetowe:**

- <http://kaunosenamiestis.autc.lt/lt/paieska/objektas/971/kauno-rotuse>
- <http://kaunosenamiestis.autc.lt/lt/paieska/objektas/1715/kauno-rotuses-laikrodis>
- <https://maironiomuziejus.lt/post-t-exhibitions/julius-kaupas-1920-1964-virtuali-paroda/>
- <http://tarpukaris.autc.lt/en/map>
- <http://tarpukaris.autc.lt/lt/paieska/objektas/641/istoriniai-kauno-miesto-kioskai>
- <https://www.epaveldas.lt/preview?id=C130001751069>
- <https://www.epaveldas.lt/preview?id=LIMIS-839056364>





ISBN 978-83-65483-90-4

DOI 10.48226/978-83-65483-90-4